

S/'9NV LX J
"fflUT JU

FLISEIill l1STHS
Gniazda jadu

Sniazcb jadu

Przekład: AGNIESZKA KLONOWSKA

C&T

TORUŃ

Tytuł oryginału:

WINDING UP THE SERPENT

Copyright © 1995 by Priscilla Masters

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2007

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Klonowska

Opracowanie graficzne: MAŁGORZATA WOJNOWSK

Redaktor wydania: PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel. (0-56) 654-82-04

iwhkK UHłŁOTEKl PUBLICZKA w ZobrzeJJiOg,

Ał ZN. KLAS.

, 4 W.

ISBN 978-83-7470-088-7

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń, tel./fax (0-56) 652-90-17.

Toruń 2007. Wydanie I.

Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o. ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

Mojej nadzwyczaj cierplivej rodzinie
oraz nadinspektorowi Philipowi Rushtonowi
za udzielenie precyzyjnych odpowiedzi
na wszelkie pytania

„Wtedy rzekł Pan do Mojżesza: Sporządź węża i umieść go na wysokim palu; wtedy każdy ukąszony, jeśli tylko spojrzy na niego, zostanie przy życiu”.

Księga Liczb, 21:8

Wąż oplatający pal jest symbolem Brytyjskiego Towarzystwa Medycznego.

Pies imieniem Ben pierwszy wyczuł, że stało się coś złego. Gdy o 6:55 włączył się radiobudzik, pies otworzył jedno brązowe oko i czekał. Na próżno. Oparł ogromną łapę o brzeg swego kosza i przysiadł, nasłuchując znajomych odgłosów... szelestu zmiętej pościeli, miękko stawianych stóp, kroków do łazienki. Otworzył drugie oko.

W sypialni wesoło zatrajkotało radio. Pies warknął cicho i z opuszczonym ogonem powłókł się na schody.

Podobno w niebezpieczeństwie psy są bardziej czujne niż ludzie. Widocznie cywilizacja wykorzeniła w ludziach instynkt ostrzegawczy. Nic więc dziwnego, że to właśnie pies jako pierwszy wyczuł, że stało się coś złego. A że był tylko psem, nie rozumiał, co się dzieje, więc wskoczył tylko po schodach na górę, pchnął pyskiem uchylone drzwi sypialni i ostrożnie zajrzał do środka. Potem dwoma wielkimi susami przemierzył pokój i usiadł wyczekująco przy łóżku. Ale jego pani nawet nie drgnęła.

Zwierzę zawyło cichutko i usadowiło się u podnóża łóżka, cierpliwie czuwając niczym sfinks z głową między łapami.

Silk Street numer 17 to był adres sąsiedniego domu. O ósmej Evelyn Shiers zajęła już swoje miejsce przy oknie, skąd patrzyła ukradkiem zza żółtych zasłon. Nie chciała, by Marilyn zauważyła, że ją obserwuje. Ponadto nie życzyła sobie, żeby Ben wchodził do jej ogrodu. Straszyl koty i dewastował resztki trawnika i grządek. Bała się go. Już czuła suchość w ustach ze strachu przed zwierzęciem, a kark zeszywniał jej, zwiastując kolejny przykry atak migreny. Trwała w stanie gotowości, mnąc i rozwijając na przemian wygnieciony materiał zasłon i wlepiając wzrok w grządkę; mrugała spieszenie, by nie przegapić szarego cienia chyłkiem przemykającego psa.

Jednak tego ranka Ben wcale się nie zjawił.

A w domu pod numerem 19 wiatr rozwiewał zasłony w sypialni, mierzwiąc koronkowe

serwetki na toaletce tak, że skotłowały się w różową masę. Ben pomachał niepewnie ogonem z nadzieją, że jego pani zaraz się poruszy, siądzie na krawędzi łóżka, schyli się, pogłaszcze go, pójdzie do łazienki, a potem napełni jego miski jedzeniem i wodą.

Baczenie obserwował sylwetkę na łóżku: lada moment na pewno się ruszy. Podmuch wiatru znów uniósł zasłonę, jednak z łóżka nie dobiegał ani jeden odgłos, więc uderzanie ogonem o dywan stopniowo ustało. Ben zaskomlał i rozejrzał się po pokoju.

Zaczął węszyć. Zapach był ten sam: słodkawy i niewątpliwie należący do jego pani. Pies popatrzył na hiszpańską lalkę – tancerkę flamenco stojącą w kącie – i wydał z siebie ciche, ostrzegawcze warknięcie. Kiedyś został ukarany za to, że ją polizał. Znów pociągnął nosem. Tym razem zapach był inny. Poruszył nozdrzami. Poczł słabą woń sprzed lat, przyjemną woń, którą skądś już znał. Spojrzał w górę na nieruchomą sylwetkę w łóżku i szczechnął cicho, niepewnie. Jak zwykle, powinno to wywołać jakąś reakcję. Ale tego ranka tak się nie stało.

W gabinecie nikt jeszcze nawet nie zauważył jej nieobecności. Lekarz był zajęty rozmową z pierwszą pacjentką. Spuścił z sykiem powietrze z rękawa ciśnieniomierza i zdjął słuchawki.

– Ciśnienie dziś w porządku, proszę pani. – I mrużąc oczy, posłał jej uśmiech, na widok którego rozpromieniła się.

– Dziękuję, panie doktorze.

– I proszę nadal brać leki. Po dwie tabletki dziennie. Po jednej rano i wieczorem. – To była czysta formalność, która miała zapobiec zadawaniu dalszych pytań. Z braku czasu. Lekarz zanotował coś w karcie pacjentki i już był gotów przyjąć następną osobę.

Kobieta wstała, wyszła z gabinetu, a lekarz dzwonkiem wezwał kolejnego pacjenta. Zawsze miała wrażenie, że gdy tylko zbliża się do drzwi, na których widnieje jej wizytówka: detektyw inspektor Joanna Piercy, zapada nienaturalna cisza. Zewsząd powinny dochodzić różne odgłosy – otwieranie i zamykanie szuflad, stukanie w klawisze maszyny do pisania, buczenie komputerów, dzwoniące telefony. Tymczasem ta cisza była jak jakiś spisek przeciwko niej, więc inspektor przemknęła tylko mię-

8

dzy rzędami biurka, unikając ciekawskich spojrzeń, odruchowo mruknęła pod nosem: – Dzień dobry. – I weszła do swego biura.

Tam zapaliła światło, wyłączyła ogrzewanie i energicznym ruchem otworzyła okno. Mgła zdążyła już się rozproszyć i słońce jaśniało na błękitnym niebie. Nadeszła wiosna – początek nowego życia. A inspektor właśnie dostała upragniony awans. Więc skąd to przygnębienie?

Wewnątrz poczuła nagły, silny przypływ frustracji. To niesprawiedliwe. Przecież awansowała dlatego, że była naprawdę dobra – lepsza niż jej dwaj siedzący za biurkiem koledzy, autorzy nieudolnych raportów, w których aż roiło się od błędów ortograficznych. Ale oni nie widzieli w niej nic prócz tego, że była kobietą. A przecież nikt inny, tylko właśnie ona zebrała dowody przeciwko Whalleyom i dzięki temu trafili za kratki. Jej koledzy mieli równe szansę, ale ich nie wykorzystali. Już od ośmiu czy dziewięciu lat wszyscy wiedzieli o rodzinnym gangu, plądrującym niemal wszystkie domy w małym miasteczku. Jednak obojętność miejscowej policji sprawiła, że koledzy nawet nie pofatygowali się, by znaleźć skuteczny sposób na zebranie dowodów niezbędnych dla skazania przestępców. Sześciokrotnie stawali przed prokuraturą i wnosili mało przekonujące oskarżenia. I dlatego sześciokrotnie umarzano śledztwo.

Brakowało wystarczających dowodów. Nawet nie opłacało się wnosić sprawy do sądu, a ucierpiało na tym morale miejscowej policji – i dobro mieszkańców małego, nękanego przestępcami miasteczka. A wystarczyła trzytygodniowa inwigilacja, kamera wideo, kilka nakazów wydanych na czas – bez błysku niebieskich lamp na dachach wozów i bez pożądanej sensacji.

– Psiakrew, niech pan wyłączy te światła, sierżancie – syknęła za którymś razem. – Po co mają nas zobaczyć, do diaska? To nie materiał dla „Wieczornych wiadomości”.

Ten cierpki sarkazm zraził obu kolegów i utkwiał im w pamięci; jej zjadliwa pogarda dla tradycyjnych metod śledczych zrodziła w nich niechęć do tej kobiety, która śmiała publicznie krytykować ich i poniżać.

– Trzeba ich zaskoczyć – stwierdziła bez wahania. – Może wtedy nareszcie dostaną wyrok i uda nam się wsadzić całą paczkę na parę dni wygodnego wypoczynku

w apartamentach Ministerstwa Sprawiedliwości, zamiast patrzeć, jak z szyderczym uśmiezkiem znów opuszczają nasz mały posterunek.

No i przydybała ich. Całą rodzinę, razem z mamuszką. I za każdym razem, wyjeżdżając na Buxton Road, miała ogromną satysfakcję na widok wywieszki „na sprzedaż” na końcu półkilometrowej zwirowej drogi. To właśnie ten obskurny, samotnie stojący dom zamieszkiwała niegdyś rodzina sprawców większości przestępstw popełnionych w małym miasteczku, ciasno otoczonym przez rozległe, wrogie wrzosowisko.

A Piercy otrzymała zasłużoną nagrodę. Awansowała z sierżanta na inspektora. Jej awans wzbudził zazdrość wśród młodszych kolegów. Nowi też od razu dostali ostrzeżenie.

– Trzymajcie się z dala od tej Piercy. Jest twarda jak stal i zimna jak lód... A ona dobrze wiedziała, jak ją nazywają i co tam jeszcze o niej mówią.

– Pewnie sobie myśli, że jest lepsza i sprytniejsza niż my. Jej się chyba zdaje, że ona jedna ma jaja. – I tu wybuchął sprośny śmiech. – Sherlock Holmes w spódnicy, druga Juliet Bravo.* Twardzielka się znalazła, psia mać.

Słyszała te słowa, pełne wrogości i niechęci, widząc ich siedzących razem, jeden przy drugim, z pochylonymi głowami, gdy szeptali i zerkali na nią. Całe szczęście, że miała swoje biuro. Gdyby musiała siedzieć z nimi przez cały dzień i ciągle narażać się na ich widok, chyba tego nie zniosła.

Joanna Piercy odwróciła się od okna i wygładziła dłońmi prostą, czarną spódnice.

– A niech ich szlag – odezwała się na głos. – Niech ich szlag – powtórzyła.

Pomaszerowała do drzwi, otworzyła je zamasyście.

– Macie coś dla mnie? – spytała surowo, jakby już samo to pytanie było dla niej nowym wyzwaniem. To jedyny sposób na przetrwanie: nie tłumić gniewu, a podwładnych trzymać krótko – niech nie zapominają, że to ona tu rządzi, czy im się to podoba, czy nie. Jasne, że im się nie podobało.

Dwaj mężczyźni zerknęli na nią, pokręcili głowami i wrócili do swoich notatek na biurku.

– Parę kradzieży rowerów – mruknął pod nosem młodszy, jasnowłosy policjant.

Juliet Bravo – policjantka, bohaterka brytyjskiego serialu z lat 80-tych .

10

Drugi, brunet, spojrzał tylko z gniewną miną.

– Jakieś uwagi, Mike? – zwróciła się do niego słodkim tonem. Pokręcił głową. – Nie – mruknął.

Wróciła więc do biura, zatrzaskując głośno drzwi.

Ben zdążył już zgłodnieć. Skomląc, przyczołgał się do łóżka i oparł na nim łapę. Pazurem zahaczył o koronkową narzutę. Sierść zjeżyła mu się na karku. Szarpnął, narzuta się rozdarła, pies uwolnił łapę, ściągając przy tym na podłogę pasek z ciężką, srebrną sprzączką. Rozległ się głuchy, metalowy brzęk. Ben obszedł pasek dokoła i ostrożnie obwąchał. Rozpoznał ten zapach. Ośmielony, uniósł łapę i oparł ją na nodze swojej pani. Znowu zahaczył pazurem, pociągnął, aż zrobiła się dziura. Blade oczko poleciało w czarnej pończosze aż do ciemnej gumki przy końcu. Brązowe oczy Bena przyglądały się z zaciekawieniem. Nagle pies zawył niespokojnie i pobiegł schodami na dół w stronę telefonu, który właśnie rozdzwonił się w przedpokoju.

W rejestracji przychodni dwie rejestratorki miały pewien kłopot. Jakiś pacjent podszedł do okienka i dopytywał się, dlaczego siostra Smith jeszcze nie wezwała go do gabinetu. Jego wizyta opóźniła się już o pół godziny. Chciał wiedzieć, co się dzieje.

Maureen zapukała do drzwi gabinetu zabiegowego, jednak okazało się, że nikogo tam nie ma. Wtedy zadzwoniły na numer domowy pielęgniarki, ale nikt nie odbierał. Zastanawiały się, czy poinformować lekarza. Zerkały niespokojnie na zegar, który odmierzał upływające minuty. Dwóch pacjentów wyszło, mrużąc pod nosem, że nie mogą dłużej czekać.

O wpół do dziesiątej rudowłosa rejestratorka zapukała do gabinetu lekarza.

Podniósł głowę i spojrzał, poirytowany.

– O go chodzi, Sally? – Nie lubił, gdy mu przeszkadzano.

– Przepraszam, panie doktorze – rzekła. – Ale siostry Smith jeszcze nie ma.

Doktor Jonah Wilson zmarszczył brwi.

– A co? Zrobiła sobie wolne? Rejestratorka pokręciła głową.

– Zapisała na dzisiaj rano jedenastu pacjentów, panie doktorze. I jeszcze kilku na popołudnie.

Doktor Jonah skrzywił się i westchnął.

– Więc proszę do niej zadzwonić – polecił. – Ja nic nie poradzę. Mam mnóstwo pracy – dodał, wracając do pacjenta i sterty swoich notatek.

Sally bawiła się obluźowanym guzikiem u rękawa bluzki. Pomyślała, że pewnie do południa zdąży całkiem go oberwać.

– Dzwoniłam już – oznajmiła. – Ale nikt nie odbiera.

Jonah znowu westchnął i wyjął plik druków z koperty z podobizną Lloyda George'a.*

– W takim razie pewnie jest już w drodze – odparł. Ale Sally była nieustępliwa.

– Dzwoniłam do niej pół godziny temu. – Jej oczy napotkały jego wzrok. –

Potrzebuje najwyżej dziesięciu minut, żeby dojechać z domu. I zazwyczaj się nie spóźnia. Marilyn jest odpowiedzialna.

Jonah wzruszył ramionami.

– Więc proszę dzwonić dalej – odrzekł. – Może zasnęła albo złapała gumę. Tyle się ostatnio dzieje... Na pewno jakoś dojedzie.

– Już dawno by się skontaktowała – zauważyła rejestratorka. Podniósł szybko głowę.

– Przecież linia jest ciągle zajęta – rzucił, poirytowany. – Rano trudno się tu dodzwonić.

Sally nie czuła się usatysfakcjonowana taką reakcją, ale zabrakło jej argumentów.

Lekarz westchnął, wzruszył ramionami, lekceważąc wyraźnie nieobecność pielęgniarki, i całą uwagę poświęcił już pacjentowi.

Sally wyszła więc z gabinetu.

Ben zaniepokoił się na widok bladego oczka w pończosze, jednak ciekawość przywiodła go z powrotem do sypialni. Odwrócił głowę i obserwował, jak wiatr unosi zasłonę, a potem muska włosy jego pani, rozwiewając je po twarzy. Powoli obszedł łóżko, aż trafił na przewrócony kieliszek i jego rozlaną zawartość.

Polizał lepka ciecz, po czym spojrzał

* Lloyd George – premier Wielkiej Brytanii w latach 1916-1922. ---- 12 –

w górę, zawstydzony. Zasłużył na klapsa. A jego pani miała ciężką rękę.

Przekrzywił głowę, podskoczył i przednimi łapami oparł się o łóżko. Tego też mu nie było wolno, ale teraz Ben nie bał się już swojej pani. Pochylił się nad nią i przyglądał się jej nieruchomej sylwetce. Pociągnął nosem, polizał jej wargi, zaszczekał głośno.

Joanna usiadła nad papierami. Miasto borykało się z pewnym problemem. A właściwie z dwoma niecierpiącymi zwłoki problemami. Pierwszy z nich – o którym pisano na pierwszych stronach gazet – to nieustanne kradzieże statuetek z porcelany Doulton*. Co tydzień w stercie raportów o włamaniach Joanna znajdowała przeszło trzydzieści zgłoszeń o kradzieży porcelanowych figurek z domów prywatnych. Praworzadni mieszkańcy miasteczka mieli już tego serdecznie dość, bo ginęło coraz więcej ślicznych porcelanowych tancerek. A złodzieje byli przebiegli. Świetnie znali się na rzeczy, a przy tym odznaczali się zuchwałą wybrednością. Joanna wzięła jeden z raportów: złodzieje nawet nie tknęli figurek uszkodzonych. W innym formularzu ubezpieczeniowym napisane było, że skradziono tylko autentyki, zostawiając produkty wybrakowane czy tanie nagrody, które ceramicy znosili do domu jak jakieś trofea. Dwukrotnie złodzieje darowali sobie stojące na kominku kopie i zabrali jedynie oryginały. To właśnie ich bezczelna wybredność najbardziej doprowadzała do pasji zespół redakcyjny lokalnej gazety, który bardzo trafnie skwitował to ciętymi nagłówkami. W ciągu ostatnich dwóch lat zniknęło bowiem blisko dwa tysiące figurek i ani jednej nie odnaleziono. Joanna zaś doszła do wniosku, że jej pomysł z oznakowaniem fluorescencyjnym pisakiem kodów na spodzie figurek to za mało. Potrzebny był ślad, który zaprowadzi ich do skradzionych przedmiotów, żeby można było je obejrzyć i odszukać na nich kody. Ale zdaniem Joanny najgorsze w tym wszystkim było to, że nie mieli zielonego pojęcia, kto kradnie te figurki i co się potem z nimi dzieje. Z tego, co wiedziała, żadnej jeszcze nigdzie nie wystawiono na sprzedaż. Jedyna nadzieja w tym, że znajdzie się jakaś „wtyczka” – ktoś, kto udzieli im jakichś ważnych wskazówek. Ciężka sprawa... celany.

Royal Doulton Company – jeden z największych na świecie producentów por-

Jasne, że miejscowi mieli już tego dość, a Joannę naprawdę to trapiło. Kradzież

porcelanowych figurek to przecież przestępstwo. Jednak bardziej przeraził ją fakt, że niedawno w jednej z miejscowych szkół podstawowych rozprowadzano Ecstasy. Jedną taką tabletkę wysłano do analizy i stwierdzono w jej składzie nie tylko amfetaminę, ale i drobną ilość kokainy. Wiedziała, czym się kończy handel narkotykami i jak odbije się na życiu miasteczka. Dilerzy zawsze dążą do tego, by rozwinąć działalność – im więcej klientów, tym większe pieniądze. A młodzi klienci gwarantowali dochody do końca życia – nieważne, jakie było ono długie. Dilerzy nie dbali o to, czy dzieciaki zaćpają się na śmierć – zawsze znajdowali sobie następnych. Martwili się tylko ich rodzice, rodzeństwo i znajomi, choć też nie zawsze.

Niepokoili ją ci dilerzy. Byli bezwzględni, pozbawieni moralności i siali wokół ogromne spustoszenie. A zadaniem policji było rozwiązać wszelkimi metodami ten problem.

Joanna siedziała, wpatrzona przed siebie.

Handel narkotykami to zaraza. Żaden z jej informatorów chyba nie zdaje sobie sprawy, że nawet w tak maleńkim miasteczku przebiega on bez ograniczeń i na tak szeroką skalę, że nie wiadomo, jak go opanować.

Przed jedenastą doktor Jonah Wilson trafił do kostnicy, gdzie spoglądał na blade, bezwładne ciało. Zerknął w końcu na kolegę.

– Będzie mi brakowało tego starego pryka.

Paul Haddon posłał Jonahowi szeroki uśmiech i podniósł te swoje ciemne oczy spod ciężkich powiek.

– To cud, że przy swoim stylu życia tak długo pociągnął. – Zaśmiał się. – Tyle razy omal nie rozjechałem go karawanem... Zataczał się na jezdni, kompletnie zalany.

Jonah skrzywił się, po czym przyłożył końcówkę słuchawki do piersi nieboszczyka.

– Całkiem sztywny – orzekł. – Do kremacji? Haddon skinął głową.

Jonah spuścił wzrok.

– To serce – stwierdził. – Ci z dochodzeniówki się ucieszą. Obejdzie się bez sekcji zwłok. Od lat wiedziałem, że to się tak skończy.

14

Obyśmy tylko nie narażali jego rodziny na dodatkowy stres. – Podniósł głowę. – Paul...?

Przedsiębiorca pogrzebowy jakby zastygł, wpatrując się w zmarłego. Na dźwięk swego imienia drgnął i zachwiał się.

– Wybacz, Jonah – szepnął. – Zamyśliłem się. Jonah położył mu dłoń na ramieniu.

– Chyba nie masz wyrzutów, Paul?

– Nie – odparł przedsiębiorca pogrzebowy, przygryzając wargę. – Chyba nie.

Jonah odwrócił się do zlewu i umył ręce.

– A tak przy okazji – dodał. – Smithy nie przyszła dziś rano do pracy.

Haddon wlepił w niego wzrok.

– Naprawdę? Jonah skinął głową.

– A próbowałaś się z nią skontaktować?

– Koleżanki próbowały.

– No i co?

– Nie odbiera telefonu. Widocznie nie ma jej w domu.

– Więc gdzie ona jest? Popatrzyli jeden na drugiego. Paul odezwał się pierwszy:

– A co z jej psem?

Jonah potrząsnął głową. Zamknął torbę i wstał.

– Może powinienem tam zajrzeć – rzekł niepewnie. – I sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku.

Przyjaciel położył mu dłoń na ramieniu, jakby chciał go powstrzymać.

– Na twoim miejscu nie robiłbym tego, Jonah – poradził. – Lepiej zostaw ją w spokoju. Niech ktoś inny do niej jedzie.

Na twarzy Jonaha malowało się zwątpienie.

– Ona u mnie pracuje – odparł. – Może coś jej się stało. Może leży tam i cierpi... bo upadła i zrobiła sobie krzywdę. Kto inny miałby tam jechać?

– Ktoś na pewno tam trafi – odrzekł Paul poważnym tonem. – A jeśli nie, to tym lepiej.

– No wiesz, Paul... – Jonah zsunął jego dłoń z ramienia.

15

– Nie rozumiem, po co w ogóle zawracasz sobie nią głowę – zachnął się Paul. – Ja mam inny charakter niż ty, Jonah. Nie umiem jej wybaczyć. – Spojrzał przed siebie. – Tylu ludziom zrujnowała życie... Tyle przez nią nieszczęścia... –

Popatrzył na przyjaciela. – Nienawidzę jej – wyznał. – Szczerze jej nienawidzę... – I potrząsnął głową. – Na twoim miejscu nie jechałbym do niej. Lepiej daj sobie spokój.

Jego ciemne oczy wpatrywały się w twarz lekarza. Mówiąc, kiwał znacząco głową, aż nagle chwycił przyjaciela za ramię.

– Daj sobie spokój – powtórzył. – Lepiej się w to nie mieszaj. Ale Jonah miał niepewną, zakłopotaną minę.

– A jeśli... – zaczął poważnym tonem.

– Daj spokój! Zostaw to, Jonah. Lekarz westchnął i opuścił ramiona.

– A jeśli coś jej się stało...?

– No, miejmy taką nadzieję – skwitował ponuro przedsiębiorca pogrzebowy. Jonah wziął torbę.

– Wychodzę, Paul – oznajmił. Haddon znów chwycił go za ramię.

– Ja nie żartuję, Jonah – rzekł poważnym tonem. – Obiecuj mi, że tam nie pojedziesz.

Jonah zmarszczył brwi.

– Ale...

– Obiecuj mi.

– Dobrze, obiecuję.

Ben bardzo chciał już wyjść. Był niespokojny i przerażony. Zawył i kilkakrotnie głośno zaszczekał. W sypialni nic się nie poruszyło. Wiatr ustał. Na dworze zaczęło padać. Krople deszczu rozpryskiwały się o parapet. Ben znów zaszczekał, popatrzył na łóżko. Ale jego pani nie ruszała się wcale.

Pomknął schodami na dół i wywachał miejsce za sofą. Przykucnął niezdarnie. Jeśli jego pani się dowie, ukarze go. Gdy już skończył, z miną winowajcy ruszył na górę.

Jeśli tylko się dowie...

Przednimi łapami wspiał się na łóżko, liznął zimną dłoń.

16

Przed jedenastą Evelyn Shiers wróciła z zakupów. Weszła do kuchni, torbę postawiła na stole. Dziwne, pomyślała na widok czerwonego auta, stojącego na podjeździe sąsiadki. Może ma dziś wolne? Zanim włączyła radio, stała przez chwilę i w ciszy nasłuchiwała, nastawiając ucha niczym zwierzę, czy z sąsiednich drzwi nie dochodzą żadne dźwięki. Cisza. I nagle wycie Bena. Nic z tego nie rozumiała. Przecież Marilyn jest w domu. Jej samochód stoi przed domem. Więc dlaczego ten pies tak wyje? Zmarszczyła czoło, powoli składając myśli w logiczne wytłumaczenie.

– Nie wygłupiaj się – skarciła szeptem samą siebie. – Marilyn ma wolne. Jest w domu albo wyszła do miasta.

Jednak w głębi duszy tliła się mała wątpliwość: dlaczego sąsiadka nie wyprowadziła psa albo nie wypuściła go przed dom? I dlaczego on tak wyje? Te pytania pozostały bez odpowiedzi.

Zadzwonił jeszcze raz – nagliła Sally, popychając Maureen do telefonu. – Lekarz nie jest w stanie przyjąć wszystkich popołudniowych pacjentów. Ona musi tu przyjechać, choćby na kacu. Maureen spojrzała na nią.

– A czy kiedykolwiek widziałaś siostrę Smith na kacu?

Sally szybko wystukała numer. Wybierała go dziś tyle razy, że znała go już na pamięć.

– Na pewno leczy kaca. Wczoraj czuła się dobrze, nigdy nie choruje. Tylko dlaczego nawet nie zadzwoniła...? – Głos jej się urwał i odłożyła słuchawkę. Wychodząc z kostnicy, Jonah nagle poczuł się wolny. W powietrzu pachniało wiosną. Było pogodnie i bezchmurnie, a podróż przez wrzosowisko do małej, położonej na odludziu wioski Flash miała być spełnieniem jego marzenia o praktyce lekarskiej poza miastem. Gdyby jeszcze towarzyszyła mu Pamela, byłoby idealnie. Ale to nie była odpowiednia dla niej pora, nad czym ubolewał, gdyż zawsze pragnął dzielić z kimś te chwile, zamiast przeżywać je w samotności. Zerknął na swoją torbę, leżącą akurat na siedzeniu Pamelli, i usiłował skupić myśli na czekającej go wizycie domowej u pacjenta, którego odwiedzał regularnie – był to staruszek, który przez całe życie palił papierosy, a teraz oddychał jedynie przy pomocy butli tlenowych. Niewiele zostało mu

17

czasu, by zapłacić ostateczną cenę za każdą paczkę tych papierosów, które tak uwielbiał.

Jego żona, wychudła starowinka, mogła mieć około siedemdziesięciu pięciu lat.

Zajmowała się nim dniem i nocą, byleby tylko nie zabrali go do szpitala. Sama prała mu pościel, ręcznie, używając do tego wody ze studni. Gdyby kiedyś wioska Flash została podłączona do wodociągów, dla mieszkających tam nielicznych rodzin przez co najmniej kilka lat byłoby to luksusem. Na razie jednak trzeba było korzystać ze studni i źródełek.

I właśnie gdy Jonah sięgał do swej torby, żeby sprawdzić, czy zabrał strzykawkę, po raz drugi tego ranka spotkało go coś niemiłego. Ku jego niezadowoleniu okazało się, że zabrakło mu cienkich igieł do insuliny. Jedną ręką poszperał jeszcze na dnie torby, obserwując jednocześnie drogę. Zmarszczył czoło. Mógłby przysiąc, że zostało jeszcze kilka, ale widocznie wszystkie już zużył. Niech to szlag. Przynajmniej chociaż na chwilę wyrwało go to z uczucia pustki.

Evelyn kręciła się po domu cały ranek, nie mogąc zabrać się do swych codziennych zajęć – odkurzania mebli i dywanów i spryskiwania wszystkiego na oślep aromatycznym sprayem. Nie mogła oderwać się od okna i zabrać za porządne sprzątanie, tylko wyglądała zza firany, wypatrując przysadzistej sylwetki Marilyn, bez przerwy nasłuchując stukotu jej wysokich obcasów. Nie słyszała jednak nic prócz coraz to głośniejszego skowytu psa. Wreszcie przerwała sprzątanie i stanęła tak w miejscu, jedną dłonią wsparta na miotle. Nigdy przedtem nie słyszała, żeby Ben tak wył. Był raczej spokojnym psem, przyzwyczajonym do budy, łańcucha i pilnowania domu za dnia, gdy jego pani pracowała jako pielęgniarka w przychodni. W nocy zaś stróżował w wielkim koszu przy schodach. Głośne zachowanie zwierzęcia było więc czymś niezwykłym – wydawało się tak dziwne, że wręcz dręczyło ją i niepokoiło.

Obserwowała dom, wczekując jakichkolwiek oznak życia, skupiając wzrok na tych pomalowanych na jasny róż drzwiach z mosiężną kołatką, masywnymi mosiężnymi zawiasami i skrzynką na listy. Wpatrywała się w te drzwi, jakby wzrokiem chciała je otworzyć i było jej już wszystko jedno, czy Marilyn ją zobaczy. Evelyn wręcz ulżyłoby na jej widok i pewnie nawet pomachałaby do niej. Ale drzwi wciąż były

18 zamknięte. Spojrzała na okna. Na parterze dostrzegła zaciągnięte zasłony. I czerwona astra nadal stała przed domem.

Mimo to nie dochodziły stamtąd żadne oznaki życia ani odgłosy, prócz żałosnego skowytu psa, przerywanego nieznośnym, nerwowym ujadaniem.

Cały ranek Evelyn zastanawiała się, czy nie wyjść na ścieżkę, nie zapukać do drzwi, nie zawołać na sąsiadkę i nie spytać, czy wszystko w porządku, ale powstrzymała się ze względu na psa. Ben zawsze trochę ją przerażał. A do tego jeszcze pamiętała to zdarzenie sprzed roku...

Patrzyła wtedy z nudów przez kuchenne okno, choć wcale nie miała zamiaru podglądać. Przypadkiem dostrzegła jednak, że niespodziewanie pod sąsiedni dom podjeżdża furgonetka. Wyskoczył z niej mężczyzna, zatrzasnął drzwi, podbiegł do domu i zaczął dobijać się pięściami, wykrzykując przekleństwa i sprośne wyzwiska.

Serce Evelyn zadrżało na samo to wspomnienie.

Krępa postać Marilyn pojawiła się wtedy w drzwiach, podparta pod boki. Miała na sobie jakąś satynową podomkę, rozsuniętą tak, że było spod niej widać krągłe piersi. Wyśmiewała się z mężczyzny i krzyczała coś do niego, nie ustępując mu w przekleństwach. Gdy wyszła dalej do niego, jej satynowa podomka zsunęła jej się z ramion, obnażając niemal całą pierś i ukazując kawałek różowego sutka.

Wymachiwała mu palcem przed oczami, rozchylając duże, czerwone wargi. Krzyczeli oboje, aż nagle Marilyn ściszyła głos, a mężczyzna najwyraźniej się speszył. Wtedy właśnie Marilyn podniosła głowę i dostrzegła w oknie sąsiadkę.

Oboje tamci obrzucili ją stekiem wstrętnych, obraźliwych wyzwisk, aż Evelyn osunęła się na podłogę, roztrzęsiona i wystraszona. Słyszała, jak Marilyn krzyczy i grozi, że poszczuje ją psem. I od tamtej pory Eve-lyn bała się Marilyn Smith...

Tak więc nie poszła do domu sąsiadki, tylko zajęła się czym innym, co odwróciło jej uwagę: poprawiła poduszki, wytarła próg i chciała posprzątać bałagan w szafie. Jednak kiedy wysypało się z niej kolorowe kłębowisko męskich swetrów, koszul, krawatów i skarpet, wzdrygnęła się, pozbierała rzeczy, upchnęła je z powrotem w szafie i zatrzasnęła drzwi.

Mrucząc pod nosem, przetarła okna, odkurzyła półki, umyła podłogę w kuchni. Nie włączyła nawet radia, tylko co parę minut stawała

19

w oknie, wpatrywała się w dom za niskim murem i nasłuchiwała donośnego ujadania.

Dopiero w porze obiadowej uświadomiła sobie, że tam musiało się coś stać. Marilyn nie zostawiłaby psa zamkniętego w środku na tak długo. Inaczej zwierzę zdewastowałoby jej cały dom. Marilyn też musi tam być. Evelyn obserwowała dom z coraz to większym niepokojem, aż w końcu załamała ręce, nie wiedząc, co robić. – Pomocy – wyjąkała. – Błagam, niech mi ktoś pomoże.

Bena ogarnęło paniczne przerażenie. Zaskomlał i przebiegł po sypialni z podkulonym ogonem. Obserwując leżącą nieruchomo w łóżku sylwetkę, bał się, że gdy tylko jego pani zobaczy ten bałagan na parterze, na pewno go ukarze.

Warknął, zawył i zbiegł na dół do kuchni. Kroplami wody z ciekącego kranu ugasił pragnienie. Polizał też kawałek mięsa na stojącym obok talerzu. A potem ruszył z powrotem na górę...

Wybiła druga. Sąsiadka wciąż nie dawała żadnych oznak życia, słychać było tylko skowyt psa. Evelyn zadzwoniła do przychodni, by poprosić do telefonu siostrę Smith.

Na próżno łudziła się, że usłyszy głos Marilyn, a gdy ktoś odebrał słuchawkę, zdołała rzucić tylko: – Poproszę z siostrą Smith.

Wtedy ogarnął ją paniczny strach i natychmiast się rozłączyła.

Doktor Jonah przyglądał się, jak staruszek z trudem łapie oddech. Z odrobiną współczucia dotknął dłoni pacjenta.

– Panie Jack – odezwał się – jest pan dziś w bardzo kiepskim stanie. Trzeba koniecznie do szpitala. Tutaj nie dam rady utrzymać pana przy życiu. – Mówił powoli, wyraźnie, krótkimi zdaniami.

Staruszek zrozumiał. Zamknął oczy i słabym, chrypliwym głosem odparł: – Skoro nie pożyję w domu, panie doktorze, to już koniec. Żaden szpital mi nie pomoże. Kilka dni czy miesięcy dłużej nic mi nie da – nie za taką cenę.

Przerwy między tymi słowami stawały się coraz dłuższe, a po ostatnich słowach zamknął oczy. Ani dla lekarza, ani dla żony nie byłoby zaskoczeniem, gdyby starzec już więcej się nie odezwał.

20

Jego żona dotknęła ramienia Jonaha.

– Niech zostanie w domu, panie doktorze. Co ma być, to będzie. – Miała zaciętą i zdecydowaną minę, poważny wyraz twarzy, a opalona cera nadawała jej pierwotny, surowy i nieustępliwy wygląd. Kobiety z wrzosowiska to twarde sztuki.

Jonah skinął głową.

– Zgoda. Co ma być, to będzie. Staruszek z trudem otworzył oczy.

– No właśnie, panie doktorze. Ona ma rację. – I założył maskę tlenową na usta i nos. Zaparowała od jego oddechu, a zmęczone powieki znów opadły ciężko. Twarz miał wychudłą i poszarzałą z wysiłku.

– Mogę panu dać zastrzyk – zasugerował Jonah. – Ułatwi panu oddychanie. – Spojrzał znowu na staruszkę. – Ale czy na pewno nie chce pan poleżeć w szpitalu, dać żonie trochę odetchnąć?

Starzec złapał się kurczowo ręki lekarza i potrząsnął głową.

– Nie – odparł. – Jeśli tam pojedę, umrę natychmiast.

Jonah miał już na to gotową odpowiedź, ale ugryzł się w język. Wyjął tylko z torby strzykawkę i ampułkę aminofiliny. Ostrożnie założył ucisk na wychudłym ramieniu, wybrał wyraźnie odznaczającą się niebieską żyłę i wstrzyknął lek.

Staruszek zamknął oczy.

O trzeciej po południu Evelyn nie mogła już dłużej znieść rozpaczliwego wycia psa. Stała z filiżanką herbaty przy kuchennym oknie, wsłuchując się w nieustanny skowyt.

I nagle uświadomiła sobie, że Marilyn już nigdy nie pojawi się w drzwiach ani nie wsiądzie do auta, tak jak to robiła setki razy na jej oczach. Odważyła się więc na nieprawdopodobną rzecz. Wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi, zdecydowanym krokiem minęła różowe lwy, stojące ni słupach furtki ogrodu Marilyn, podeszła do drzwi, uniosła i opuściła wieczko skrzynki na listy, nacisnęła dzwonek i zawołała sąsiadkę po'imieniu. Jej głos odbił się echem po ścianach.

Pies popędził schodami na dół, jazgocząc wściekle, a przerażona Evelyn pobiegła z powrotem do swego domu i znów zadzwoniła do przychodni.

– Halo – odezwała się do słuchawki. – Proszę zawołać panią Marilyn Smith. Jej pies dziwnie się zachowuje – wyrzuciła z siebie jednym tchem i nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę.

21

W przychodni telefon odebrała Maureen. Stała, gapiąc się w słuchawkę-i mrugając

oczami zza wielkich, okrągłych okularów. Nagle przeszył ją dreszcz i poczuła niepokój, jakby jakieś trupie dłonie musnęły ją po plecach.

– To znowu ta kobieta – oznajmiła. – Chciała rozmawiać z siostrą Smith.

– Dzwon na policję – nakazała Sally zdecydowanym tonem. – Natychmiast. – Koleżanka stała nieruchomo, więc sama chwyciła za telefon. – Do diabła, dzwońmy na policję!

Eleganckie, białe auto, ozdobione jaskraworóżowym paskiem, krażyło wokół rynku, a jadący nim ludzie pilnowali, by źle zaparkowane wozy nie blokowały wąskiej ulicy, i obserwowali grupkę młodzieży przy wypożyczalni filmów wideo. Wtedy właśnie otrzymali wezwanie. Błysnął niebieski „kogut” i auto pomknęło wzdłuż High Street, skręciło w Silk Street i w kilka minut dotarło na miejsce. Dwóch umundurowanych policjantów weszło na podjazd po zgrzytającym żwirze. Zatrzymali się przy zaparkowanym samochodzie. Zamknięty. Zapukali do frontowych drzwi, zza których powitał ich wściekły jazgot Bena. Spojrzeli po sobie niepewnie.

– Nie mam ochoty na spotkanie z tym potworem – odezwał się jeden z nich. Krzycząc przez otwór na listy, poczuli się nieco idiotycznie.

– Halo! Czy jest tam ktoś? Pani Smith? Ha-lo! Halo, pani Smith. Pani Ma-ri-lyyyyn!

Odpowiedziało im tylko ujadanie psa, więc szybko zamknęli klapkę. Podeszli od drugiej strony domu, usiłując otworzyć okna, a pies podążał za ich głosami z pokoju do pokoju, szcękając zaciekle i warcząc nieprzyjaźnie na przemian. Policjanci obserwowali go przez szybę, po czym wrócili do wozu i wysłali wiadomość przez radio.

– Nikogo nie ma w domu, tylko pies szczeka jak oszalały. Żadnych śladów włamania. Trzeba będzie wejść do środka, ale potrzebna nam pomoc przy tym psie.

– Zrozumiałem... Bez odbioru.

22

/

Sierżant Mikę Korpanski odłożył słuchawkę i zanotował informacje.

Intuicja podpowiadała mu, że to nie były żarty. Ani ktoś, kto włamał się do jej domu, licząc, że późno wróci z jakiejś nocnej wizyty czy z szalonych zakupów.

Tyle można było wywnioskować z zachowania psa. Z przyzwyczajenia Mikę postanowił jednak sam zadzwonić do Ma-rilyn Smith. Zgodnie z jego przewidywaniem, nikt się nie zgłosił. Odłożył więc słuchawkę.

W myślach szybko zebrał fakty... Niezameżna kobieta, wiek około czterdziestu lat, mieszka sama, stan zdrowia dobry. Niespodziewanie nie pojawiła się w pracy. Nie podnosi słuchawki, a do przychodni są dwa dziwne telefony: ktoś chciał z nią rozmawiać, a potem rozłączał się, nie podając nawet swego nazwiska. Przed domem stoi zamknięte auto. Mundurowi z patrolu twierdzą, że brak wyraźnych śladów włamania. Słychać wycie psa>

I to go właśnie zaniepokoiło. W przychodni mówili, że kobieta była bardzo przywiązana do swego psa, że byli niemal nierozłączni. Nigdy nie zostawiała go samego, chyba że wychodziła do pracy, ale wtedy pies przebywał zamknięty bezpiecznie w zagrodzie przed domem. Sierżant Korpanski spojrzął na zamknięte drzwi biura Joanny Piercy i skrzywił się. Chyba to właśnie jemu przyjdzie ją poinformować.

Mikę – bo lubił, gdy tak się do niego zwracano – miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne oczy, czarne, ścięte na języka włosy i szeroki, masywny kark. Jego ojciec, Polak-patriota, walczył dzielnie po stronie brytyjskiej, po czym, uwiedziony przez miejscową kobietę, został w Anglii na stałe. Mikę był ich jedynym ukochanym synem. Dbał o sprawność fizyczną; po jego sylwetce widać było, że kilka godzin w tygodniu spędza na siłowni, gdzie podnosi ciężary. Potężne bicep'sy, proste, umięśnione plecy i mocne ścięgna gwarantowały mu popularność wśród policjantów, a dla niższych rangą stanowił wzór do naśladowania. Był też pogodny, zwykle uśmiechnięty i przyjazny – chyba że odczuwał zażenowanie, złość albo jedno i drugie, tak jak teraz. Zapukał do drzwi szefowej Piercy i czekał, zły sam na siebie za to, że musi stać w korytarzu, dopóki pani inspektor łaskawie go nie wezwała.

Stał wtedy w rozkroku przy jej biurku, tak blisko, że niemal dotknął jej gęstych, ciemnych włosów, opadających na świeżo wyprasowaną białą bluzkę. W dłoniach, między cienkimi palcami, obracała dłu-

23

gopis, słuchając go uważnie. Pochyliła się lekko do przodu, a jej niebieskie oczy o inteligentnym spojrzeniu skupiły się na jego twarzy. Zarysowana na jej

czole między brwiami zmarszczka, która nie znikwała nawet wtedy, gdy Piercy wybuchła śmiechem, pogłębiała się przy jej poważnej minie. W ciągu paru sekund opowiedział jej wszystko, dostrzegając błysk w jej oku, gdy tylko zwierzyła nowe wyzwanie. Zrozumiał, że choć dzieliło ich wiele – bardzo wiele – mieli przynajmniej jedną wspólną cechę: pasję zawodową.

Gdy skończył, odchrząknęła tylko i zarzuciła go kilkoma lakonicznymi pytaniami:

– Wiadomo kto telefonował do przychodni?

– Niestety.

– A kiedy widziano ją po raz ostatni?

– Wczoraj około siedemnastej, po pracy.

Nie dodając ani słowa, wstała, zdjęła z oparcia krzesła marynarkę i spieszenie założyła ją na białą bluzkę.

– No, to w drogę – rzuciła ochoczo. – Prowadź, sierżancie.

– Tak jest, pani inspektor. – Jej wyraźnie ironiczny ton sprawił, że w jego głosie zabrzmiało znużenie i rozczarowanie. Poczł się nagle rozgorączony, gdy podchodząc do drzwi, Piercy emanowała silną kobiecością, a delikatny, łagodny zapach jej perfum, który uderzył go po nozdrzach, jeszcze bardziej podkreślał ten fakt.

Na dźwięk tego jego tonu głosu Joanna zacisnęła usta, a szczery uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Wspomniałeś coś o psie... – rzuciła oficjalnym tonem. Skinął głową.

– Tak, ona ma owczarka niemieckiego. Sąsiadka mówiła, że to tresowany pies obronny. Widocznie pełni rolę jej osobistego ochroniarza.

– Bardzo rozsądny pomysł – zauważyła Joanna z aprobatą. – Niezameżna, mieszka sama... – Śmiało spojrzała Mike'owi prosto w oczy. – Może ja też powinnam kupić sobie takiego psa, sierżancie...?

Kiwnął głową.

– Chyba tak... – I stanął, zażenowany, speszony własną niepewnością, czując się w tej sytuacji bardzo nieswojo, dopóki Joanna nie odezwała się zdecydowanym tonem:

– No tak, to dzwoń po weterynarza.

24

Mikę zarumienił się.

– Tak jest, pani inspektor.

Weterynarz nadjechał starym, zabłoconym, zielonym landroverem. Joanna wciągnęła powietrze, marszcząc nos.

– Którędy pan tu jechał? Przez pastwiska? Weterynarz zaśmiał się bez urazy.

– Przynajmniej naturalny zapach, pani inspektor – odparł. – Jeśli ktoś woli wachać smród freonu i chemikaliów z supermarketu, to niech jedzie do miasta. Ja tam wolę zapachy natury. – Uśmiechnął się do niej szeroko i wyciągnął dłoń. – Domyślam się, że pani inspektor Piercy? Jestem Roderick Beeston.

Trudno jej było zachować powagę i dystans wobec jego przyjaznego i szczerego usposobienia. Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Zdaje się, że czeka tam na nas jakieś groźne zwierzę – oznajmiła.

Weterynarz zmrużył oczy. – Groźne zwierzę?

Miał wprawdzie rozbawioną minę, ale Piercy wyczuła, że w jego opinii zwierzę nigdy nie staje się agresywne bez powodu. Ponagliła Mikę, by wsiadł do radiowozu, a weterynarz ruszył za nimi swoim land-roverem.

W drodze na miejsce Joanna obejrzała się kilkakrotnie na niego i zauważyła, że uśmiecha się do niej znad kierownicy, machając beztrąsko od czasu do czasu jedną ręką, podczas gdy drugą swobodnie prowadził auto. W pewnej chwili zdecydowanym ruchem pokazał skierowany w górę kciuk i poruszył wargami. Joanna nie zdołała się domyślić, co powiedział. Gdy wreszcie dogonił ich na światłach, szybko miał całkiem skręconą w dół.

– Znam tego Bena – zawołał. – To świetny stróż. Połknąłby panią na śniadanie, a potem jeszcze i tak domagałby się swojej kiełbasy.

Joanna zarumieniła się i posłała mu wymuszony uśmiech. Przy zmianie światła ruszyli, skręcili w prawo, potem w lewo, i jeszcze raz w lewo, w Silk Street. Mikę zatrzymał się przy domu numer 19, tuż za pierwszym radiowozem.

– To chyba tu.

Joanna uniosła brwi na widok różowych lwów na słupach furtki. Zaciekało ją, kim właściwie jest mieszkająca w tym domu kobieta i co zastaną wewnątrz.

Podniosła wzrok na budynek z czerwonej cegły,

25

0 podwójnych, plastikowych oknach, przystrojonych fantazyjnymi austriackimi żaluzjami.

Ruszyła za weterynarzem w zielonym kombinezonie i kaloszach

1 w ślad za ciężkimi krokami sierżanta Korpanskiego, mijając zaparkowaną na podjeździe czerwoną nową vauxhall astrę.

– Nieźle się jej powodzi, jak na pielęgniarkę – zauważyła głośno.

– Chyba że miała bogatego męża.

Weterynarz podrapał się po siwej brodzie.

– Wyjątkowo szowinistyczne podejście – zauważył – jak na pierwszą szefową dochodzeniówki w Leek.

Speszona, zwróciła się do Mike'a:

– To ona nie była mężatką?

– Nic o tym nie wiem.

Na końcu podjazdu natknęli się na dwóch umundurowanych policjantów. Mieli nieco zażenowane i skruszone miny.

– Już dawno byśmy tam weszli – tłumaczył się jeden z nich – gdyby nie ten brytan.

Joanna zatrzymała się na chwilę.

– W porządku – rzuciła obojętnie. – Może nawet lepiej, bo jeśli coś się tam stało, nie wolno nam zostawiać po sobie zbyt wielu śladów.

– Zmarszczyła czoło i spojrzała na nich. – Są zbite szyby? Albo wyłamane drzwi?

– Nie. – Potrząsnęli głowami. – Nic podobnego. Piercy zamyśliła się na chwilę.

– Takiego domu nie można kupić z pensji pielęgniarki.

– Ani z pensji policjanta – prychnął Mikę. – Chyba że inspektora.

Wyczuła w jego tonie pewną niechęć.

– No coś ty, Mikę! – rzuciła łagodnie. – To tak się dla ciebie liczą pieniądze?

A ja myślałam, że najbardziej to seks...

– Mam rodzinę – odparł. – Dlatego potrzebuję pieniędzy. Powstrzymała się od ciętej riposty.

– Na litość boską, bierzmy się lepiej do roboty, Mikę. A swoje emocje, swoją złość i zawiść zachowaj dla siebie, i tyle. Tu nie ma na nie miejsca. Lepiej bierzmy się do roboty. I żebyś wiedział, nerwusie – dodała, uśmiechając się szeroko – że pensja inspektora wcale nie jest wygórowana. I bynajmniej nie tędy droga do świata bogaczy. A teraz bierzmy się już do pracy, co?

Ciemne oczy Mike'a aż iskrzyły się ze złości, ale nie odezwał się ani słowem.

Joanna uderzyła we frontowe drzwi.

– Pani Smith... Pani Smith! Jest pani tam?

Przez chwilę zawahała się, po czym podjęła kolejną próbę, krzyząc przez otwór na listy: – Halo! Czy jest tam ktoś?

W odpowiedzi usłyszeli głośne warknięcia, a zaraz po nim wściekłe ujadanie.

Joanna cofnęła się, gdy zwierzę przytknęło czarny pysk do otworu na listy.

Spojrzała na weterynarza.

– Zostawiam go panu.

Roderick Beeston skinął głową i wyjął z kieszeni pojemnik.

– Spryskam go trochę – oznajmił – zanim znowu zaczniesz walić w te drzwi. To go tylko rozjuszy. Wiem, jaki jest Ben. To duży, zły pies.

Mrugnął do Mike'a, a Joanna wyczuła między nimi dwoma pewną więź, która objęła też stojących z tyłu umundurowanych policjantów, wykluczając tylko ją.

– Dobrze, tylko błagam, niech się pan pospieszy – ponagliła ostro. – Na pewno coś się stało. Im szybciej wejdziemy do środka, tym lepiej. Może ta kobieta jest chora.

Weterynarz zabrał z tylnego siedzenia landrovera parę grubych, skórzanych rękawic. Następnie uniósł klapkę otworu na listy. Cała czwórka funkcjonariuszy przyglądała mu się z zaciekawieniem. Kilkakrotnie rozpylił jakąś substancję w stronę rozjuszonego psa. Ujadanie stało się coraz cichsze, aż całkiem ustało. Usłyszeli huk, gdy ciężki pies powalił się na podłogę. Weterynarz był wyraźnie zadowolony.

– To znieczulenie ogólne – wyjaśnił. – Działa przez godzinę. – Włożył pojemnik z powrotem do kieszeni. – Używam tego pierwszy raz – dodał. – Dopiero co pojawiło się na rynku. Niezła rzecz.

– Bardzo ciekawe. – Joanna usiłowała zignorować rozbawioną minę Mike'a. – I pewnie dobre dla włamywaczy, by unieszkodliwiać groźne psy.

Weterynarz spojrzał na nią.

– Wyprodukowano ten środek po to, żeby zmniejszyć liczbę pogryzień weterynarzy

przez psy – wyjaśnił. – To poważny problem i nie daj Boże, żeby trafiła do nas wściekliczna, bo wtedy każde pogryzienie przez psa mogłoby skończyć się śmiercią. – Spojrzał na nią z posępną miną. – Nawet policja w pewnych sytuacjach chętnie z niego

27

skorzysta. Przecież nie wyprodukowali go po to, by utrudniać życie obrońcom prawa i zachęcać włamywaczy. Nie ma powodu popadać w paranoję, pani inspektor – dodał nieco złośliwie. – Na rynku jest wiele produktów, których używa się niezgodnie z ich przeznaczeniem. Weźmy na przykład taki klej butapren... Joanna puściła tę uwagę mimo uszu i stłumiła nagły przypływ gniewu. Zwróciła się tylko do dwóch funkcjonariuszy w mundurach:

– No, na co czekacie? Wchodzimy!

To nie było trudne. Bezpieczeństwo Marilyn Smith zależało wyłącznie od psa. Wystarczyło lekko pchnąć szybę w drzwiach, sięgnąć ręką do środka, by otworzyć zamek, i już znaleźli się wewnątrz, zostawiając weterynarza z leżącym psem. Wnętrze domu uderzało mnogością barw: czerwone petunie na tapecie w holu, drzwi i okna pomalowane na jaskrawy kolor fuksji, przesadnie wzorzyste dywany. Weszli do pierwszego pokoju.

Wystarczyły im niespełna trzy minuty, by ustalić, skąd pochodził unoszący się w powietrzu fetor. Mikę wdepnął w odchody Bena, które zdesperowane zwierzę zostawiło za obitą perkalem sofą w pokoju gościnnym.

Trzej funkcjonariusze zostali na parterze, Joanna zaś ruszyła niskimi schodami na piętro, na spotkanie z czającym się tam złem. W łazience nie zastała nic prócz rozrzuconych na podłodze ubrań i tłustych zacieków w wannie. W powietrzu unosiła się słaba woń piżma, jakby przed paroma godzinami ktoś wykopał się w jakimś egzotycznym olejku. Zapach ten wzbudził w niej niepokój.

Za łazienką była mała sypialnia. Panował tu porządek, dominował żółty kolor, lecz pokój wydawał się nie zamieszkanym; drugi zaś, pomalowany na turkus, przeznaczony był wyłącznie dla gości.

Dopiero w trzecim pokoju Joanna znalazła zaginioną pielęgniarkę. Była to kolejna sypialnia urządzona w jasnych kolorach. Wiatr rozdzielił zasunięte zasłony tak, że światło padało na przemian cętkowanym promieniem słońca i nieco wyblakłym różem abażurów dwóch lamp. Stwarzało to tani, nienaturalny efekt, który był jedyną oznaką życia w tym pokoju. Kobieta na łóżku leżała bowiem nieruchomo. Joanna wpatrywała się w nią, przerażona teatralnym, burdelowym wystrojem pomieszczenia i głównej postaci w nim – leżącej na łóżku

28

dziwki. Inny widok spodziewała się zastać w domu pielęgniarki. Bynajmniej nie taki.

– O Boże–jęknęła cicho. – O Boże...

Marilyn Smith leżała z rozrzuconymi rękami i nogami na łóżku, jej pulchne ciało wylewało się z ciasnego, czarnego, fiszbinowego gorsetu. Miała na sobie podwiązki i czarne pończochy. W jednej z nich na całej długości leciało oczko – od krągłości jej wielkiego, grubego uda aż po masywną łydkę, zakończoną butem na wysokim obcasie, jakie noszą prostytutki. Na twarzy miała grubą, tłustą warstwę obficie nałożonego makijażu, jej czerwone, wyszminekowane wargi były rozchylone. Na wpół przymknięte oczy patrzyły obojętnie spod wymalowanego fioletem cieniem powiek, mocno obrysowanych czarną kredką.

Joanna podeszła bliżej i dostrzegła jeszcze inne szczegóły – zwały tłuszczu pod białą skórą, uwypuklone nad pończochami, i wciśnięte w koronkowy materiał krocze, pokryte włosami łonowymi. Poczowała odrazę, a jednocześnie nagły przypływ współczucia dla martwej kobiety. Cały czas jednak notowała w pamięci szczegóły, by potem przedstawić je koronerowi. Trzeba zachować dla siebie wszelkie ryzykowne i krępujące porównania, pani inspektor – nakazała sobie w myślach. Na łóżku leży ofiara, a ty nią nie jesteś.

Śmierć nigdy nie pozostawia żadnych wątpliwości. Patrząc na trupa, nigdy nie zastanawiamy się, czy jeszcze żyje. Bo śmierć można poznać po kolorze – zostawia blade plamy, dolne części kończyn sinieją, gdy spływa do nich krew. Oczy patrzą wzrokiem martwej ryby, skóra traci jędrność. Ciało pozbawione jest ducha i emanuje z niego chłód, bo trup pozbawiony jest wszelkiego ciepła. Joanna wzięła głęboki oddech, by stłumić nudności. Zawsze trudno było jej oswoić się ze śmiercią, a szczególnie teraz, gdy zetknęła się z nią w tak sprośnej formie. Wpatrywała się z narastającym obrzydzeniem w rzekomo uwodzicielski ubiór Marilyn: czarna, koronkowa bielizna, podwiązki, czerwo-no-czarne stringi, w

pełni widoczne między rozłożonymi nogami, sztywne fiszbiny czarnej baskinki uwydatniające wielki biust. Ręce zarzucone do góry w wyuzdanej pozie, obnażające świeżo wygolone pachy. Joanna przyjrzała się uważnie i dostrzegła plamki pozostałej po goleniu krwi, zmieszanej z kropelkami zimnego potu.

Niespodziewanie wiatr rozwiął zasłony i ukazał nagle Marilyn Smith w rażącym świetle dziennym, na świeżo zaścielonym łóżku, ale już po chwili zasło-

29

ny opadły i w sypialni znów zapanował ten sam półmrok, co zapewne poprzedniego wieczoru, rozświetlony jedynie intymnym, różowawym blaskiem lamp. Joannie pomyślała sobie, że tak właśnie musiał wyglądać pokój w chwili, gdy kobieta zmarła. Wzdrygnęła się, cofnęła o krok i stopą dotknęła na w pół opróżnioną butelkę szampana, która leżała przewrócona na dywanie. Rozpoznała czarną etykietę ze złotym napisem i postanowiła, że już nigdy w życiu nie wypije szampana marki Du-val-Lercy, bo od tej pory zawsze będzie się jej kojarzył z tym ohydny, sprośnym widokiem odsłaniającym ciemną, wulgarną stronę seksu. Przeszła przez pokój do okna. Było lekko uchylone i zablokowane. Wyjrzała na zewnątrz, uważając, by niczego nie dotykać. Ściana była dość stroma. Za wysoko, by z niej zeskokczyć albo wdrapać się po niej, zwłaszcza że nie było tu żadnych gzymsów, pnących się roślin ani nawet rynny.

– Miku! – zawołała. – Miku, znalazłam ją. Jest tutaj.

W sypialni przez cały czas odnotowywała wszelkie szczegóły, jak na profesjonalistkę przystało: jeden kieliszek na stoliku nocnym, egzemplarze Vogue'a rozłożone po całym pokoju, całe mnóstwo zakurzonych, sztucznych kwiatów z jedwabiu, kiczowate obrazy, włączony odtwarzacz płyt kompaktowych, a w nim składanka największych przebojów

0 miłości; do tego zapach taniego, popularnego odświeżacza powietrza i ciężkich, odurzających perfum. I potu. Kobięca natura Joanny była zniesmaczona całą tą tandetą. Nie sposób pomylić się w domysłach, do czego służył ten pokój. Dreszcz ją przeszył. Obserwowała poruszające się zasłony. Nagle zrobiło jej się słabo.

– Boże... – Miku stanął tuż za nią i omal nie opadła w jego silne ramiona. – A to co? Wygląda jak jakaś... – Przerwał z braku słów, a jego zawahanie sprawiło, że znów poczuła się zwierchniczką, opanowała słabość i przeszła do oględzin miejsca bez cienia emocji.

No właśnie: co tu mieli? Nie ulega wątpliwości, że znaleźli trupa. A więc morderstwo? Niewykluczone. Samobójstwo? Też możliwe.

Niespodziewana, nagła śmierć. Co do tego mieli pewność. Marilyn Smith nie poszła do łóżka, wiedząc, że umrze.

– Trzeba wezwać lekarza – stwierdziła Piercy.

– Doktora Wilsona?

30

Potrząsnęła głową. – Nie, doktora Bose'a, lekarza policyjnego. Potrzebna będzie też ekipa śledcza z wydziału zabójstw i fotograf. Ja porozmawiam z koronerem – dodała. – Konieczna będzie sekcja zwłok.

Trzeba nadać bieg tej sprawie. Nagły zgon, przyczyna jeszcze nieznaną. Na oko jedynie ubiór denatki sugerował coś więcej niż śmierć z przyczyn naturalnych. Możliwe, że w grę wchodzi narkotyki czy samobójstwo. Ale Joanna zdawała sobie sprawę, że musi mieć oczy otwarte. Kto wie, może gdzieś tam czai się jakiś morderca, nieco sprytniejszy niż typowy agresywny brutal, który atakuje w przypiływie szału, na oślep i bez ustalonego planu działania. Spojrzała na łóżko. Ubiór denatki nasuwał jej uzasadnione podejrzenie, że zeszłego wieczoru Marilyn Smith spodziewała się wizyty jakiegoś mężczyzny. Jednak jeśli zjawił się on w tym pokoju, z pewnością powodowały nim inne motywy niż chęć spędzenia romantycznej nocy, na którą Marilyn najwyraźniej miała nadzieję.

Szampan, łagodna muzyka, perfumy, seks, a potem śmierć. Co naprawdę się tu wydarzyło?

4

Miku spojrzał na nią.

– No i co dalej, pani inspektor? – spytał. Wiedziała, że ją sprawdza. A później opowie wszystko chłopakom w pubie. „I wiecie, co zrobiła ta głupia krowa?” Rechotliwy śmiech, niedowierzanie...

Podjęła wyzwanie.

– A od czego mamy oczy, Miku? Nie czekajmy tylko na doktora Bose'a. No, chodź – ponagliła. – Rozejrzyj się trochę. Spójrz, co się tu przed nami kryje.

Mikę zamrugał.

– Moim zdaniem zaćpała się – odparł powoli. – Ecstasy, „biała dama” albo koks... Może wzięła coś – ciągnął niepewnym tonem – czego nie miesza się z alkoholem. – Przerwał na chwilę, a gdy Joanna nie zareagowała, dodał nieco obronnym tonem: – Jakoś mi nie pasuje, że mogło to być cokolwiek innego. Sprawdziliśmy cały parter. Ani śladu włamania.

31

Spojrzał na leżące na łóżku zwłoki.

– Nie wygląda mi to na morderstwo.

– Bo nie ma krwi? – spytała ironicznie.

– Hm... Wiesz przecież, o co mi chodzi.

Wiedziała bardzo dobrze. Na miejscach zbrodni zawsze było pełno krwi, a obrazy z amerykańskich filmów jeszcze bardziej podsycaly to wyobrażenie.

– No, mów dalej – zachęciła go. Wskazał na łóżko.

– Wszędzie czysto – zauważył. – Idealny porządek. Joanna pokiwała głową.

– Rzeczywiście – odparła, zerkając na butelkę szampana. – Ale sama? W takim stroju? – Zrobiła ruch ręką w stronę czarnego gorsetu. – No cóż, pewnie i to się zdarza.

Pozycja ciała sugerowała, że kobiety nikt nie pchnął ani nie upadła. Zwłoki leżały w niemal wygodnej pozycji na gładko zaścielającej łóżko kołdrze. Joanna doskonale wiedziała, że wersja Mike'a nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Może dopiero ludzie z ekipy śledczej znajdą tu jakiegoś skręta czy strzykawkę – jak to zwykle bywa w takich przypadkach. Joanna zbliżyła się do łóżka od drugiej strony i omal nie przewróciła nogą małego, wiklinowego kosza na śmieci. Ręką w rękawiczce wyjęła z niego coś.

Podniosła to.

– Zobacz, metki z ceną, starannie odcięte.

Wygrzebała coś jeszcze: plastikowe opakowanie po drogich pończochach.

– Mikę – rzekła spokojnie. – To są nowe rzeczy. Wszystko, co ma na sobie, pochodzi prosto ze sklepu.

Raz jeszcze przyjrzała się jednej z metek, które trzymała w dłoni.

– I sporo kosztowało – dodała, wkładając metki do foliowej torebki.

– Jasny gwint – szepnął Mikę, spoglądając jej przez ramię. – Aż osiem funtów! – Gwizdnął cicho.

Joanna spojrzała z politowaniem na rozłożone na łóżku ciało, wielkie, blade, wyzute z wszelkiej godności – wystrojone po to, by kusić i nęcić, a teraz już tylko wzbudzające odrazę.

– Biedna kobietka – westchnęła. – Przy jej tuszy na niewiele się to zdało... Cholera...

32

Mikę przestępował z nogi na nogę, zakłopotany.

– Może byśmy ją czymś przykryli? Choćby dla przyzwoitości...

– Dla przyzwoitości? – To słowo było nie na miejscu, brzmiało źle, nedorzecznie. Joannie omal nie wybuchła śmiechem. Wysiłiła się jednak na opanowany, beznamiętny ton. – Znasz przecież reguły – rzekła. – Nie chciałabym tu niczego dotykać. A tak między nami, sierżancie, zdaje się, że przyzwoitość to kwestia postrzegania i nawet jeśli przykryjemy ją prześcieradłem, to i tak nic nie zmieni.

Zareagował na ten komentarz drwiącym spojrzeniem.

– Widzę, że pani inspektor już ją osądziła... I, zdaje się, uznała to za zabójstwo, chociaż... – pokiwał jej palcem przed nosem – chociaż nie ma na to najmniejszych dowodów.

– Och, daj spokój, Mikę – odparła, zataczając energicznie ręką dookoła sypialni. – Wszystko na to wskazuje. Ten pokój przypomina... – zawahała się – gniazdko rozkoszy, tylko brakuje jeszcze głównego bohatera. Gdzie jest ten facet? Czy zostawił jakikolwiek ślad?

Mikę przygryzł wargę.

– To był wypadek, śmiesz z przedawkowania albo kosztowne samobójstwo – stwierdził. – Ona sama jest sprawczynią całej tej tragedii. – Wskazał palcem prosto na głowę denatki. – Tak jak nieraz w kinie. Nie ułożyło jej się w życiu, więc wybrała sobie wymarzoną śmierć: w eleganckim stylu.

Joanna uniosła brwi.

– Możliwe, Mikę, ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków, bo z tego powodu w

sądownictwie zdarzają się największe afery.

Mikę nachmurzył się. Szyja mu poczerwieniała i mruknął tylko pod nosem, że pójdzie sprawdzić, czy przyjechał już lekarz. Po paru minutach wrócił, kręcąc głową.

– Ani śladu lekarza. – Podeszedł do niej i razem stanęli przy oknie. – Njeh pani inspektor posłucha – odezwał się. – Nikt nie mógł wtedy wejść. Parapet jest czysty, okna też nie można odblokować z zewnątrz. Ta kobieta zmarła w samotności. – Spojrzał na nią surowym, byстрым wzrokiem. – Pani inspektor – dodał łagodnie – proszę posłuchać mojej rady. Proszę nie robić z siebie idiotki i nie rozdmuchiwać tej prostej sytuacji do wielkiej zbrodni tylko po to, żeby zablysnąć. Sprawa jest oczywista. To narkotyki. Kobięcina zwyczajnie wystroiła się i przedawkowała.

33

– Dzięki, Mikę – odparła. – Jestem ci stokrotnie wdzięczna. Naprawdę potrzebowałam twojej rady. Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła.

Zarumienił się i rozejrzał po sypialni.

Joanna poczuła się nagle przytłoczona tą duszną atmosferą.

– Co za ohyda, nie? – szepnęła, ale Mikę miał kamienny wyraz twarzy.

– Taka samotna śmierć w żalosalnej sypialni, sztucznie stylizowanej na gniazdko rozkoszy – rzucił uparcie.

Wzdrygnęła się. – Och, nie cierpię tego określenia.

– Którego? Samotna śmierć?

– Nie – odparła spokojnie. – Gniazdko rozkoszy – skrzywiła się.

Podmuch wiatru podwiał zasłonę. Joanna pociągnęła nosem.

– Perfumy – rzekła. – Czujesz? Silny zapach. – Znow pociągnęła nosem. – To nie żadna woda kwiatowa.

Zapach perfum sprawił, że wyciągnęła jednoznaczny wniosek.

– Czekala na kochanka – stwierdziła. – Może wcale nie przyszedł, ale ona na niego czekała...

A po chwili dodała:

– Ekipa śledcza ma przetrzepać ten pokój, a w razie konieczności nawet cały dom. Muszę się dowiedzieć, kim jest ten facet. Przekaż naszym, że mają zbadać każdy milimetr tego łóżka.

Spojrzała wnikliwie na Mike'a.

– Zgoda – rzekła jeszcze. – Może i się mylę. Jeśli tak, to jestem gotowa przyznać się do błędu, ale mogę się też założyć, że wczoraj wieczorem uprawiała seks, tylko muszę się dowiedzieć, z kim.

Mikę stał już przy drzwiach.

– W takim razie, pani inspektor, tajemniczy kochanek niech już drży! – odparł drwiąco.

– A ja dopilnuję, żeby to wyszło na jaw. I jeszcze jedno, Mikę... – spojrzała na jego kamienną twarz. – Nie mów do mnie „pani inspektor”, dobrze? Mam na imię Joanna. Od czasu do czasu, kiedy się zapominasz, zwracasz się do mnie po imieniu. Proszę cię, żebyś przy tym został, zgoda?

Ale Mikę potrzęsnał głową.

– Nie – odparł. – Jesteś moją zwierchniczką. Wiesz, jak powinienem się zwracać do przełożonej. Regulamin mówi...

34

/

– Dobra, już dobra – Joanna spiorunowała go wzrokiem. – Zamiast kręcić się tutaj, idź i porozmawiaj z jej lekarzem. Może on będzie w stanie coś nam wyjaśnić. Jakby skarżyła się na serce albo chorowała na cukrzycę...

Popełniła błąd, odsyłając Mike'a. W pokoju zapanowała cisza. I kompletny bezruch oprócz rozwiewanych wiatrem zasłon i głośnego pstryknięcia elektronicznego zegara w momencie zmiany cyfr podczas odliczania minut. Stojąc tam zupełnie sama, Joanna usiłowała ignorować leżące na łóżku zwłoki, ale mimo to wzdrygała się. Śmierć nie powinna być tak odrażająca. Marilyn Smith zasłużyła sobie chyba na odrobinę godności w ostatniej chwili życia. Joanna rozejrzała się, zapamiętując szczegóły... fiołka tabletek nasennych, na trzydzieści sztuk. A ile zostało? Joanna wysunęła małą szufladkę w stoliku nocnym. Żadnych pigułek antykoncepcyjnych ani innych podobnych środków. Mimo wszystko nie wyklucza to obecności mężczyzny, pomyślała.

Następnie wysunęła dolne szuflady, gdzie nie znalazła nic prócz starannie poukładanej bielizny, zwłaszcza w czarnym kolorze, jednak nic równie

ekscentrycznego, jak to, co miała na sobie w chwili śmierci. Szuflady we wbudowanych szafach też nie zawierały nic szczególnego poza kilkoma książkami, perfumami i kosmetykami.

Pobieżny przegląd sypialni nie dostarczył jednak dwóch najważniejszych dowodów – brakowało listu pożegnalnego czy jakichkolwiek oznak wyraźnie zdradzających zamiar popełnienia samobójstwa, nie było też żadnych śladów obecności drugiej osoby. Na leżącej pośrodku wezglowia poduszce widać było tylko jedno wgłębienie. Łóżko było świeżo zasłane, pościel gładka. Joanna przyjrzała się uważnie. Żadnych włosów, żadnych odkształceń po ciele innej osoby, ani śladu mężczyzny – czy kobiety – domniemanych gości ofiary zeszłej nocy. Joanna skrzywiła się. Ekipa śledcza będzie musiała skupić się szczególnie na tym łóżku, żeby odkryć jego sekrety.

Był jeszcze pies, Ben. Pilnował swej pani i biegał po domu. Wewnętrzne drzwi były otwarte. Ktokolwiek odwiedził zeszłej nocy dom przy Silk Street, nie został zaatakowany przez Bena.

Joanna wyjrzała za okno i obserwowała, jak puszyste korony kwitnących wiśni poruszają się na wietrze. Zamyśliła się. Być może wczoraj stała tu Marilyn Smith, wyglądając przez okno z tego samego miejsca. Ta myśl zaniepokoiła Joannę. Najgorsze w każdym zabójstwie jest to.

35

że o ofierze wciąż myśli się jak o żywym człowieku. A tu... coraz trudniej było jej znieść widok tych pulchnych nóg, rozłożonych w gotowości. Mimo to wyciągnęła rękę i celowo zmusiła się, by dotknąć ramienia denatki. Było zimne jak lód. Następnie przyjrzała się jej twarzy w najdrobniejszych szczegółach. Błada skóra pod grubą warstwą makijażu w kolorze ciemnej opalenizny, która odznaczała się wokół twarzy wyraźną, brudną linią. Fioletowe cienie do oczu, nałożone aż po same powieki i najbardziej odrażające, zatłuszczone, czerwone wargi, rozchylone, lekko odsłaniające – o dziwo – piękne, perłowobiałe zęby. Najwyraźniej Marilyn Smith nie stroniła od dentystów, co też zaintrygowało Joannę.

– Żadnych oznak przemocy. – Na głos Mike'a drgnęła nerwowo. – Przeszukaliśmy cały dom. Wszędzie czystość i porządek. Żadnych śladów użycia siły. Nigdzie nie ma krwi.

Mówił dalej, nie zważając na to, że ją wystraszył:

– Tak się składa, że Sammy Bose jest też jej lekarzem. Przyjedzie i oficjalnie potwierdzi jej tożsamość. Pytałem w przychodni. Już jedzie. – Spojrzał na nią, zaciekawiony. – Pani inspektor jest blada jak trup. Co się stało? Pani inspektor źle znosi brutalną śmierć? – Popatrzył znacząco na zwłoki. – Złośliwi mogliby twierdzić, że skoro pani inspektor tak źle to znosi, to trzeba było zająć się w życiu czymś innym.

Obrzuciła go spojrzeniem. – Nie próbuj mnie zdenerwować, Mike. To nic nie da. – Odwróciła głowę i spojrzała na zwłoki. – A poza tym to wcale nie wygląda na brutalną śmierć. Nagła, niespodziewana śmierć, ale nie brutalna.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem. – Gnębi cię to?

Potrząsnęła głową. – Nie. Nie sam fakt, że śmierć była nagła. Tylko... – Usiłowała znaleźć właściwe słowa, by opisać całą tę okropną atmosferę, wciąż podsycaną różowawym światłem dwóch lamp. Nagle nie wytrzymała: – Zgaś to obrzydlistwo – nakazała mu. – To wszystko musiało stać się niespodziewanie. – Wzięła głęboki oddech. – Ona nie była przygotowana na śmierć. Tego jestem pewna. – Naprawdę w to wierzysz? – Mike wzdrygnął ramionami. – Och, wy kobiety... – dodał.

Joanna nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

– No dobrze... – odezwał się po dłuższej chwili milczenia – zostałam sama przy tych zwłokach przez pięć minut. I kto to zrobił?

----- 36 -----

Zignorowała jego drwiący ton. – Co to za pytanie? – rzuciła, poirytowana. – Na razie nie ma nawet pewności co do tego, że ktoś inny w ogóle tu był.

– Ale powiedz mi jedną rzecz. – Uśmiechnął się szeroko. – Czy kobiety kładą się do łóżka w takim stroju, kiedy są same?

– Ja nie – ucięła krótko.

Zacisnął wargi. – A może tylko wtedy, gdy spodziewają się wizyty kochanka? Czy pani inspektor przypadkiem nie wie?

– Zaczekajmy na lekarza, sierżancie. Na razie proszę poskromić swoją wyobraźnię.

– A może... – ciągnął – może to sprawa psa. Skoro nie samobójstwo. Albo i

morderstwo. – Uśmiechnął się znacząco. – Sprawdziłaś, czy ma w plecach wbity nóż?

– Wszystko jest możliwe – przyznała. – Po to przeprowadza się sekcje zwłok. – Wyrzwała za okno i spostrzegła nadjeżdżającą białą furgonetkę. – Przyprawdź tu fotografa, Mikę. Aha... – dodała – i trzeba powiadomić jej rodzinę. Niegodna śmierć, pomyślała na widok błyskającej lampy flesza.

– Łóżko też pstryknijcie – nakazała głośno. – Potrzebne nam będzie jego zdjęcie.

Chciała zapamiętać ten pokój w całej swej żalostnej tandetności. Cokolwiek się tu stało, trzeba to ukazać we właściwym świetle – nie słońca, flesza czy księżycy, jak zeszłej nocy, w chwili śmierci Marilyn Smith – tylko w ostrym, brutalnym, rażącym świetle prawdy.

Na zewnątrz rozległ się chrzęst zwiru pod oponami nadjeżdżającego auta i Mikę podszedł do okna. – Zaraz wszystko się wyjaśni – oznajmił. – Właśnie przyjechał doktor Bose.

Sammy Bose zdobył kwalifikacje w Nigerii, a do Leek przybył osiem lat temu. Z początku miejscowi byli podejrzliwi, jednak miłe usposobienie Sammy'ego, umiejętność trafnej oceny i otwartość szybko sprawiły, że obarczono go niegodną pozazdroszczenia rolą lekarza policyjnego, tak więc niejedną wieczór spędził, pobierając krew kierowców, którzy ogłaszali wszem i wobec, zamknięci w czterech ścianach aresztu, że nie wypili ani kropelki powyżej dozwolonej normy. Joanna i Mikę usłyszeli, jak Bose gwizdże coś fałszywie, wspinając się po trzy schody na raz.

37

– No i co my tu mamy? – zagadnął. – Witajcie. – Posłał im szeroki uśmiech, po czym zatrzymał wzrok na łóżku. – A... – Najwyraźniej zabrakło mu słów.

Joanna podeszła o krok bliżej. – Panie doktorze – zwróciła się do niego. – Czy może pan z całą pewnością potwierdzić jej tożsamość? Czy to Marilyn Smith? Doktor Bose skinął głową, wciąż jeszcze oniemiały z przerażenia. Po chwili przełknął ślinę. – Tak – odparł. – Znałem ją dość dobrze. Ale... Mój Boże... Kto by pomyślał? Wybaczcie – dodał. – To dla mnie szok. Nigdy w życiu nie spodziewałbym się ujrzeć jej w takim stanie. – Dotknął sztywnej, czarnej koronki przy baskince.

Joanna i Mikę stali przy łóżku, a Sammy Bose przyglądał się ubiorowi denatki.

– Wielkie nieba – szepnął. – To wygląda na bardzo drogą rzecz.

– Nagle uśmiechnął się szeroko, a jego ciemne oczy zaiskrzyły się. – No, no, kto by pomyślał? – powtórzył. – W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że Marilyn gustowała w tak seksownych... To się chyba nazywa stringi? Och, Marilyn... Spojrzał na nieruchomo leżące ciało, a jej oczy patrzyły na niego jakby osłupiałym wzrokiem spod lekko uchylonych fioletowych powiek. – A więc pod białym fartuchem pielęgniarki kryło się ciało w takiej bieliźnie? Nie mogę w to uwierzyć. Zawsze wydawała się taka...

– Jaka? – dociekała Joanna.

– Sam nie wiem. – Lekarz podrapał się po czole dwoma palcami.

– Po prostu trudno to sobie wyobrazić, sama pani rozumie. – Spojrzał na Joannę.

– Widać, że gustowała w bardzo drogiej bieliźnie. – Dotknął fiszbinowego pasa, zacieśnionego wokół talii. – To chyba prawdziwy jedwab? – Poglądził swe krótko przystrzyżone włosy. – Muszę przyznać, że mnie to dziwi. No i ten dom – dodał. – Wygląda lepiej niż mój. Skąd miała na to pieniądze? Nawet nie była mężatką. Uważałem ją za wręcz niebezpieczną starą pannę. – Popatrzył przepraszająco na Joannę.

– Do czego pan zmierza, u licha? – Jej ton zabrzmiał ostrzej, niż myślała.

– Nie chciałem być niegrzeczny. – Ciemna twarz doktora Bose^ oblała się rumieńcem, tak że stała się niemal purpurowa. – Ale ona miała bzika na punkcie mężczyzn •– wyjaśnił zwyczajnie, po czym szybko wypakował swój sprzęt: rękawice, termometr, waciki.

38

Dwoje funkcjonariuszy przyglądało się, jak lekarz dokładnie bada zwłoki. Badał bardzo skrupulatnie, szukając pod włosami śladów stłuczeń, zajrzał za uszy, w martwe, zwężone źrenice, pod pachy, obejrzał ramiona.

Podniósł wzrok na Mike'a. – Pomoże mi pan położyć ją na brzuchu?

Usunął część garderoby, zmierzył temperaturę przez odbył i mocno mrużąc oczy, odczytał ją. – Zgon nastąpił mniej więcej przed szesnastoma godzinami. A więc... hm... około dwudziestej trzeciej wczoraj wieczorem.

Mike miał raczej sceptyczną minę: nie wierzył w naukę, wolał mieć do czynienia z czymś, co uznawał za niepodważalną prawdę. – Z jaką dokładnością można to stwierdzić? – spytał.

Sammy Bose obdarzył go szerokim uśmiechem. – Temperatura zwłok osiąga temperaturę otoczenia gdzieś pod koniec pierwszej doby. To dość dokładne obliczenie. Bierze się różnicę temperatury ciała przez te dwadzieścia cztery godziny i mamy wynik: z dokładnością do godziny albo dwóch. Prosta zasada, jak przy wyjmowaniu dużego kawałka mięsa ze słabo nagrzanego piekarnika. Trzeba sporo czasu, zanim wystygnie. Rozumie pan? – Ukazał różowy język i błysnął idealnie białymi zębami.

Joanna nie odzywała się. Uświadomiła sobie, że już kiedyś słyszała to porównanie. Przypomniało jej się, jak tłumaczył jej to Mat jakieś sześć czy siedem miesięcy temu...

– Oczywiście, na autopsji trzeba będzie całkiem ją rozebrać i zbadać jej rzeczy.

Joanna skinęła głową i obserwowała lekarza przy pracy do chwili, aż wreszcie podniósł się i mogła już zacząć zadawać pytania.

– Przyczyna zgonu? – spytała obojętnie.

Sammy Bose podniósł na nią wzrok. – Nie mam zielonego pojęcia

– odparł. – Wszystko mogło się wydarzyć.

– Ale przecież to pana pacjentka – zauważyła Joanna.

– Kochana pani, proszę...

– To jest pani inspektor... – To Mike wtrącił te słowa, a Joanna, zamiast być mu wdzięczna, rozżołościła się. Co on sobie wyobraża? Kim on jest? Jej adwokatem? Poczula, że wargi jej się zaciskają.

– Pani inspektor... – Sammy Bose wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Proszę wybaczyć. Muszę coś wyjaśnić. Owszem, mam swoich pa-

39
cjentów. Ale widuję ich jedynie na wizytach, gdy się do mnie zapisują. Nie inaczej... – Wzruszył ramionami. – A ona nie zapisywała się do mnie. Taka jest prawda. Widywałem ją czasem w gabinecie, na wykładach z medycyny i zebraniach. Ale nie przychodziła do mnie na wizyty.

Joanna była w rozterce. – A może miała jakieś problemy z... sercem? – zasugerowała.

Sammy Bose znów wzruszył ramionami. – A skąd ja mam wiedzieć? – odparł. – Mówiłem już. Nie była u mnie na wizytach. Niech pani posłucha... – Spojrzał Joannie prosto w twarz. – Tak, pani inspektor...?

– No słucham? – odezwała się cierpko. Dzień się dłużył i wciąż nie było widać końca.

– Cóż, pani inspektor – powtórzył lekarz. – Proszę dopilnować, by ciało zawieszono do kostnicy. Potem potrzebny będzie specjalista, który dokładnie je przebada. – Spojrzał znad zwłok na Joannę. – Rozumie mnie pani? Ja nie mogę tu wydać aktu zgonu.

– A doktor Levin? – spytała.

– Właśnie o nim myślałem – odparł Sammy, nie słysząc zawahania w tonie jej głosu i nie dostrzegając lekkiego rumieńca na jej twarzy. – Niech Mat Levin przeprowadzi sekcję zwłok. – Posłał jej krzepiący uśmiech. – On na pewno coś znajdzie. Może narkotyki. Nie wiem. Ja mogę tylko stwierdzić, że zgon był szybki i nastąpił wczoraj wieczorem w tym pokoju, w tym łóżku.

Joanna spostrzegła wyraźnie znaczący uśmiech Mike'a. – A pan nie jest w stanie stwierdzić przyczyny zgonu? – spytał.

Sammy Bose pokręcił głową. – Niestety, nie – odparł. – Poza tym, że miała lekka nadwagę, była zdrową kobietą i zmarła nagle. Tylko tyle mogę stwierdzić.

Ale to nie wszystko. I do tego jeszcze znowu ten Matthew, pomyślała. Westchnęła głęboko, nie wiedząc, czy ma się cieszyć, czy płakać na myśl o tym, że wkrótce znów go zobaczy.

Sammy Bose odchrząknął. – Jeśli to pomoże, pani inspektor – zwrócił się do niej – to moim zdaniem zgon nastąpił z przyczyn naturalnych. Nie podoba mi się tylko... – zmarszczył czoło – to, co widać: jej ubranie. Gdyby nie ono... Mój Boże – westchnął nagle. – Aż wstyd pomyśleć... może się masturbowała... Nie wiem, może to z podniecenia... I może ma pani rację, że to serce albo mózg; niewykluczone, że miała krwotok. Czasem choroba wychodzi na jaw dopiero wtedy,

gdy

dochodzi do pęknięcia naczyń krwionośnych. – Zerknął na butelkę szampana. – To też niewiele nam pomoże.

– Zna pan jej rodzinę?

Zmarszczył brwi. – Niestety, nie – odrzekł powoli. – Nie pamiętam nawet, czy kiedykolwiek wspominała o swojej rodzinie. Nie sądzę, by kogoś miała.

Joanna zwróciła się do Mike'a. – W takim razie najpierw sekcja, a potem skontaktujemy się z rodziną. Czy można już zabrać ciało? – spytała doktora Bose'a.

Skinął głową. – Oczywiście. Znacie podejście anatomopatologów: im szybciej, tym lepiej. Zawsze wolą świeży towar – dodał wesoło.

– No dobrze – rzuciła energicznie do Mike'a. – Zabierzmy ciało i przyślijmy tu zaraz ekipę śledczą. Trzeba przeszukać to miejsce.

Od jak dawna ten dom jest dla niej więzieniem? Wyciągnęła dłoń, by dotknąć szyby. Była szara i zimna, pozbawiona życia. Jak niewidzialna bariera, która skazywała ją na życie w czterech ścianach. Rozejrzała się po pokoju, który nagle robił wrażenie nieznośnie wielkiego i obnażonego, i znów przeniosła wzrok na szybę. Na zewnątrz świat wydawał się taki jasny, jak z bajki Disneya. I taki wscibski. W przypływie złości jednym ruchem zaciągnęła zasłony. Jak śmie podglądać ją z zewnątrz i zakłócać jej spokój i prywatność? Odsunęła się od okna, wycofała się do drzwi i wyszła do przedpokoju. Lubiła to swoje więzienie. Było tu chłodno i nudno, ale bezpiecznie. Słońce nigdy tu nie zaglądało. Niekiedy siadała przy schodach, obejmując rękami kolana. Rozmyślała wtedy o Steviem. Uśmiechała się i ścisnęła się za ramiona. – Stevie – szeptała. – Stevie. – I nagle zapragnęła dotknąć tych znajomych przedmiotów, wyjrzeć na świat zza poręczy dziecięcego łóżeczka, bawić się miękkimi, pluszowymi zabawkami i wsłuchiwać się w cichą melodyjkę z pozytywki.

To właśnie dawało Pamelli poczucie normalności... krzesła i stoły, stare zdjęcia i książki... i pluszowe zabawki.

41

Joanna siedziała w aucie z Mikiem Korpanskim. W jednej ręce trzymała notes, w drugiej naostrzony ołówek.

– Najpierw do przychodni – oznajmiła. – Potem rodzina... przyjaciele... Może od nich dowiemy się czegoś o jej problemach zdrowotnych czy tendencjach samobójczych... – Zerknęła na niego.

– Przecież to morderstwo – zakpił.

– Tego też nie można wykluczyć – odparła. – Wczoraj wieczorem ktoś chyba u niej był.

Mikę pokręcił głową. – Tego nie wiemy.

Joanna pochyliła się i zapaliła silnik. – Zgoda, tego nie wiemy – przyznała. – Ale moim zdaniem to bardzo prawdopodobne.

Przychodnia mieściła się w nowoczesnym, specjalnie przystosowanym budynku z czerwonej cegły w samym centrum miasta. Wyniesiony dach sprawiał, że przypominała chińską pagodę.

Joanna wjechała na parking, na miejsce oznakowane żółtą tabliczką. Napisane na niej było „dla personelu”.

W poczekalni siedziało jeszcze kilku pacjentów i gdy Joanna podeszła do okienka, napotkała zdziwioną, zaniepokojoną twarz. Wysoka rudowłosa kobieta o cerze pokrytej bladymi piegami spytała:

– Słucham panią?

Joanna okazała legitymację służbową. – Inspektor Piercy – przedstawiła się. – Niestety, mam złe wieści.

Zaproszono ją do pokoju, gdzie dwie kobiety słuchały jej relacji, wpatrując się w nią przerażonym wzrokiem.

– To znaczy, że ona nie żyje? – odezwała się jedna z nich tonem pełnym niedowierzania, gdy Joanna skończyła mówić. – Marilyn nie żyje?

Niższa rejestratorka w okularach o grubych szklach i oprawkach zmarszczyła czoło. – Ale jak to się stało? – spytała.

Wtedy odezwał się Mikę. – Tego jeszcze nie wiemy – odparł. – Konieczna będzie sekcja zwłok.

Rejestratorka wyraźnie skuliła się. Upadła na krzesło i przesunęła dłonią po twarzy, mocno przygryzając wargę i marszcząc czoło.

– Czy możemy zadać paniom kilka pytań? Obie kobiety miały wystraszone miny.

– Kiedy widziały panie Marilyn Smith po raz ostatni?

42

– Wczoraj – odparła rudowłosa. – Przyszła do pracy, jak zwykle. Wyszła o... – Zerknęła na koleżankę. – O której ona wyszła, Maureen?

– Zaraz po piątej.

Mikę przyglądał im się jak sęp, usiłując coś wytropić. Joanna wyczuła jego zniecierpliwienie.

– Jak pani na imię, skarbie? – spytał.

– Maureen. – Kobieta zmiękła pod wpływem uroku wysokiego, przystojnego policjanta.

– Czy ona zachowywała się normalnie?

Skinęła głową, pobladła i zaskoczona. – Oczywiście, normalnie jak zawsze. – Zawahała się. – Ale co jej się stało? – spytała szeptem.

– Może miała jakieś problemy ze zdrowiem, Maureen? – Mikę w pełni wykorzystywał potęgę swego męskiego uroku.

Maureen pokręciła głową. – Nic podobnego. Zawsze czuła się dobrze.

– Nigdy nie słyszałam, żeby narzekała choćby na ból głowy – wtrąciła rudowłosa.

– A o której miała być w pracy?

– O wpół do dziewiątej rano. Nigdy się nie spóźniała. I bardzo poważnie traktowała swoją pracę.

– A spotykała się z kimś?

Maureen znów pokręciła głową. – Nic mi o tym nie wiadomo. – Spojrzała na koleżankę. – Nie słyszałam, żeby o kimś opowiadała. A ty, Sally? Przynajmniej nie...

Rudowłosa zaprzeczyła. – Opowiadała tylko o Benie. – Zachichotała, po czym obie zarumieniły się i wymieniły między sobą jakiś żart.

– To jej pies? – spytał Mikę i obie zawzięcie przytaknęły.

– Była z nim bardzo zżyta.

– Wszędzie z nim chodziła.

– Tylko nie do pracy.

– Zamykała go w zagrodzie na cały dzień, a po powrocie wypuszczała. Czasem sąsiedzi dzwonili... narzekali, że hałasuje.

– Ten pies był jak alarm na złodziei. Groźna bestia.

– Strach było go drażnić.

Joanna zmarszczyła brwi. – A czy była może ostatnio przygnębiona, miała kłopoty ze snem... czy coś podobnego?

43

Kobiety zaprzeczyły. – Była pełna wigoru, jak zawsze. I na dobrą sprawę... – Sally pochyliła się do przodu, jakby brała udział w jakimś spisku. – Marilyn była ostatnio bardzo wesoła. Wręcz podekscytowana. Jakby coś się miało wydarzyć.

– A jak myślicie, co takiego? – dociekał Mikę.

– Dała tylko do zrozumienia, że chodzi o jakiegoś żonatego mężczyznę... z dużą forszą. – Sally zrobiła surową minę. – Nie znałam nikogo innego, kto aż tak uwielbiał pieniądze.

– A czy kiedykolwiek brała zwolnienie z powodu choroby? Znowu obie pokręciły głowami.

– A znają panie jej rodzinę?

Maureen zamilkła, a po chwili rzekła: – Wiem tylko, że jej matka zmarła. To dlatego Marilyn stać było na kupno domu przy Silk Street. Odziedziczyła po niej niezłą sumkę. Ale nie wiem, czy jest jeszcze ktoś...

Joanna słuchała uważnie. – A jej ojciec? – zasugerowała.

– Zmarł dawno temu. – Spojrzała na Joannę. – Nigdy nie słyszałam też, żeby wspominała o jakimś rodzeństwie. W sumie... nie miała chyba żadnych bliskich. Inaczej nie odziedziczyłaby sama całej tej fortuny, nie?

Zdawało się, że na tym przesłuchanie się zakończy. Pozostała jednak jeszcze jedna ważna rzecz.

– Która z pań powiadomiła policję?

– Ja – odezwała się ruda.

– Dlaczego? – To było bardzo ważne. Po co od razu dzwonić na policję tylko dlatego, że ktoś nie pojawia się w pracy?

– Odebraliśmy w przychodni telefon...

– Pewna kobieta dzwoniła kilka razy – wyjaśniła uprzejmie Maureen. – Prosiła siostrę Smith. A potem mówiła, że coś się stało jej psu.

– Kto to był?

– Chyba sąsiadka. Trochę dziwna kobieta – dodała Sally przepraszająco. –

Zachowuje się tak dziwnie, odkąd jej mąż zniknął. Kilka razy posprzeczała się z Marilyn.

– A co się stało z jej mężem? – spytał niewinnie Mike.

Obie kobiety spojrzały po sobie. – Po prostu odszedł – podsumowała Maureen. – Marilyn mówiła, że pewnego dnia po prostu zniknął.

– Ludzie nie znikają tak po prostu.

44

– A on zniknął – odparła stanowczo Maureen. – Mówię przecież. Mieszkał tam, aż pewnego dnia zniknął.

Joanna westchnęła. Tu się niczego nie dowiemy, pomyślała. Żadnych poważnych wskazówek, które pomogłyby rozwiązać zagadkę śmierci pielęgniarki.

– Czy możemy porozmawiać z lekarzem? – spytała.

Joanna podświadomie polubiła doktora Jonaha Wilsona. Miał około czterdziestu lat i siwiejące, potargane włosy, które były nieco przydługie i opadały mu na kołnierz. Nosił szorstką, tweedową marynarkę z wypchaną kieszenią, z której wystawały słuchawki. Krawat, przesunięty nieco na bok, był u dołu wytarty, podobnie jak kołnierz koszuli i mankiety. Na wypchanych na kolanach spodniach brakowało zaprasowanych kantów. I tak jak Joanna od razu go polubiła, była równie przekonana, że stojący sztywno w drzwiach Mike nie darzy go sympatią.

– Dzień dobry, doktorze Wilson – rzekła, siadając na krześle pacjenta naprzeciw biurka.

Podniósł głowę i Joanna natychmiast wyczuła serdeczność płynącą z jego uśmiechniętej twarzy.

– Słyszałem, że przyjdzie inspektor, ale nie spodziewałem się kobiety. – Zdjął okulary i położył je na biurku. – Rozumiem, że ma pani kilka pytań w związku z Marilyn. Czy wie pani, co się z nią stało?

Joanna wzięła głęboki oddech. – Jej śmierć wydaje się nam trochę podejrzana – zaczęła. – Mogę tylko zapewnić pana, że nie było żadnych oznak przemocy. Ani żadnych śladów włamania.

Lekarz uśmiechnął się. – Żaden włamywacz nie byłby na tyle głupi, żeby próbować dostać się do domu Marilyn w obecności Bena – podsumował z nutką humoru. – Ten pies był jej bardzo wierny. Bronił jej jak zawodowy ochroniarz.

Joanna pokiwała głową. – A jaka ona była, ta Marilyn? – spytała jakby od niechcienia.

– Niezła jako pielęgniarka – odparł. – Energiczna.

– I uczciwa?

Przymknął oczy. – Gdybym podejrzewał ją o nieuczciwość – rzucił niechętnie – już dawno bym ją zwolnił. A przecież jej płaciłem, pani inspektor. I mogę jedynie stwierdzić, że w swoim zawodzie była

----- 45 -----

kompetentna. I to by było na tyle. O resztę proszę pytać Maureen – dodał – albo Sally. One na pewno wiedzą coś więcej.

– A jej rodzina? – spytał Mike, wciąż stojąc w drzwiach.

– Nic na ten temat nie wiem – odparł, po czym dotknął warg. – Pamiętam tylko, że kiedyś brała urlop. Na pogrzeb matki...

– Kiedy to było, panie doktorze?

– Naprawdę nie wiem – przyznał lekarz. – Trzy... może cztery lata temu.

– A może pięć?

Lekarz uśmiechnął się słabo. – Możliwe. Niestety, nie mam pamięci do dat. Proszę spytać panie w rejestracji – odrzekł przepraszająco.

– Pytaliśmy już. – Szorstkość w głosie Mike'a była niemal niegrzeczna, ale lekarz chyba nawet tego nie zauważył.

Joanna posłała mu zachęcający uśmiech. – A czy spotykaliście się czasem po pracy?

Lekarz pokręcił głową. – Wiedziemy z żoną wyjątkowo spokojne życie – odparł grzecznie. – Moja żona... trochę choruje.

– Rozumiem.

– A gdzie pan był wczoraj wieczorem, panie doktorze? – odezwał się znowu Mike, rzucając pytanie za pytaniem ze swego miejsca przy drzwiach.

– Na dyżurze.

– I został pan wezwany... – ciągnął Mike, wyjmując notes – między dwudziestą trzecią a dwudziestą czwartą?

– Zdaje się, że tak – odparł lekarz po chwili namysłu. – Musiałem jechać aż na wrzosowisko. Do Onecote – dodał. – U pacjentki podejrzewano zapalenie opon

mózgowych.

– Czy te podejrzenia były słuszne? – dociekała tym razem Joanna. Lekarz uśmiechnął się i przeczesał palcami włosy. – Nie – odparł. Poczuli na sobie wzrok Mike'a i pochyliła się lekko do przodu. – No dobrze, to jaka ona była? – spytała ponownie. Twarz lekarza wydała się nagle pozbawiona maski uprzejmości. – Już mnie pani o to pytała. Marilyn była dobra w swym zawodzie – odparł już ostrym tonem. – Opiekuńcza... i wyrozumiała.

Joanna cofnęła się myślami do sprośnego widoku na łóżku. Te dwa obrazy całkiem do siebie nie pasowały. Zerknęła na Mike'a.

----- 46 -----

– Zdaje się, że mieszkała w komfortowych warunkach – zauważyła głośno – jak na pielęgniarkę.

Lekarz poruszył się, zażenowany. – Rzeczywiście, miała chyba ładny dom – stwierdził. – Nigdy tam nie byłem. Tylko raz ją odwiozłem. – Skinał głową. – Z zewnątrz wyglądał nieźle.

Joanna znów napotkała sceptyczny wzrok Mike'a. – Jakim cudem było ją na to stać, panie doktorze? Jak pan sądzi?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Doktor Wilson podniósł okulary, bawił się nimi przez chwilę, po czym szybko je założył. Ręce mu drżały.

– Naprawdę? – spytał Mike z adziornym tonem.

Wtedy lekarz stracił panowanie nad sobą. – Zdaje się, że po śmierci matki – rzucił, poirytowany – dostała w spadku jakieś pieniądze. Nie wiem, u licha... – Popatrzył na nich oboje. – Nie mam zwyczaju zaglądać w konta moich pracowników.

– Ile pan jej płacił?

– Piętnaście czy szesnaście tysięcy rocznie. Nie znam dokładnych liczb.

– A kto je zna?

– Moja księgowa.

– Czy Marilyn dorabiała gdzieś na boku, panie doktorze?

– Naprawdę nie wiem... – Zerknął na zegarek.

– A podobała się panu?

Joanna rzuciła Mike'owi ostrzegawcze spojrzenie.

– No... nie... Oczywiście, że nie. – Jonah Wilson spojrzał bezradnie na Joannę.

– Pracowała u mnie jako pielęgniarka. Nic nas nie łączyło... Nie spotykaliśmy się po pracy. Nawet się nie przyjaźniliśmy. Znaliśmy się tylko na gruncie zawodowym.

Przyjął pozycję obronną. Joanna uważnie go obserwowała. Widać było, że jest skrępowany. A jednak coś się nie zgadzało. Trudno jej było dostrzec jakikolwiek związek między rozłożonym na łóżku ciałem a tym cichym intelektualistą. Różnili się krańcowo; byli jak zestawienie taniego brukowca z encyklopedią. Joanna obserwowała lekarza, kompletnie zaskoczona.

Zdawało się, że odczytał jej myśli. – Proszę wybaczyć – odezwał się. – To straszny szok. Jeszcze wczoraj była tu, w pracy, jak zawsze... Po prostu nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Przepraszam.

Joanna uśmiechnęła się. – Oczywiście, panie doktorze – odparła miłym głosem. – Nagła śmierć nie należy do przyjemności, prawda?

47

Ale gdy tylko dostaniemy wyniki sekcji, prawdopodobnie zawiesimy śledztwo.

– Śledztwo? – Podniósł głowę.

– To zwykła procedura – wyjaśniła łagodnie Joanna. – Sam pan rozumie, prawda? W przypadku nagłej śmierci...

– A na co zmarła?

– Tego jeszcze nie wiemy. – Tym razem w głosie Mike'a zabrzmiała niemal groźba.

Lekarz obrzucił go spojrzeniem. – Proszę, moi pacjenci czekają – rzucił. –

Jeszcze jakieś pytania?

Joanna zaprzeczyła. – Nie. – Wstała i uściśnęła lekarzowi dłoń. – Dziękujemy panu za pomoc, panie doktorze.

Posłał jej nieśmiały uśmiech. – Jeśli to pomoże, pani inspektor – dodał – nie sądzę, żeby była typem samobójczyni, nigdy też nie chorowała. – Zawahał się. –

Ale tak czy owak, trudno tu cokolwiek powiedzieć. A co do przyczyny zgonu, natura potrafi niekiedy zadrzeć sobie z medycyny. Śmierć nie zawsze daje o sobie znać przed czasem. Myślę, że to serce. – Przerwał. – Albo krwotok w mózgu.

– Też tak uważam – uspokoiła go Joanna.

Była już prawie za drzwiami, gdy doktor spytał: – Kto przeprowadzi sekcję zwłok?

Stanęła w miejscu. – Nie wiem – odrzekła. – Chyba któryś z naszych anatomopatologów.

Jonah Wilson pokiwał głową. – Pewnie Mat Levin – rzucił.

Joanna i Mikę wyszli z przychodni.

Następnego ranka Paul Haddon ochoczo zabrał się za przygotowanie zwłok Harry'ego Twemlowa. Czekają go sporo pracy: czyszczenie, mycie, balsamowanie. Ostrożnie wciągnął do strzykawki formalinę i wstrzyknął. Pogrzeb miał się odbyć w piątek. Paul nucił sobie pod nosem. Rodzina życzy sobie, żeby trumna była odkryta, a to zawsze oznacza wyzwanie dla domu pogrzebowego. Ale on czuł się na siłach, by sprostać temu zadaniu. Oszczędnie nałoży mu teatralny makijaż, przy-czesze włosy, ogoli twarz. I do tego porządne ubranie.

----- 48 -----

Pozostało jeszcze wewnątrz trumny. Będzie wyściełana jedwabiem, czerwonym albo niebieskim. Nieraz wybierał sam, nieraz decydowała rodzina. Będzie też mnóstwo kwiatów i cicha muzyka organowa. Paul rozejrzał się po kaplicy. Cudownie, pomyślał.

Sekcja zwłok miała się odbyć tego ranka o dziesiątej. Joanna udała się do miejscowego szpitala, do Zakładu Patomorfologii. Auto zaparkowała tuż obok rdzawoczerwonego bmw.

Siedziała przez chwilę, pogrążona we wspomnieniach... Matthew, roześmiany, zabrzęczał wtedy kluczykami. „Zgadnij, co sobie kupiłem...” Uradowany nowym nabytkiem, zabrał ją na przejażdżkę, naciskając gaz do dechy, aż wyło, pędził po autostradzie M6 – dopóki wóz policyjny nie zasygnalizował, by zjechali na pobocze. Joanna wciąż pamięta zdziwienie w oczach inspektora Korpanskiego, gdy ją rozpoznał... Jego gniewny wzrok dał jej do zrozumienia, że nie ma sensu się tłumaczyć. I za każdym razem potem, gdy czuła, że Mikę Korpanski przygląda się jej, dostrzegała w jego oku ten sam gniewny błysk.

– Joanna!

Drgnęła, przestraszona. Matthew stukał w szybę, uśmiechając się szeroko. Przez chwilę gapiła się na niego, zdezorientowana; wspomnienia mieszały się z teraźniejszością, po czym nacisnęła guzik i szyba automatycznie zsunęła się w dół.

– Jo – przywitał ją – co ty tu robisz? Chyba nie przyjechałaś zobaczyć się ze mną?

Pochylony, zajrzał do auta przez otwarte okno, opierając rękę o dach, a ona tymczasem badała go wzrokiem. Nic a nic się nie zmienił, stary, znajomy Matthew, o miodowych włosach, szerokich ramionach, zielonych oczach, opalanej cerze i szczerym, przyjaznym wyrazie twarzy, zawsze uśmiechnięty, starał się ukryć radość na jej widok. Przyjrzała mu się uważnie i dostrzegła, że ubrany jest zwyczajnie, w rozpiętą pod szyją koszulę i luźne, bawełniane spodnie.

– Pewnie masz o dziesiątej sekcję zwłok – zauważyła.

– Tej pielęgniarki? – Miał zdziwioną minę. – Zajmujesz się tą sprawą?

– Prowadzę śledztwo – odparła, nieco zażenowana. – A przy okazji... –

Uśmiechnęła się do niego. – Chciałam sprawdzić, czy dobrze wykonujesz swoją pracę.

49

Dotknął lekko jej ramienia. – Jo – rzucił ciepło. – Żebyś wiedziała, jak się cieszę, że znów cię widzę. Stęskniłem się za tobą.

Otworzył drzwi i wysiadła. Była tego samego wzrostu, co on. Spojrzała mu prosto w oczy. Patrzył na nią, aż wreszcie uśmiechnął się.

– I po co się ze mną drażnisz? – spytał łagodnie. – Przecież doskonale wiem, że niedobrze ci się robi już na samą myśl o cięciu czaszki. A w ogóle, Jo – jego dłoń musnęła jej policzek i przez krótką chwilę zmarszczka na jej czole niemal się wygładziła – cholernie dobrze wyglądasz.

Stała całkiem nieruchomo, pragnąc chwycić jego dłoń i przyciskać ją mocno i długo do swojej twarzy. – Ty też, Mat – odparła.

Przez chwilę oboje stali tak, wpatrzeni w siebie nawzajem, jakby zapomnieli o otaczającym ich świecie, ogarnięci wyłącznie radością bycia razem.

Joanna poruszyła się pierwsza. Szybkim ruchem odwróciła się, schyliła i zamknęła samochód. Następnie oboje weszli wahadłowymi drzwiami do szpitala i długim korytarzem ruszyli do Zakładu Patomorfologii.

– Inspektor Piercy – powiedział w zamyśleniu. – A więc awansowałaś, nareszcie!

Czytałem o tym w gazecie – dodał. – Jestem z ciebie dumny, Jo.

– Dzięki – odparła. – Rzeczywiście, dostałam awans. – I wbrew swojej woli

dodała: – To takie zadośćuczynienie od losu.

Zignorował ten przytyk i zniknął za parawanem, by się przebrać. – Zasłużyłaś sobie po tym, jak udało ci się wreszcie dorwać tych Whalle-yów. To była banda rozbójników – mówił zza parawanu. – I teraz w Leek coraz częściej przestrzega się prawa.

– Co niezbyt dobre – odparła z uśmiechem. – Nie chcę, żeby mnie przenieśli do Manchesteru z powodu braku zajęcia. Podoba mi się tu. Przyzwyczyłam się już.

– Ja też – odparł zgodnie, wylaniając się w zielonym kitlu i białych, gumowych rękawicach. – Ale może lepiej będzie wstrzymać się z oceną miejscowego ładu i porządku i zająć się najpierw tym drobiazgiem.

Ów „drobiazg” wjechał na wózku prosto z lodówki, przykryty białym prześcieradłem. Matthew uniósł je. Spojrzał na czarną, koronkową bieliznę, wystrojone w gorset ciało, podwiązki i długie nogi w pończochach, zakończone szpilkami jak z magazynu mody. Powiódł wzrokiem

50

po całej długości oczka na pończosze. – Boże – szepnął i spojrział na Joannę. – Co za dziwaczny strój...

Jego oczy napotkały jej wzrok i znów nie mogła powstrzymać się od uszczypliwej uwagi. – Jak na zamówienie, co?

Matthew spojrział na nią pytająco.

– W sam raz dla kochanki – rzuciła cierpko.

– Joanno... – zaczął błagalnym tonem, ale ona nie spuszczała z niego wzroku.

– Przyniosłam plastikowe worki – oznajmiła. – Będziesz chyba musiał pociąć to ubranie. Eksperci muszą je zbadać.

Bez słowa obejrzał ubranie, skrupulatnie odnotowując wszelkie plamy i dziury, po czym ostrożnie porozcinał materiał i włożył do worków. Następnie z pomocą asystenta zmierzył ciało od stóp do szyi i obwód głowy, rejestrując każdy szczegół za pomocą małego, kieszonkowego dyktafonu.

Potem dokładnie sprawdził, czy na skórze nie ma stłuczeń i ran, pobrał wymazy z wszystkich otworów i zajrzał pod paznokcie, szukając fragmentów krwi, tkanek czy też odzieży napastnika.

Obrócił zwłoki i przemówił do mikrofonu: – Żadnych śladów na ciele, żadnych oznak przemocy. – Zerknął na Joannę. – To mi nie wygląda na napad – stwierdził.

– A co ty o tym sądzisz, Jo?

– Pojęcia nie mam – przyznała szczerze. – Myślałam, że może... przedawkowała narkotyki albo leki? Albo może... popełniła samobójstwo? Nie było żadnych śladów włamania, a w domu był pies, który zagryzłby każdego, kto próbowałby zbliżyć się do niej. – Spojrzała na Matthewa. – Musi być jakaś przyczyna zgonu, Mat.

Uśmiechnął się do niej. – Masz rację – odparł. – Zobaczymy, co nam wyjaśni patomorfologia.

Od tej chwili badanie przybrało czysto metodyczny charakter: zwinne dłonie przepiłowały czaszkę i wyjęły mózg, by wykonać przekrój poprzeczny. Następnie rozciąły mostek i rozsunęły żebra, odsłaniając serce i płuca... Ważyły każdy organ.

Dopiero po przeszło godzinie Mat wyprostował się.

– Nic nie ma – oznajmił z niedowierzaniem. – Nie widzę tu żadnej przyczyny zgonu.

Miał zmartwioną i poważną minę i patrzył roztargnionym wzrokiem w próżnię, jakby zmagął się z jakąś łamigłówką.

51

– Matthew – odezwała się łagodnie – nie rozumiem cię. Przecież coś musiało ją zabić.

– Narządy wewnętrzne wysłemy do Birmingham – orzekł. – Trzeba poddać je analizie. Możliwe, że to zatrucie. – Spojrzał na nią niepewnie. – Możliwe... chociaż sam w to nie wierzę. Przy zatruciu zawsze są jakieś objawy: zapach, przebarwienia, piana wokół ust, niekiedy pęcherze po strawieniu kwasu. A tu nic nie ma. Żadnych śladów.

– Ale przecież można wykryć truciznę w żołądku...

Pokręcił głową. – Niekoniecznie. Osobiście uważam, że to śmierć naturalna.

Mógłbym się założyć o dziesięć funtów, że to krwotok na skutek jakiejś wrodzonej wady tętnicy mózgowej. Tyle, że wcale jej nie wykryłem.

Spojrzała na niego surowo, przygryzając wargę. – Sama byłabym skłonna uwierzyć, że to śmierć naturalna – odparła. – Gdyby nie to ubranie... Widziałeś przecież. Była wystrojona jak dziwka. I to w zupełnie nowe rzeczy. W koszu na śmieci

znaleźliśmy świeżo oderwane met-ki. No i ta sypialnia... – Zmarszczyła czoło. – Matthew, gdybyś ty to widział... Szampan, jedwabne kwiaty, różowe lampy... Wszystko tak tandetne i sztuczne, a zarazem prowokujące, jak w jakimś burdelu. Słowa te z trudem przeszły jej przez gardło w jego obecności, bo natychmiast przypomniawszy sobie, jak sama kiedyś stwarzała nastrój, dekorowała sypialnię, przygotowując ją na ich miłosne spotkania – szampan w lodówce, kwiaty, pachnąca pościel.

Ich oczy spotkały się i Joanna wyczuła, że Matthew myśli dokładnie o tym samym. Na szczęście nie odezwał się ani słowem.

– Zrozum, Matthew – rzekła łagodnie. – Żadna kobieta nie wyda ponad stu funtów na fiszbinową baskinę czy peniuar bez powodu.

Podrapał się po głowie, zakłopotany. – Hm, chyba niczego nie przeoczyłem.

– A może odbyła stosunek? – spytała Joanna stanowczym tonem.

– Nie sądzę... – Przerwał. – Nie zauważyłem spermy, otarć ani obrzęku od stłuczeń. Oczywiście, nie ma stuprocentowej pewności, dopóki nie otrzymamy wyników analizy wymazu. – Przeszedł przez pokój, nagrywając się na dyktafon. Zdjęcia policyjne wisiały pod światłem rentgenowskim. Spojrzeli na nie... Była na nich Marilyn z rozłożonymi nogami, w czarnej, wyuzdanej bieliźnie, z krzykliwym, groteskowym makijażem...

52

– Coś tu się nie zgadza – stwierdził Mat. – To mi przypomina pomieszane elementy dwóch różnych układanek... Różnią się kształtem i obrazkiem. To bez sensu – uznał, zrezygnowany. – Kompletnie bez sensu... Chcę ci pokazać coś jeszcze – oznajmił, wracając do stołu sekcyjnego. – To była bardzo ekskluzywna śmierć.

Joannaomal nie zachichotała. – Pierwsze słyszę, żeby śmierć była ekskluzywna. – Przygryzła wargę. – Chyba że masz na myśli ogromne koszty pogrzebu. Bo jak inaczej śmierć może być ekskluzywna, Mat-thew? – spytała. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Spójrz na to – odparł i pokazał jej skórę denatki za uszami, pod biustem, pod brodą, wskazał ślady na udach – cienkie kreski, nieco bledsze niż normalny kolor skóry, oraz niesymetrycznie pokryte guzkami nogi.

Joanna spojrzała na niego, zdziwiona. – Co to?

– Ta kobieta – wyjaśnił – wydała cholernie dużo forsy po to, żeby pięknie wyglądać.

– Co takiego? – Wciąż nie rozumiała, o co mu chodzi.

– To są blizny, Jo. Klinika Harleya Streeta, oddział chirurgii plastycznej. – W jego głosie rozbrzmiewała pasja zawodowa. Uwielbiał doszukiwać się wskazówek. Był ekspertem w tej dziedzinie, wprost przepadał za takimi zagadkami.

A gdy spojrzała na jego twarz, przejętą i tryskającą entuzjazmem, Joanna przypomniawszy sobie ich dawną rozmowę.

Mówił jej wtedy o tym, że potrafi rozpoznać przyczynę zgonu, nie robiąc ani jednego nacięcia, tylko patrząc na ręce zmarłego: palce splecione przy chorobach serca, zniekształcone od artretyzmu, zaciśnięte z bólu, pokryte sinymi plamami od zatrucia, pożółkłe od nikotyny, pocięte lub wysuszone, poranione od upadku, a pod paznokciami kryje się mnóstwo wskazówek. To była długa lista, a ona słuchała go, na wpół rozbawiona, aż w końcu zanurzyła palec w winie i narysowała mu na czole krzyż.

– W takim razie, mądralo – zachichotała i odwróciła się twarzą do niego na wielkim łóżku w jakimś pokoju hotelowym – po co w ogóle cięć trupa i robić sekcję?

To była jedna z tych wielu ciepłych, intymnych, szczerych rozmów, które następowały po tym, jak się kochali.

– Policjantka z krwi i kości – drażnił się z nią, odgarniając jej włosy z czoła. – Facetom i babkom w niebieskich mundurach zawsze

53

trzeba wszystko udowadniać. – Pocałował ją, a gdy na chwilę odsunął wargi od jej ust, dodał: – Ponad wszelką wątpliwość.

Już wtedy wiedziała, że mówi prawdę. Rzeczywiście niemal zawsze potrafił wyczytać przyczynę zgonu z dłoni zmarłego. Położyła mu wtedy głowę na sztywnych włosach porastających jego pierś i wsłuchiwała się w regularny rytm jego serca, miotana wściekłą zazdrością...

– A jej ręce? Mówią ci coś? – spytała teraz, wracając do teraźniejszości. Uniosła pulchną dłoń denatki o krótkich palcach i obskubanych paznokciach,

mażniętych lakierem.

Przyjrzał się im. – Typowa kurewka – oświadczył. – Wydała cholernie dużo forsy na seksowną bieliznę i operacje plastyczne, a nie chciało jej się nawet porządnie pomalować paznokci.

Uśmiechnął się, jego zielone oczy napotkały jej wzrok, dając jej do zrozumienia, że on też przypominał sobie tamtą rozmowę.

Podniósł dłoń martwej kobiety. – Siermiężna robota – orzekł – ale widocznie lubiła czuć się jak prawdziwa dama. Tamtego wieczoru zadała sobie sporo trudu, zadbała o wszystko prócz paznokci.

– Po to tylko, żeby przygotować się na śmierć, Matthew? Odwrócił głowę i spojrzął na nią. – Myślisz, że to samobójstwo, Joanno?

– A co innego?

Odszedł od stołu, umył ręce przy zlewie w kącie sali, łokciami odkręcając kran po ściągnięciu z dłoni rękawic.

– Blizny umiejętnie zakryte włosami... – zastanawiał się głośno, opłukując dłonie pod strumieniem wody. – Naturalne zmarszczki schowane w fałdach skóry... Wystarczyło tylko spojrzeć i od razu wpadłem na właściwy trop. Jednym słowem dała sobie zrobić wszystko: częściową rekonstrukcję twarzy, operację nosa, powiększenie piersi... – Przerwał na chwilę i spojrzął na Joannę. – Na pewno zauważyłaś, jaki ma twardy, sterczący biust. Zwłóknienie, typowe następstwo włożenia silikonowych implantów. Na wszystkich zębach ma korony – wyjaśniał dalej – wykonane z perłowobiałej porcelany. No i te guzki na udach... Prawie zawsze pojawiają się po odsysaniu tłuszczu. Rzeczywiście – dodał – to była niezwykle kosztowna śmierć, Joanno... – Popatrzył na nią. – Wyobraź sobie, że to wszystko musiało ją wynieść gdzieś około... – przerwał, by policzyć w myślach – osiemnastu tysięcy. Tyle się płaci fachowcom pokroju Harleya Streeta. Pierwszorzędna robota. Nieźle jej się powodziło, jak na pielęgniarkę...

54

Patrzył uważnie na nią, wycierając dłonie w papierowy ręcznik. Czowała, że próbuje dać jej coś do zrozumienia.

– Rzeczywiście, prowadziła chyba trochę zbyt wystawny styl życia – przyznała powściągliwie – jak na pielęgniarkę.

Matthew skinął tylko głową. Przyjrzała się uważnie jego twarzy. Minę miał wciąż czujną, pełną rezerwy.

– No i co dalej? – spytała.

Odchrząknął. Robił tak zawsze wtedy, gdy nie wiedział, co powiedzieć. – Nie jestem pewien – odparł, a ona dziwiła się, skąd ten niepokój w jego głosie. Może jako fachowiec w swej dziedzinie był zwyczajnie skrępowany tym, że nie jest w stanie rozgryźć tajemnicy śmierci tej kobiety? Tak naprawdę Joanna nigdy przedtem nie widziała u niego zażenowania, więc dlaczego akurat to miałyby być dla niego takie ważne? Przecież wyniki z laboratorium na pewno coś wykażą.

– Znalazłem tylko jedną dość nietypową rzecz: ona strasznie się pociła. – Popatrzył na Joannę. – Czy w pokoju było ciepło? Czy może wręcz za gorąco?

– Nie – odparła i przerwała. – Okna były otwarte. Było nawet dość chłodno. A już na pewno wczoraj wieczorem.

– Hm... Ubranie było jeszcze wilgotne.

– Może miała gorączkę?

Pokręcił głową. – Nic na to nie wskazywało. – Uśmiechnął się do niej szeroko. – Napijiesz się kawy?

Joanna przeszła z nim korytarzem do jego gabinetu i przysiadła na krawędzi jego biurka, podczas gdy wypełniał odpowiednie dokumenty.

– Mat – zaczęła – sam rozumiesz, że jestem teraz w trudnej sytuacji. Śledztwo w sprawie zabójstwa rozpoczęło się na dobre, a ja muszę je teraz wstrzymać. Nie mogę kontynuować jawnego dochodzenia, dopóki ty nie stwierdzisz przyczyny zgonu. Znów odchrząknął. – Jo... jeśli to ci w czymś pomoże, naprawdę nie wierzę, że to morderstwo. – Przerwał, a po chwili dodał: – Absolutnie nic na to nie wskazuje. Mógłbym się założyć, że zmarła śmiercią naturalną. Niewykluczone, że popełniła samobójstwo. Była przecież pielęgniarką; miała dostęp do różnych substancji trujących.

– A powiedziałabyś to samo koronerowi? – spytała.

Zamilkł, unikając jej wzroku. Sama odgadła jego odpowiedź. Mat za wszelką cenę chroniłby jednak swoją reputację, wykręciłby się z ta-

55

kich oświadczeń, a własne opinie zachowałby dla siebie. Tylko dlaczego tak

bardzo starał się ją przekonać?

– A wracając do faktów – odezwał się po chwili. – Może dowiem się czegoś jeszcze dziś po południu, gdy przyjdą wyniki z laboratorium, a dużo więcej będzie wiadomo pod koniec tygodnia, kiedy z Birmingham przyślą nam wyniki badań narządów wewnętrznych.

– To będą barbiturany – orzekła nagle. – Tabletki nasenne z tej fiolki, która znalazłam na stoliku przy łóżku.

– Całą zawartość żołądka włożyłem do worka – oznajmił. – Sprawdzimy, co dokładnie zawiera. Jeszcze dziś dowiem się czegoś więcej...

Zawahał się przez chwilę, marszcząc brwi, a wtedy Joanna wtrąciła sceptycznym tonem:

– A jej ubranie, Matthew?

– Jestem skłonny uwierzyć, że zmarła śmiercią naturalną w swoim własnym, wymyślanym świecie fantazji. Stąd ta bielizna, szampan, perfumy i cała reszta.

– O, wyczułeś jej perfumy – zauważyła spokojnym tonem. – Mogłam się domyślić. Ale posłuchaj, Matthew, skoro ona zmarła śmiercią naturalną, to dlaczego nie możesz ustalić przyczyny?

Miał śliczne oczy – zielone i bardzo jasne, otoczone gęstymi, czarnymi rzęsami, co u blondynów jest raczej rzadkością. Zazwyczaj oczy te patrzyły szczerym, otwartym wzrokiem. Dziś jednak nie umiały spojrzeć jej prosto w twarz. Zapadła długa, brzemenna cisza.

– Co powiesz na lunch? – zapytał wreszcie.

Nie, Joanna modliła się w duchu do jakiegoś niewidzialnego boga, wpijając paznokcie w dłonie: spraw, żebym umiała powiedzieć „nie”.

– Potem moglibyśmy wstąpić do laboratorium, Joanno. Skoro byłabyś ze mną... to moglibyśmy pójść tam razem.

– Nie, Matthew – odparła z upragnionym spokojem. – Nie. Muszę wracać na komendę.

Usłyszała nutę żalu w jego głosie i dostrzegła go w jego oczach, ale była z siebie zadowolona.

– No dobrze – odparł cicho. – Skoro tak chcesz...

Zabrała ze stołu torebkę. – Matthew – rzekła miękko, błagalnym tonem. – Nie chodzi o to, czego ja chcę. Takie jest życie.

– Jasne – odparł, nagle poirytowany. – Rozumiem. I co takiego w życiu znalazłaś, że stało się ważniejsze od nas? Może ten twój

56

awans? – Ruszył za nią do drzwi. – Stanowisko inspektora? Tego ci było trzeba?

– Wcale nie – odparła. – Oczywiście, że nie, ale teraz przynajmniej znam swoje miejsce. Sama przynajmniej prowadzę uczciwe życie. A z tobą nie mogłam. – Przygryzła wargę. – Jane mnie dręczyła – wyznała wreszcie. – Nienawidziłam jej. To wszystko było podszyte kłamstwem, zburzyło mój system wartości. Zaczęłam gardzić sama sobą... – Przerwała, ulegając wspomnieniom.

– Jasne – odrzekł, rozgoryczony. – Odkąd to zostałam inspektorem, nagle zaczęłaś przywiązywać wagę do... wartości...

– Zawsze tak było – wyjaśniła. – Tylko w pewnym momencie je odrzuciłam. – Wpatrywała się w niego. – I oboje wiemy, że to nie ma nic wspólnego z moim awansem. Chodzi o twoją żonę.

Matthew Levin westchnął głośno. – Czyli znów to samo, tak? Głupia zazdrość. – Podenerwowany, wziął swój notatnik. – Dostarczę ci raport, gdy tylko go skończę. Zadzwoń też później i poinformuję cię o dalszych wynikach.

Joanna wyszła, zostawiając za sobą rozkołysane drzwi.

Dzień był ciepły i słoneczny. Ona sama czuła się osaczona w swoim małym biurze; nie pomogły nawet otwarte okna. Wzięła marynarkę. Mikę jadł właśnie kanapkę. Podniósł głowę, gdy Joanna stanęła przy jego biurku.

– I co wykazała sekcja? – spytał. Okruszyny chleba poleciały mu z ust na najświeższe wydanie Daily Mirror.

– Nadal nie wiadomo, co było przyczyną zgonu.

Mikę przełknął kęs kanapki i popił głośno kawą. – I co teraz zrobimy?

– Nie wiem – odparła. – To skomplikowana sprawa. Mamy niezły bałagan.

Przysiadła na rogu jego biurka. – I mamy problem – zaczęła. – Gdyby chociaż było wiadomo, że to zabójstwo, mielibyśmy wszystko... więcej ludzi, czasu, pieniędzy, środków. A teraz, dopóki nie dowiemy się czegoś konkretnego, działamy w próżni. Skinął głową i ugryzł kanapkę.

– Żebyśmy mieli chociaż jedną małą rzecz – dodała. – Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc...

57

– A twój ukochany specjalista nic nie znalazł? – Mięśnie wokół ust miał napięte.

Spojrzała nad jego głową za okno, na ceglany mur. – Nic a nic – odparła.

– Cholera! – Ziewnął i złożył gazetę. – I co teraz?

– Trzeba będzie jechać z powrotem na Silk Street i zobaczyć, czy tam czegoś nie znajdziemy.

Teraz pozostało im spotkać się z ekipą śledczą i spędzić resztę dnia na przeszukiwaniu domu przy Silk Street, choć Joanna nie miała ochoty tam wracać. Tamten dom przesiąknięty był przykrą atmosferą – i tandetą.

Jadąc główną ulicą Leek, minęli po lewej stronie sztyld kliniki weterynaryjnej Willow Veterinary Surgery.

Joanna odruchowo złapała Mike'a za łokieć. – Zatrzymaj się – nakazała. – Chcę zobaczyć tego psa.

Mike obrzucił ją szybkim, pogardliwym spojrzeniem. – Mogłem się tego spodziewać, jak nic – mruknął. – Kompletny brak logiki. Po co idziesz do tego psa? Niczego się od niego nie dowiesz.

– Wiem – odparła lodowatym tonem, bo rzeczywiście nie umiała logicznie wyjaśnić powodu, dla którego chciała zobaczyć owczarka Marylin. Wiedziała tylko, że cokolwiek wydarzyło się tamtej wtorkowej nocy, pies był tego jedynym świadkiem. Może nawet mógł zapobiec tragedii. Poza tym był związany z denatką bardziej niż inni, których Joannie udało się odnaleźć.

Roderick Beeston stał na podwórzu w dżinsach, gumowcach i zielonej sztormowej kurtce. Z rękoma schowanymi głęboko w kieszeniach obserwował wymiotującego psa.

– Widocznie atakował owce – stwierdził, nie podnosząc wzroku. – I tamten wieśniak próbował go zastrzelić, ale na szczęście chybił. Strzelał z dubeltówki kaliber dwanaście. Rozwaliłby biedaka na miazgę.

Podrapał się po siwiejącej brodzie, minę miał poważną i gniewną.

58

– Wyobraża sobie pani, pani inspektor, co zostałyby z tego stworzenia? Całe szczęście, że ten wieśniak wcześniej spił się domowym winem z pasternaku i ledwo się trzymał na nogach, nie mówiąc już o celnym strzelaniu.

– No tak...

Podniósł głowę. – To co panią tu sprowadza, pani inspektor?

Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, jego uwagę przyciągnął szybki ruch psa, który krztusił się i wciąż wymiotował.

Weterynarz przyjrzał się wymiocinom zwierzęcia, a gdy nie znalazł w nich owczej sierści, spojrzał na psa z uśmiechem. – No, Hannibal – odezwał się, drapiąc psa po łbie. – Wygląda na to, że jesteś niewinny. Dobry pies.

Poklepywał go po głowie, a Hannibal zamerdał lekko ogonem i spojrzał brązowymi oczami na swego wybawcę.

– Wieśniacy najpierw strzelają, a dopiero potem szukają dowodów winy – stwierdził weterynarz. – Jak to dobrze, cholera, że u was jest inaczej, pani inspektor. – Wybuchnął głośnym śmiechem, ale szybko się opamiętał. – Ciekaw jestem, kogo macie na celowniku w tej aferze z Marilyn Smith.

Joanna otworzyła już usta, ale ugryzła się w język.

Uwaga weterynarza znów skupiła się na psie. – Po tych środkach zawsze źle się czują – powiedział, łaskocząc psa po wystawionym brzuchu. – Mimo że to sto razy lepsze niż kulka w łeb. Chociaż – ciągnął łagodnym tonem – to też żadna przyjemność, prawda, staruszkule? Ale warto było, nie? – Pies znów zamerdał ogonem i położył łeb na łapach, wyczerpany, a weterynarz spytał: – No więc, pani inspektor, w czym mogę pani pomóc?

Spojrzał na nią. Zauważyła, że ma oczy koloru bardzo jasnego błękitu, inteligentne i wesołe spojrzenie, a brwi wyblakłe od słońca niemal aż do bieli.

– Przyjechałam zobaczyć, jak się czuje Ben.

Weterynarz zrobił zbolowaną minę. – Musiałem go uspić – oznajmił cicho. – Po przebudzeniu był strasznie niespokojny. – Skubnął swoją krótką, starannie przystrzyżoną brodę. – Marilyn rozmawiała kiedyś ze mną o tym. Chciała, żeby go uspić, jeśli coś jej się stanie. Uważała, że tak będzie dla niego lepiej...

Spojrzał na Joannę, jakby chciał się usprawiedliwić. – Nie ma w tym nic dziwnego, pani inspektor; bardzo przywiązane zwierzęta

59

często zostają uśpione po śmierci właściciela. – Zmarszczył brwi. – Mnie się to też nie podoba. Ale postąpiłem zgodnie z jej życzeniem.

– Naprawdę kazała panu go uśpić? Przecież miała go od szczeniaka.

Weterynarz nie spuszczał wzroku z Joanny. – Ben miał około roku, kiedy go dostała – oznajmił. – Znajoma podarowała go jej, bo nie dawała sobie rady z tą szaloną bestią. – Uśmiechnął się. – Bo Ben naprawdę był szaloną bestią, i to pod każdym względem. Kiedy go tu przyprowadzała, warczał i szczekał. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby komukolwiek innemu udało się go oswoić. Na nas też by się rzucił, gdybyśmy wypuścili go z klatki...

Gdy Joanna opuszczała klinikę, nagle zrobiło się jej żal martwego owczarka. Ben dobrze się spisywał u swojej pani. Nikt się na niego nie skarżył. Marilyn trzymała go na wodzy tak, że nie sprawiał żadnych kłopotów. Tym bardziej planowane uśpienie psa budziło niesmak i rzucało cień na charakter Marilyn Smith. Skoro tak kochała Bena, to dlaczego kazała go uśpić po swojej śmierci? Joanna wsiadła do auta.

Mikę przyjrzał się jej. – No i co? Wyszczekał ci tożsamość zabójcy alfabetem Morse'a? – Miał swobodną, lecz drwiącą minę.

Joannie przywołało to w pamięci słowa jakiejś starej piosenki... „Zawsze ranisz tych, których kochasz...”

– Uśpili go – oznajmiła. – Marilyn poleciła weterynarzowi uśpić go, jeśli coś jej się stanie.

Mikę wpatrywał się przed siebie. – Jeśli coś jej się stanie? – powtórzył.

A ponieważ Joanna milczała, odezwał się znowu: – Czyli wiedziała?

– Nie mam pojęcia.

Gwałtownie skręcił kierownicę i wjechali w Silk Street.

– Beeston poradziłby sobie z takim psem – zauważył. Joanna uznała, że lepiej będzie pozostawić tę uwagę bez komentarza.

Gdy auto już wjechało na zwirowy podjazd, Joanna rozglądała się długo i uważnie. Astra wciąż stała na podjeździe, w miejscu, gdzie Marilyn zaparkowała ją tamtego wieczoru. Auto oklejone było zieloną taśmą, którą założyli ludzie z ekipy śledczej, przeszukując posiadłość. Na razie

60

niczego nie znaleźli – żadnych włosów nie należących do denatki. Tak więc według ekspertów sądowych w tym domu nie było nikogo innego. Joanna zerknęła na auto, urażona. Czy w ogóle warto było zabezpieczać to miejsce? Czy znajduje się tutaj cokolwiek, co mogłoby im pomóc... choć jeden istotny dla śledztwa dowód, wskazujący na kogoś, kto związany był z tym domem i być może okaże się zabójcą? Czy może jednak w chwili śmierci kobieta była sama?

– Myślę, że powinniśmy wziąć wszystko do depozytu – stwierdziła – dopóki nie dowiemy się, z czym naprawdę mamy do czynienia.

Powoli przeszli do drzwi frontowych. Ogród przed domem nie był ładny: w dużej części brukowany, z wielkimi donicami pełnymi falującymi żonkili i szkarłatnych tulipanów. Widocznie kobieta była zapaloną ogrodniczką o kiepskim guście. Joanna spojrzała w górę. Wszystkie cztery frontowe okna miały słupki w stylu georgiańskim i szprosy ze lśniącego, białego plastiku, wbudowane między szyby. Wszystko wyglądało kosztownie i tak gładko. Dodając wartość tego domu do obliczonej przez Matthew sumy kosztów operacji plastycznych i zabiegów upiększających, Joanna wyceniła dochody kobiety na mocno zawyżone, jak na średnie zarobki pielęgniarki. Nie było żadnych oznak niedostatku, takich jak zdrapana farba czy zniszczone framugi okienne. Stojąca na podjeździe astra stanowiła model najwyższej klasy. Auto miało zaledwie rok.

Ludzie z ekipy śledczej siedzieli w radiowozie i jedli kanapki. Joanna otworzyła drzwi.

– Znaleźliście coś? – Założyła kombinezon i kalosze. Któryś z ekipy pokręcił głową.

– Nic a nic – rzucił niechętnie. – Pani inspektor – dodał po chwili.

Nieoczekiwanie wybił zegar. Joanna wzdrygnęła się i spojrzała na niego.

– Dziwne – rzekła. – Kolejny raz zwraca na siebie uwagę, kiedy tu wchodzimy.

– Właśnie minęła pełna godzina, pani inspektor – zauważył Mikę z nutką ironii w głosie.

Obróciła się do niego. – Nie to miałam na myśli – odparła – tylko sam zegar. Przyciąga oko. On tu zwyczajnie nie pasuje, prawda? Wyróżnia się na tle całej tej jaskrawej, krzykliwej tandety. Jest jakiś inny. – Zmarszczyła czoło. – Zupełnie nie pasuje do tej...

----- 61 -----

– Wysztafiowanej dziwki, którą znaleźliśmy na piętrze? Joanna milczała, wściekła na Mike'a, że nie bał się powiedzieć tego, czego sama nie umiała głośno wyrazić. Pchnięciem otworzyła drzwi i weszli do salonu. Jasne, malowane figurki tancerek z porcelany wpatrywały się w nich zimnym wzrokiem. Joanna wzięła do ręki jedną z nich.

– Jak myślisz, Mikę, ile coś takiego może kosztować?

– Znam akurat dokładną cenę. Sto sześćdziesiąt siedem funtów i pięćdziesiąt pensów – odparł od niechcienia. – Kupiłem taką żonie na urodziny. Odstawiła figurkę i rozejrzała się. Jej wzrok przykuła inna osobliwa rzecz. Przeszła przez pokój w stronę małej, zabytkowej sekretery z piękną mozaiką przedstawiającą polowanie na jelenia, inkrustowaną kością słoniową, hebanem i jakimś innym ładnym drewnem. Na blacie dostrzegła biały proszek daktyloskopijny.

– Wygląda na to, że ludzie z ekipy już tu byli – oznajmiła. – Mieli sporo do zbadania. Znaleźli coś?

– Tylko wyraźne odciski palców Marilyn – odrzekł Mikę, zaglądając do notatek. – Podobnie jak zresztą w całym domu.

Zerknęła na niego. – A odciski innych osób? – dociekała.

– Niczego innego nie znaleźli. Widocznie naprawdę mieszkała sama – dodał tonem usprawiedliwienia.

Joanna odwróciła się do niego. – Mikę – rzekła – ile ty znasz samotnych kobiet? Zarumienił się.

– No, takich, które z nikim się nie spotykają...

Twarz i szyja poczerwieniały mu jeszcze bardziej. – Kiedyś myślałem – odparł cicho – że znam tylko jedną... ciebie.

Zacisnęła szczękę. – Dobrze, czyli to kolejny dowód – stwierdziła zdecydowanym tonem. – Tak naprawdę każda kogoś ma. Tylko że niektórym udaje się ukryć to przed ludźmi.

– Czyli spotykała się z żonatym facetem?

– Niewykluczone – odparła chłodno. – Jedno jest pewne. – Postukała palcem w blat biurka. – Ta kobieta kogoś miała i okoliczności wskazują na to, że udało jej się świetnie to ukryć, nie sądzisz? Stary zegar i drogocenny mebel – dwa kosztowne antyki... Może dostała je w prezencie od kochanka?

W odpowiedzi Mikę prychnął głośno z niedowierzaniem.

62

Ekipa śledcza zdażyła już siłą otworzyć biurko sekretery. Podobnie jak w całym tym domu, w szufladach biurka panował idealny porządek.

– Orientujesz się w cenach antyków, Mikę?

– Nie – odparł, pokazując jej plik rachunków. – Ale może tu znajdą się odpowiedzi na te dręczące pytania. – Nie mógł powstrzymać się od znaczącego uśmiechu. – A przynajmniej na jedno: ona nikogo nie miała. Sama kupiła te rzeczy.

Joanna przejrzała rachunki. – lysiąc trzysta funtów? Za zegar? Naprawdę jest wart aż tyle? – Spojrzała na sierżanta. – Mikę, skąd ona miała tyle forsy? Pokręcił tylko głową.

– Albo trzy tysiące za to maleńkie biureczko? – Uśmiechnęła się nagle. – Czyżby pielęgniarki dostały jakąś ekstra podwyżkę?

Mikę zaśmiał się. – Moja żona jest pielęgniarką – odparł niechętnie. – Gdybym ci powiedział, ile zarabia, przekonałabyś się, że nie starczyłoby tu nawet na szufladki.

Joanna pokazała mu dwa kolejne rachunki. – Wszystko kupione w jednym miejscu. Wiadomo, jaki to sklep?

Mikę nachmurzył się. – No i co tak na mnie zaraz zezujesz? Przecież jego właścicielem jest ten cwaniaczek Grenville Machin, ale i tak nie uda nam się go na niczym przydybać. Mamy na niego oko już od trzech czy czterech lat. Przebiegły jak lis. Dorobił się piorunem i mieszka sobie w rezydencji. Znają go gliniarze z całej okolicy. Bóg jeden wie, w jakiej branży siedzi – narkotyki, przestępczość zorganizowana – i dałbym głowę, że to paser. Kiedyś nawet udało nam się go złapać pod zarzutem próby zabójstwa, ale... – Mikę podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. – Łatwo się wywinął. Takim jak on zawsze się udaje. Stać ich na najlepszych adwokatów. Załatwił sobie jakiegos Adwokata Królewskiego* z Manchesteru, a ten wyciągnął go za odpowiednią sumkę. Wyszliśmy w sędzie na kompletnych durniów.

Joanna obserwowała go z zaciekawieniem, zastanawiając się, dlaczego ta sprawa

wywoływała u Mike'a tyle goryczy. Ciekawe, w jakim stopniu był w nią zaangażowany...

– Opowiedz mi o tym – poprosiła.

* W oryginale QC – Queen's Counsel; tytuł honorowy członka palestry, nadawany wybitnym adwokatom w Wielkiej Brytanii.

63

Mikę odwrócił się i spojrzął na nią, rozżalony. – Może innym razem – odparł. – Powiem tylko, że ten facet zrobił ze mnie idiotę i nigdy mu tego nie wybaczę. I dla czystego sumienia powiem ci jeszcze jedno. Nawet przy twoich skutecznych metodach nie uda się nijak przy-szpilić Grenville'a Machina. Jest bardzo sprytny, przechytry nawet ciebie i całą waszą nadrzędną pleć. Bo tacy jak on – rzucił gniewnie – są poza prawem. I to jest właśnie najgorsze w naszej pracy. Wobec takich ludzi prawo jest bezsilne, bo są nietykalni. To chyba jeszcze gorsze niż mieć szefa-kobietę, pani inspektor!

Joanna wpatrywała się w rozgoryczonego sierżanta. Nigdy nie przypuszczała, że kryje się w nim tyle żalu. Przez chwilę stała bezczynnie, po czym wzruszyła tylko ramionami. Odwróciła się od niego i wzięła do ręki stos listów, czytając podpis pod jednym z nich... „Pozdrawiam. Mama”. Zerknęła na datę. – Przecież ktoś twierdził, że matka Marilyn nie żyje, prawda? – spytała głośno.

Mikę skinął głową. – Zdaje się, że rejestratorki z przychodni mówiły...

Wskazała na list. – Tu jest data z zeszłego tygodnia – oznajmiła.

Mikę utkwiał w nią wzrok. – A skąd go przysłano?

– Z Cardiff. Tylko po co rozповідаła, że matka nie żyje? Widocznie – dodała – musiała jakoś wyjaśnić, skąd miała te pieniądze.

Joanna postanowiła, że listy przejrzy później; będzie na to czas. Teraz pragnęła już tylko zabrać się do przeszukiwania domu denatki i jak najszybciej stamtąd wyjść.

Ale wchodząc do kuchni, rozmyślała nad pełnymi goryczy słowami Mike'a i nagle poczuła to dobrze jej znane przyśpieszenie pulsu, którego po raz pierwszy doświadczyła w dzieciństwie, czytając słowa: „gra się toczy, doktorze Watson”*. Bo jednak w pełnym niewyjaśnionych tajemnic życiu Marilyn był jeszcze ktoś: miejscowy mężczyzna o skłonnościach przestępczych, ktoś, kto uważał, że stoi ponad prawem. Czy był aż tak pewny siebie, że popełnił morderstwo, sądząc, że ujdzie mu to na sucho? I czy był na tyle inteligentny, by zabić Marilyn, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów?

* Cytat z „Króla Henryka IV” W. Szekspira, wykorzystany przez Sherlocka Holmesa, słynnego bohatera powieści kryminalnych Arthura Conana Doyle'a.

64

Joanna stała, oparta o framugę drzwi. – Mikę – odezwała się. – Wspomniałeś, że złapaliście go pod zarzutem próby morderstwa...

– Ranił kobietę – odparł. – Swoją dawną miłość. Pokłócili się. Twierdził, że pistolet wystrzelił przypadkowo. No jasne! Kula rozwaliła jej ramię. – Mikę wpatrywał się w Joannę. – Omal nie zginęła. Na szczęście szybko wezwano pogotowie, karetka przyjechała natychmiast i zabrała ją do szpitala, gdzie zajął się nią jakiś cholernie dobry chirurg. Inaczej byłoby już po niej.

Zgarnęła opadające na twarz włosy. – A więc mieliście dowody. Mikę zrobił jeszcze bardziej zgorzkniałą minę. – Tak nam się zdawało. Ona złożyła oświadczenie, że groził jej śmiercią.

– I zeznawała potem w sądzie?

– Przekabacili ją, jeszcze zanim zdążyła cokolwiek zeznać – wyjaśnił. – Wycofała oskarżenie, zaprzeczyła, jakoby się kłócili, stwierdziła, że to był nieszczęśliwy wypadek, bo prosiła go, żeby jej pokazał, jak się strzela z broni. Po zakończeniu sprawy nie było już sensu oskarżać ją o utrudnianie śledztwa. Bo i po co? – zakończył, rozgoryczony. – Nie mieliśmy szans. Skoro nasz główny świadek zmienił zeznania, sąd i tak nie przyjąłby naszego oskarżenia. Nie zdołaliśmy nawet nakłonić jej, żeby wniosła skargę o złośliwe okaleczenie. A jeszcze ten chytry sukinsyn miał pozwolenie na broń!

– A ona? Co się z nią potem stało? – spytała Joanna, zaciekawiona. – Nadal mieszka w Leek?

– Wyjechała i otworzyła restaurację na Costa del Soi. – Zamrugał. – Zabrała ze sobą dziecko. Znając jego metody, na pewno zastraszał małego. Ciekawe tylko, skąd miała forszę na tę restaurację. – Twarz poczerwieniała mu ze złości. – Cały zamęt w tym małym, spokojnym mieście – dodał – to przeważnie jego sprawki. Ten gnojek jest ubabrany po same uszy. – Przerwał na chwilę. – Kiedyś nawet ktoś go

dorwał... – Zamyślił się. – Zepchnęli go wtedy ze skały. Ale na nieszczęście przeżył.

Joanna milczała. Po chwili spojrzała na Mike'a. – Ciekawe, dlaczego wcześniej o nim nie słyszałam... – zastanawiała się.

Mikę popatrzył na nią życzliwie. – Bo od półtora roku siedzi cicho.

Joanna zmarszczyła czoło. – Może ma to jakiś związek z Marilyn...

Pokręcił głową. – Raczej ma jakiś swój nowy plan – wyjaśnił, po czym znowu przerwał, jakby zastanawiał się, czy podjąć ten temat. – Miewasz czasem koszmary? – spytał w końcu.

Pokręciła głową. – Jakies przerażające sny? Raczej nie.

– To opowiem ci swój koszmar – rzekł, a w jego ciemnych oczach pojawił się błysk. – Dookoła mamy tutaj wrzosowisko. Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś? – spytał. – Ciągnie się całymi kilometrami... Przez pół roku przykryte śniegiem i niedostępne. Drogi biegną tuż przy urwiskach. Miękką, grząską ziemią... To właśnie jeden z moich koszmarów. Może gdzieś tam leżą dziesiątki ciał, a my ich nigdy nie znajdziemy. – Miał zaciśnięte pięści, na masywnej szyi widać było nabrzmiałe żyły.

– Wróćmy do sprawy, Mikę – przerwała mu łagodnie. – Ciało Marilyn Smith znaleziono nie na wrzosowisku, tylko tu, w samym centrum miasta. Wystrojona jak dziwka, leżała we własnym łóżku, a drzwi do jej domu były dobrze zabezpieczone. Spostrzegła, że Mikę się rumieni, i uznała, że powinna była ugryźć się w język. Do diabła. Po co tak stanowczo odrzuciła jego obawy? Chciał się jej zwierzyć, a ją było stać jedynie na kpiny.

– Ale jest i Machin... Chyba jest w to zamieszany, nie? – wymamrotał pod nosem.

W odpowiedzi odezwał się stary zegar, wybijając pół godziny. Mikę odwrócił się. – Te wszystkie antyki – ciągnął – pochodzą od niego. – Rozejrzał się dokoła. – Nawet tu nie pasują, prawda? Przy tym wystroju wyglądają jak księżniczki przy prostytutkach.

Joanna milczała, zamyślona. Niewykluczone, że właśnie Grenville Machin był tym, na którego Marilyn czekała tamtego wieczoru. Wtedy popełnienie morderstwa stałoby się jeszcze bardziej prawdopodobne. Skoro znajoma takiego osobnika, podejrzanego niegdyś o próbę zabójstwa, nagle umiera...

Joanna dokładnie obejrzała kuchnię. Poblask nowych, białych mebli skrywała warstwa kurzu i brudu. Widocznie Marilyn nie miała wyrzutów sumienia z powodu zaniedbywania prac domowych. Joanna zajrzała do zmywarki. Była pełna brudnych naczyń. Tamtego tragicznego wieczoru Marilyn porządnie się najadła. Z boku leżały jeszcze resztki posiłku, na który składał się stek, frytki, sos pomidorowy oraz sałatka z owoców ze śmietaną, po której został pusty karton. Przywołując w pamięci widok fałdów tłuszczu na ciele denatki, Joanna uznała, że Marilyn nie dbała raczej o linię.

Mikę dołączył do niej w kuchni. – Ładnie tu – przyznał z aprobatą w głosie. – Sam nie pogardziłbym taką kuchnią, a Frań byłaby

66

A

wręcz zachwycona. – Zmarszczył nos. – Tylko bardziej dbałaby o czystość.

– Właśnie – przytaknęła Joanna. – No, i tu znów widać wielkie pieniądze...

Godzinę później, po systematycznym przeszukaniu pomieszczeń na parterze, Joanna spojrzała na Mike'a. – A teraz chodźmy na górę – nakazała.

Zasłony były odsunięte i związane, łóżko rozebrane aż do materaca, a pościel została już przekazana do analizy sądowej. Pokój stracił swój prowokujący wystrój haremu; wyglądem i zapachem przypominał teraz typową damską sypialnię: panowały tu czystość, porządek, w powietrzu pachniało perfumami i kosmetykami... Wszędzie róż, koronki i porcelanowe figurki tancerek.

– Żadnych środków antykoncepcyjnych – zauważyła Joanna, gdy przetrzasnęli szuflady i wbudowaną szafę z lustrem.

– Ani innej seksownej bielizny – dorzucił Mikę.

– Rzeczywiście, miała chyba tylko ten jeden komplet.

– Na jedną noc.

– Nie ma też żadnych listów miłosnych – dodała Joanna.

– Co mają znaczyć te nowe ubrania, do diaska? Joanna westchnęła. – Nie mam pojęcia.

Ciemne oczy Mike'a napotkały jej wzrok. – Popełniła samobójstwo – orzekł. – Nie ma innego wytłumaczenia.

– Ale jak? – dziwiła się Joanna. – Nie wyjaśniła powodu, nie napisała listu pożegnalnego...
– A może... – odparł powoli Mike – napisała do matki. Joanna skinęła głową. – Wiesz, Mike – rzekła – niewykluczone, że masz rację. To całkiem możliwe. Jasne. Wyślemy kogoś z naszych, żeby ją powiadomili i uprzedzili, że przyjedziemy. Mike pokiwał głową.
– Ale dziś wracaj już na komendę – nakazała. – Jutro tam pojedziemy. A ja teraz muszę jeszcze zamienić słówko z panią Shiers z sąsiedniego domu.
– Myślisz, że to ona telefonowała do przychodni?
– Na pewno. – Joanna nachmurzyła się. – Co o niej wiesz, Mike?
– Znana dziwaczka – odparł. – Rejestratorki z przychodni pewnie mówiły ci już rano, że jej mąż zniknął bez śladu kilka lat temu.

----- 67 -----

Joanna podniosła głowę. – Wiedziałaś o tym?
Przytaknęła. – Ale nie zgłosiła zaginięcia – odparł. – Plotki głoszą, że zostawił ją dla innej kobiety. – Podrapał się w podbródek. – Ludzie gadali, ale nie wiedzieliśmy w tym nic podejrzanego. Wtedy nic nie wskazywało na przestępstwo.
– W takim razie musimy się tym zająć, Mike – odrzekła. – Subtelnie i wnikliwie. I bardzo ostrożnie... Możliwe, że coś znajdziemy.
– Chyba tak – zgodził się. – Jedno mnie tylko dziwi: dlaczego ta Shiers nawet tu do nas nie wyszła? Dlaczego siedzi tam i nas podgląda? Przecież wie, że i tak będziemy musieli z nią porozmawiać.
– Niektórzy ludzie – odparła Joanna – boją się kontaktu policją. Przeraza ich to, że mogą znaleźć się wśród podejrzanych.
– Zwłaszcza wtedy, gdy mają jakieś tajemnice z przeszłości – dodał Mike ponuro.

8

Joanna stworzyła w wyobraźni swój własny wizerunek Evelyn Shiers: wścibska, nieśmiała... a może nękana poczuciem winy?
Jednak w rzeczywistości była całkiem inna. Gdy otworzyła drzwi, przypominała zaszczutego lisa o rudych, najeżonych jak sierść włosach. Joanna ucieszyła się, że nie dotarła tu w towarzystwie Mike'a. Potężnie zbudowany policjant mógłby wystraszyć starszą panią, która nawet pewnie nie wie, po czyjej stronie.
– Pani Shiers? Kobieta drgnęła.
– Inspektor Piercy. Przyszedłem zadać kilka pytań odnośnie pani sąsiadki. Kobieta znów się wzdrygnęła, przełknęła głośno ślinę i odparła obronnym tonem: – Aleja nic nie wiem. Nie rozumiem, dlaczego pani chce ze mną rozmawiać. Właściwie to prawie jej nie znałam.
Joanna uśmiechnęła się zachęcająco. – Zadam pani tylko kilka pytań, pani Shiers. To nie potrwa długo.
Chcąc nie chcąc, Evelyn Shiers otworzyła drzwi.
Joanna ujrzała z bliska siwiejące włosy, wyblakłe, rudawe włoski na podbródku, jasne oczy i kwiecisty szlafrok, owinięty wokół chudej

68

sylwetki. Poszła za kobietą do małego salonu. Dwa rude kocury siedziały na brązowej sofie, która stanowiła komplet z dwoma fotelami. Joanna usiadła na jednym z nich, naprzeciwko szarego ekranu telewizora.
– To pani dzwoniła wczoraj do przychodni, prawda? – spytała łagodnie Joanna. Na co Evelyn Shiers przytaknęła.
– Nie wiedziałam, co robić – wykrztusiła. – Bałam się... – Zerknęła na lewo, w stronę domu pielęgniarki. – Nie chciałam, żeby pomyślała, że się wtrącam.
– A czy kiedykolwiek twierdziła, że pani się wtrąca? – spytała Joanna obojętnie, jak gdyby odpowiedź nie miała żadnego znaczenia. To było jednak ważne. Może ta kobieta lubiła węszyć?
Evelyn Shiers zamrugnęła. – Ona była bardzo skryta – odparła cicho.
Joanna czekała, przekonana, że kobieta będzie mówić dalej. I nie myliła się. Evelyn oparła się na krześle, splótła palce. – Ona nie żyje, prawda? – W jej głosie dało się wyczuć wyraźne przejęcie. – To znaczy...
– urwała. Miała speszoną minę.
Joanna skinęła głową. – Zgadza się – odparła. – Ona nie żyje.
Pani Shiers wstała nagle, odwróciła się i wyjrzała przez okno. – Powinam była zadzwonić wcześniej.
Joanna też wstała. – I tak nie miałoby to żadnego znaczenia. Nie żyła już od poprzedniego wieczoru.

Sąsiadka wytrzeszczyła oczy. – Więc ona leżała tam martwa – wykrztusiła – już wtedy, gdy jadłam tu śniadanie?

Joanna przytaknęła.

Kobieta opadła na sofę i ukryła twarz w dłoniach. Drżała przez chwilę, po czym podniosła głowę. – To straszne – westchnęła.

– Pani Shiers – zaczęła powoli Joanna – czy przypadkiem nie wie pani, kto był u niej w domu w poniedziałek wieczorem?

Pokręciła głową. – Nie – odparła. – Ben nikogo by nie wpuścił.

– Wlepiała wzrok w Joannę. – Dlaczego pani pyta, kto był u niej w domu? Została zabita?

– Tego jeszcze nie wiemy.

– Więc może zmarła na jakąś chorobę?

– Raczej nie.

----- 69 -----

sylwetki. Poszła za kobietą do małego salonu. Dwa rude kocury siedziały na brązowej sofie, która stanowiła komplet z dwoma fotelami. Joanna usiadła na jednym z nich, naprzeciwko szarego ekranu telewizora.

– To pani dzwoniła wczoraj do przychodni, prawda? – spytała łagodnie Joanna. Na co Evelyn Shiers przytaknęła.

– Nie wiedziałam, co robić – wykrztusiła. – Bałam się... – Zerknęła na lewo, w stronę domu pielęgniarki. – Nie chciałam, żeby pomyślała, że się wtrącam.

– A czy kiedykolwiek twierdziła, że pani się wtrąca? – spytała Joanna obojętnie, jak gdyby odpowiedź nie miała żadnego znaczenia. To było jednak ważne. Może ta kobieta lubiła węszyć?

Evelyn Shiers zamrużyła. – Ona była bardzo skryta – odparła cicho.

Joanna czekała, przekonana, że kobieta będzie mówić dalej. I nie myliła się.

Evelyn oparła się na krześle, splótła palce. – Ona nie żyje, prawda? – W jej głosie dało się wyczuć wyraźne przejęcie. – To znaczy...

– urwała. Miała speszoną minę.

Joanna skinęła głową. – Zgadza się – odparła. – Ona nie żyje.

Pani Shiers wstała nagle, odwróciła się i wyjrzała przez okno. – Powinnam była zadzwonić wcześniej.

Joanna też wstała. – I tak nie miałyby to żadnego znaczenia. Nie żyła już od poprzedniego wieczoru.

Sąsiadka wytrzeszczyła oczy. – Więc ona leżała tam martwa – wykrztusiła – już wtedy, gdy jadłam tu śniadanie?

Joanna przytaknęła.

Kobieta opadła na sofę i ukryła twarz w dłoniach. Drżała przez chwilę, po czym podniosła głowę. – To straszne – westchnęła.

– Pani Shiers – zaczęła powoli Joanna – czy przypadkiem nie wie pani, kto był u niej w domu w poniedziałek wieczorem?

Pokręciła głową. – Nie – odparła. – Ben nikogo by nie wpuścił.

– Wlepiała wzrok w Joannę. – Dlaczego pani pyta, kto był u niej w domu? Została zabita?

– Tego jeszcze nie wiemy.

– Więc może zmarła na jakąś chorobę?

– Raczej nie.

----- 69 -----

Evelyn Shiers wykrzywiła mocno twarz w usilnym skupieniu. – Przecież robi się u was sekcje zwłok i tym podobne...

– Na razie nic nie wykazano.

– Nikogo u niej nie było. – Evelyn gładziła swój podbródek, znalazła pojedynczy sztywny włos i jej palce zaczęły bawić się nim. – Ben na pewno by czekał.

Usłyszałabym go. Nikogo u niej nie było.

Joanna znów usiadła. – Pani Shiers – zwróciła się do kobiety – jaka była Marilyn?

Evelyn zaczęła pośpiesznie kołysać głową, w górę, w dół... i znowu w górę, w dół. Przypominała kurę. Obserwując ją, Joanna przypomniała sobie, że gdzieś już to widziała: w domu starców, u jakiejś kobiety, która podobno była obłąkana. Joanna czekała, aż pani Shiers zacznie mówić.

– Wredna była – odparła tamta powoli. – Wredna. I złośliwa. – Uśmiechnęła się.

– Wystarczyło spojrzeć na Bena. Kiedy go dostała, był spokojnym, przyjaznym psem. Wychodził do ogrodu. – Podniosła głowę. – I dawał się pogłaskać. –

Przerwała na chwilę, po czym ciągnęła dalej: – Ale zmienił się. Stał się agresywny. To ona go zepsuła, wie pani? Drażniła go i z czasem stał się... zły. Kiedy go wypuszczala, musiałam się przed nim chować.

– Ale nie złożyła pani na niego skargi?

Evelyn Shiers zamrugowała. – A po co? – spytała. – Kto by mnie tam słuchał? Przecież wy nigdy nie macie czasu. Joanna milczała.

– Ale to nie pies ją zabił, prawda?

Joanna pokręciła głową. – Nie – odrzekła. – To nie pies.

Evelyn Shiers znów zaczęła kiwać głową w górę i w dół. – I tak nie uwierzyłabym, że to pies – przyznała. – Ben ją uwielbiał. I może przez to miała problemy. Bo widzi pani... oni mieszkali razem, tylko we dwoje. – Zamyśliła się na chwilę. – Tylko we dwoje... Tamtego ranka był zrozpaczony. Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby tak wył. Chyba strasznie cierpiał. Wył tak żałośnie.

Joanna zastanawiała się nad rolą psa w całej tej sprawie. Co takiego może wiedzieć Ben? Ale wtedy przypomniała sobie, że przecież Ben też nie żyje. Usiadła w fotelu i wyjrzała za okno na kilka przywiedłych pierwiosnków, wyłaniających się wśród chwastów.

Evelyn Shiers zauważyła to. – To przez koci mocz – wyjaśniła spokojnie. – Rośliny tego nie lubią.

70

/

Joanna wróciła do sprawy Marilyn. – Ona miała dużo znajomych? – spytała.

– Znajomych? Skądże. – Evelyn wydeła usta, co nadało jej ostry, złośliwy wyraz twarzy. – Absolutnie. Tylko tak udawała. Marilyn lubiła udawać, że ma ich wielu, zwłaszcza mężczyzn. Ale prawda była inna. Prawie wcale nie wychodziła z domu. I widziałam, jak w domu tylko raz, może dwa, odwiedzili ją jacyś mężczyźni. Już więcej się nie pojawili. Oszukiwała samą siebie, opowiadała mi, że bywała w różnych hotelach i restauracjach. Ale to wszystko stek kłamstw. Wcale nigdzie nie chodziła.

– A ci mężczyźni, którzy ją odwiedzali... – dociekała Joanna. – Kim oni byli?

Evelyn zastanawiała się przez chwilę. – Facet od antyków – odparła. – Raz czy dwa przywiózł meble. Nie siedział u niej nawet minuty.

– A kiedy to było?

– Przed kilkoma miesiącami. – Evelyn wzruszyła ramionami. – No, w każdym razie dawno temu. I ani razu u niej nie został. Podjechał tylko furgonetką, wyładował meble i od razu jechał dalej. Szybka wizyta. – Niespodziewanie zachichotała sprośnie. – Za szybki jak na kochanka.

– Czy był ktoś jeszcze?

– Sama mówiła mi... – Evelyn zmrużyła oczy. – Mówiła, że spotyka się z jakimś żonatym. Ale jej nie wierzyłam.

Joanna poczuła chłód. Coś ją tknęło w sypialni denatki: leżała jak cudzołożnica, ubrana w uwodzicielską bieliznę. I to wszystko dla żonatego mężczyzny?

– Co jeszcze o nim mówiła?

– On wcale nie istniał – odparła Evelyn. – Nie było żadnego żonatego kochanka.

– A może widziała pani jakieś inne auta zaparkowane przed jej domem?

– Przecież mówię pani...! – Evelyn niemal krzyknęła. – Nikogo tam nie było.

Joanna zostawiła ten temat. Wyjrzała przez okno i zobaczyła róg muru z czerwonej cegły. – Ładny ten jej dom – podsumowała. – Drogi jak na pensję pielęgniarki. – Przerwała, czekając, aż kobieta podaży za jej wskazówką.

71

– Wiem coś, co może pani pomóc – odparła Evelyn. – Jej matka zmarła i zostawiła jej w spadku sporo pieniędzy. To było kilka lat temu. – Też spojrzała na dom.

– Skąd pani wie, że jej matka zmarła?

– Sama mi mówiła – wyjaśniła Evelyn. – Opowiedziała mi całą historię. Jej matka chorowała, mieszkała w domu starców. Koszty pochłaniały cały spadek. Aż pewnego dnia nagle zmarła. Marilyn pojechała nawet na pogrzeb. I była ubrana na czarno – dodała obronnym tonem. – Jak w żałobie.

Joannie przypomniały się listy. W adresie Butę Street numer 6 nie było nic, co wskazywałoby na dom starców. Poza tym przekonana była, że matka Marilyn żyje.

– Kiedy widziała pani Marilyn po raz ostatni?

– W poniedziałek – odparła Evelyn bez wahania. – Ona mnie nie widziała.

Obserwowałam ją przez okno, jak wsiadała do swego auta. Miała na sobie fartuch. Była wyraźnie z siebie zadowolona... i taka zadziorna. Narobiła hałasu silnikiem. Dobrze wiedziała, jak mnie to drażni – wyjaśniła, jakby nigdy nic. –

Dlatego to robiła.

W kręgach policyjnych używa się specjalnego określenia na takie osoby. To urodzone ofiary... Obwiniają siebie za całe zło, przekonani, że wszyscy się na nich wyżywają. Tacy ludzie tylko czekają na kłopoty. A wtedy – pomyślała Joanna – jak za sprawą jakiejś magicznej klątwy, kłopoty same do nich ciągną, jak ómy do światła.

– No i co było potem? – dociekała.

– Wsiadła do samochodu, bardzo głośno nastawiła radio. Lubiła to robić, bo Ben się wściekał. Denerwowało go to. A ona uwielbiała go drażnić, wie pani? Lubiła patrzeć, jak się złości. Toczył pianę z pyska, szczekał, próbował przeskoczyć przez płot. – Evelyn zerknęła na Joannę. – I nie mógł, oczywiście. Bo płot był za wysoki. A ona śmiała się i drwiła z niego. Czasami wywieszała za płot kość i miała ubaw, gdy pies usiłował chwycić ją zębami. – Zamrugwała. – Marilyn bywała czasem naprawdę wredna, pani inspektor – dodała. – Potrafiła być okrutna...

– Pani mieszka tu sama, pani Shiers? – Joanna zmieniła taktykę. Przez chwilę twarz kobiety wyrażała ogromny wstręt. – Tak – odparła.

– Jest pani wdową?

72

– Mój mąż i ja jesteśmy... – Tu nastąpił krótki moment zawahania. – W separacji.

Joanna wyjęła notatnik i ołówek. – Od jak dawna? – Podniosła wzrok, wyczekując odpowiedzi.

– Od czterech lat.

– A gdzie on teraz jest?

Evelyn miała rozzłoszczoną minę. – Nie wiem – rzuciła. – Nic mnie to już nie obchodzi. Tu go nie ma.

– Więc gdzie on jest?

Nagle znów przypominała zaszczutego lisa. Przyparta do muru. – Nie umiem pani powiedzieć... Nie wiem, gdzie on jest.

Joanna przyglądała się włosom na jej podbródku. Głowa kobiety poruszała się gwałtownie w przód i w tył. Evelyn Shiers była wyraźnie zdenerwowana.

Joanna westchnęła. Trzeba będzie zadać jeszcze więcej pytań i zbadać sprawę jeszcze dokładniej. Miała wrażenie, że czekają bardzo ciężka praca. Ale nie teraz. Wstała, zbierając się do wyjścia i zauważyła, że kobieta rozluźniła ramiona z westchnieniem ulgi.

– A przy okazji – odezwała się Joanna przy drzwiach. – Nie wiemy, jak zginęła Marilyn, proszę więc lepiej zabezpieczyć drzwi, pani Shiers. I jeśli cokolwiek pani zauważy...

– Na przykład co? – spytała kobieta.

– Cokolwiek. Proszę natychmiast do nas dzwonić. – Joanna podała jej numer na komendę i swój wewnętrzny. – I prosić inspektor Piercy. A ja będę wdzięczna, jeśli przypomni sobie pani cokolwiek, co się wiąże z tą sprawą. – Otworzyła drzwi frontowe. – Pewnie zajrzę tu jeszcze.

Czy to wszystko prawda, Mikę?

Siedzieli w jej biurze i popijali kawę.

– Czy rzeczywiście była tylko samotną, otyłą kobietą, która zmyślała różne historie, żyła w wyimaginowanym świecie, aż pewnego wieczoru wystroiła się w seksowne ciuchy i tak po prostu odebrała sobie życie?

Miał nachmurzoną minę. – Możliwe – odparł niepewnie. – W jej domu nie było nic, co wskazywałoby na cokolwiek innego.

– W takim razie skąd te pieniądze? Antyki... operacje plastyczne... i w ogóle cały ten dom. Przecież jej matka żyje, prawda? A więc

73

nie było żadnego spadku. – Dłoń Joanny powędrowała na stos listów.

– Może lepiej je poczytajmy. – Wzięła jeden, inny podała sierżantowi. Przebiegła wzrokiem po kartce. „Trochę więcej pieniędzy... W zeszłą środę widziałam, jak pastor przyszedł z wizytą do sąsiedniego domu. To chyba niezbyt przyzwoite z jego strony wpadać o tak późnej porze, w końcu to duchowny... ona wyglądała bardzo szykownie... A pani Tol-ley, ta, która mieszka trzy numery dalej, wychodzi w każdy piątek. Wyobrażasz sobie, Marilyn? Myśli, że nie widzę, jak ktoś podwozi ją autem. W zeszły piątek poszłam na spacer aż do końca drogi. Chciałam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. I co widzę? Jakiegoś mężczyznę w samochodzie. Wprowadzie nie znam go, ale gdy tylko pan Tolley się dowie...” Joanna cisnęła list na biurko z obrzydzeniem. To pachniało plotkarstwem. Wzięła

inny list. I te kartki zapisane były wieściami kogoś wścibskiego, całkowicie pozbawionego dyskrecji, lubującego się w insynuacjach. Odłożyła listy i spojrzała na Mike'a.

– Co za potworne...

– Bzdury – dokończył. – To wścibski, stary babsztyl.

– Czyli ona żyje, a do tego jeszcze wtrąca się w nie swoje sprawy. Jaka matka, taka córka?

– Może jutro dowiemy się czegoś więcej...

Joanna bawiła się długopisem, aż wreszcie podzieliła się jeszcze jedną nurtującą ją sprawą. – A ten pies, Mikę? Nie chce mi się wierzyć, żeby kogokolwiek wpuścił do domu.

– Chyba że w stosunku do jej gości – odparł Mikę powoli – pies nie był agresywny.

– Możliwe – rzekła bez przekonania. – Ale czy potem pies wypuściłby go z domu, skoro Marilyn nie odprowadziła go już do drzwi?

– Spojrzała na niego. – A więc jakiś kochanek? Tylko że nie uprawiali seksu...

– A może była lesbijką? – zasugerował, po czym uśmiechnął się kącikiem ust. – I nie potrzebowała środków antykoncepcyjnych.

– Rzeczywiście – odparła. – To by się zgadzało.

Wcisnęła podbródek w dłonie, łokcie oparła na biurku i wpatrywała się w Mike'a.

– Więc co wybieramy? – spytała. – Brak przyczyny zgonu czy brak śladów przestępstwa?

Mikę milczał przez chwilę, po czym odparł niepewnie: – Na przestępstwo wskazywałoby jedynie to, jak była ubrana. Ale z drugiej stro-

74

ny wiemy, że lubiła być w centrum uwagi. I może właśnie dlatego tak się ubrała?

Joanna westchnęła. – Sama już nie wiem...

Przez chwilę bazgrała w notesie.

– Może coś jeszcze przychodzi ci do głowy, Mikę? Nim zdążył odpowiedzieć, uśmiechnęła się krzywo.

– Typowe prawo Murphy'ego – podsumowała. – Moje pierwsze poważne śledztwo powinno dotyczyć jakiegoś zwykłego, prostego zabójstwa. A to? Co z tego wyjdzie? Błędne rozpoznanie? W najlepszym razie ohydny czyn na tle seksualnym.

Mikę wstał i poklepał ją po ramieniu. – Musimy jeszcze zadać kilka pytań – oznajmił – temu lekarzowi, u którego pracowała... – Uśmiechnął się szeroko. – Nigdy nie miałem zaufania do lekarzy – dorzucił.

– Problem w tym – odparła – że w sumie nie znaleźliśmy nic podejrzanego, prawda? Nie możemy tylko wykryć przyczyny zgonu. I to wszystko.

Mikę wziął jej notes. – A zaginiony pan Shiers?

– Wyślemy kilku naszych, żeby popytali po okolicy – orzekła. – Może rzeczywiście odszedł do innej kobiety.

– A może wcale nie – zastanawiał się głośno Mikę. – Może te dwie sprawy jakoś się ze sobą wiążą. – Przysunął bliżej notes i narysował dwa domy. Przypominały niezdarny rysunek dziecka. – Wiem, że to trochę daleko posunięte wnioski – przyznał. – Ale... spójrz tylko. Z jednego domu znika facet. W drugim domu mieszka Marilyn. Wiadomo, że bywała złośliwa... I nie cofnęłaby się przed manipulacją czy podłymi sztuczkami. Może za dużo wiedziała?

Joannie zachciało się śmiać. Wersja Mike'a zabrzmiała melodrama-tycznie, jak z jakiegoś kryminału. Ale jego ciemne oczy patrzyły śmiertelnie poważnym wzrokiem prosto na Joannę.

– Wobec tego jak zginęła?

Mikę wzruszył ramionami. – Od trucizny. Została otruta.

– Więc dlaczego Matthew tego nie wykrył?

Wzrok Mike'a znów utkwiony był w Joannę. – Ale poszperaj trochę – doradził jej.

– Poszukaj tu i tam. Zdaje się, że doktor Levin też wie o naszej Marilyn coś więcej, tylko nie chce się przyznać.

Joanna odetchnęła wreszcie. Nagle uświadomiła sobie, że ta myśl chodziła jej po głowie przez cały dzień. Wiedziała, jakie pytania powin-

75

na tam zadać, ale bała się. Tak naprawdę nie chciała znać odpowiedzi. Jednak wyraźnie czuła, że Matthew próbował ją nakłonić, by zakończyła tę sprawę.

Dlaczego?

– Matthew ma do mnie zadzwonić jeszcze dziś – odparła i wstała. – A tymczasem zajrzę do przychodni – dodała. – Trzeba jeszcze pomówić z doktorem Wilsonem.

Lekarz siedział w swoim gabinecie i patrzył za okno. Miał pomarszczoną i poszarzałą twarz. Przerwała mu rejestratorka, wprowadzając Joannę. Uprzejmie podniósł się z krzesła.

– Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

– Przykro mi. – Usiadła. – Nagła śmierć to ciężka sprawa, sam pan rozumie. Przeważnie pociąga za sobą mnóstwo wątpliwości. Niektóre pytania pozostają bez odpowiedzi, doktorze Wilson. Ale oprócz tego, że nie udało nam się ustalić przyczyny zgonu, znaleźliśmy jeszcze kilka innych niejasności.

Spojrzał na nią ciężkim wzrokiem. – Ustalenie przyczyny zgonu nie zawsze jest możliwe – skwitował.

Skinęła głową. – Wiemy, panie doktorze. Ale chodzi o to, że Mari-lyn była... prowokująco ubrana. Chcemy tylko to sprawdzić.

Głos mu się załamał. – Czyli jakiś zboczony gwałciciel wciąż jest na wolności...?

– To nie był gwałt – wyjaśniła spokojnie Joanna.

Lekarz przecesał palcami siwiejące włosy. Sterczały mu jak u bohatera jakiejś kreskówki. – Więc co się stało? – spytał. – Przecież nic nie skradziono, prawda?

– Nie wiemy nawet, jak ktoś dostał się do środka – odparła. Nagle spochmurniał.

– A te... wspomniane niejasności? – spytał.

– Na przykład to, że miała więcej pieniędzy, niż można zarobić w jej zawodzie...

– To jej matka...

– Sprawdzimy to. – Ucięła temat i skrzyżowała nogi. – Teraz chciałabym zadać tylko kilka rutynowych pytań. Czy dyżuruje pan tutaj przez całą dobę, doktorze?

Wysilił się na zmęczony uśmiech. – O rany, pewnie, że nie – odrzekł. – W nocy dyżuruję na zmianę z lekarzami z gabinetu Sam-mj^{ego} Bose'a. Jest ich czterech – dodał – więc idzie nam całkiem nieźle. Grafik jest rozpisany na nas pięciu.

----- 76 -----

T

W Joannie coś drgnęło. – To znaczy – zaczęła powoli – że podczas nocnych dyżurów był pan także lekarzem pierwszego kontaktu dla Marilyn Smith?

Zaśmiał się. – Chyba tak – odparł. – Nawet o tym nie pomyślałem. Rzeczywiście – dodał powoli. – Ale ani razu mnie nie wzywała...

– I był pan na dyżurze tamtej nocy, kiedy zmarła?

Jonah Wilson miał wyraźnie zaniepokojoną minę. – Chwileczkę, pani inspektor – wyjąkał. – Czy pani sugeruje...?

– Niczego nie sugeruję – przerwała. – Próbuję tylko zebrać informacje.

– Hm, no więc... tak, byłem wtedy na dyżurze.

– I miał pan pracowitą noc?

– Było kilka wezwań – odrzekł zmienionym tonem. Nie był już tym miłym lekarzem, który zatrudniał denatkę. Teraz, jako podejrzany, stał się nerwowy i agresywny.

– Mówiłem już. Musiałem jechać do Onecote.

– O której godzinie? – Joanna zapisywała coś w notesie.

– Gdzieś około dwudziestej trzeciej... – Podał jej adres. – Spędziłem tam mniej więcej trzy kwadransy. Podejrzenie zapalenia opon mózgowych.

– A, rzeczywiście. Pamiętam. To był fałszywy alarm.

– Tak. Zwyczajny ból głowy, i tyle...

Joanna zanotowała w pamięci, żeby to sprawdzić.

Rejestratorki zastała potem przy kawie w kwadratowym pomieszczeniu, gdzie przechowywano kartoteki. Gdy weszła, natychmiast zapadła cisza, ale po chwili poczęstowały ją kawą, a Joanna nie odmówiła, więc poczuły się swobodniej.

Spojrzała na nie z zaciekawieniem.

– No więc jaka ona była? – spytała.

Wysoka, ruda Sally zdjęła z tablicy jakąś fotografię. – To Marilyn – oznajmiła.

Na zdjęciu były cztery osoby: obie rejestratorki stały sztywno w papierowych czapkach i z kieliszkami w ręce, a obok przysadzista, mocno umalowana kobieta, uwieszona na szyi doktora Wilsona. Pomimo słabej jakości zdjęcia uwadze Joanny nie umknął fakt, iż lekarz czuł się w tej sytuacji niezręcznie, Marilyn zaś wyglądała na wyraźnie zadowoloną. Joanna przyjrzała się jej uważnie.

Na twarzy kobiety widniał lubieżny uśmiech. Na ustach miała błyszczącą szminkę, jej włosy były mocno zakręcone, a wargi lekko roz-

77

chylone. Ubrana była w przykrótką, obcisłą czarną suknię, która uwydatniała duży biust i zwały tłuszczu wokół talii. Dłonie o polakierowa-nych na czerwono paznokciach oparte były o tweedową marynarkę lekarza. Marilyn miała wzrok

utkwiony w niego, on zaś z nieszczęśliwą miną wpatrywał się w obiektyw aparatu. Sally zajrzała Joannie przez ramię. – O Boże – westchnęła cicho.

– Jeśli to możliwe, by kobieta pałała tak sprośną żądzą do mężczyzny, ona była tego najlepszym przykładem. Wręcz go uwielbiała. Próbowała wszystkich sztuczek. Nie dawała biedakowi żyć. Nie miał przez nią ani chwili spokoju.

– A jemu nie podobało się to, że zwracała na niego uwagę? – dociekała Joanna, kryjąc zaskoczenie.

Sally spojrzała na zdjęcie. – A jak pani myśli? – spytała. – Czuł do niej wstręt. Przecież jest żonaty. Pani Wilson ma pewne problemy, ale mimo to są szczęśliwym małżeństwem. Zawsze szybko wraca do niej po nocnym dyżurze. Na Marilyn nie miałyby nawet czasu.

– Czyli to musiało być dla niego trudne – podsumowała Joanna.

– I krępujące.

Maureen przytaknęła. – Czasem nie wiedział, gdzie się podziąć ze wstydu.

– Ale mimo to ją zatrudniał. Sally zbyła to grymasem.

– Czy mogę pożyczyć to zdjęcie?

Maureen wzruszyła ramionami. – Proszę bardzo – odparła. – Nie jest nam potrzebne. – A na widok zdziwionej miny Joanny dodała jeszcze ostrzej: – Niech pani zrozumie: nie chcemy, żeby cokolwiek ją nam przypominało. Nie znosiłyśmy jej.

– Wprawdzie o umarłych nie należy mówić źle – wtrąciła druga

– ale bez niej będzie nam tu lepiej. Przez nią były tylko same kłopoty.

Powtarzała okropne rzeczy, które podobno mówili o nas inni. Ciągłe utrudniała

nam życie. Są ludzie – dodała – których nigdy nie będzie nam brakowało. –

Zerknęła na fotografię. – A ona do nich należy.

Właśnie wtedy wszedł Jonah, spostrzegł Joannę i zatrzymał się, nie wiedząc, czy ma iść dalej, czy się cofnąć.

Joanna schowała zdjęcie do kieszeni. – Niech mi pan powie, doktorze – zwróciła się do niego – jakie jest pana osobiste zdanie? Jak pan myśli, co było przyczyną jej śmierci?

78

Rozejrzał się nerwowo. – Hm, mówiłem już, że według mnie nie była typem samobójczyni – odparł powoli. – Jednak nigdy nic nie wiadomo. Większość samobójców już wcześniej próbowała odebrać sobie życie. Ale zdarza się, że ludzie zamykają się w sobie. – Zmarszczył czoło. – A może to był po prostu wypadek? – dodał i uśmiechnął się nieśmiało.

Odpowiedź była żadna, co Joannę tylko poirytowało. Niech to szlag, pomyślała. Ale to przecież ona prowadzi śledztwo. To do niej należy ustalenie przyczyny śmierci kobiety. Przy zabójstwie dochodzenie jest złożone, a przy samobójstwie nie. A do tego jeszcze opieszałość lekarzy strasznie utrudniała jej określenie charakteru całej tej sprawy. I być może traci tu cenny czas, zamiast jechać gdzie indziej.

– Czy ona miała kogoś? – spytała.

– Nikt tu do niej nie przychodził – odparł spokojnie lekarz. Niczego się od nich nie dowiem, uznała. I wyszła.

Matthew zadzwonił natychmiast po jej powrocie na komendę. Mówił ściśniętym, napiętym głosem. – Nie przeszkadzam? – rzucił sztywno.

A gdy zaprzeczyła, spytał ją, czy może rozmawiać. Odparła, że tak.

– Nie potrafię o tobie zapomnieć, Jo – wyznał. – Bez przerwy o tobie myślę.

Poczuła, że serce tłucze się jej w piersiach i żałowała, że zadzwonił.

– Jesteś tam? – spytał spiętym głosem.

– Matthew – odparła łagodnie – daj sobie trochę czasu, proszę cię.

Westchnął. – Nie potrafię, Jo. Próbowałem już.

– Na Boga, Matthew – rzekła, znowu poirytowana. – Przecież jesteś żonaty. Masz córkę. Odpowiada ci to. I dobrze. Nie chcę tylko, byś myślał, że możesz mnie mieć „na boku”. Uporządkuj sobie życie...

– Czy ty nie rozumiesz, co do ciebie mówię, Jo? Kocham cię. Poczuła, że drży w nagłym przypływie silnego gniewu. – Nie mam

zamiaru jeszcze raz przechodzić przez to wszystko, Matthew – oświadczyła. – Nie chcę już czekać i robić sobie nadziei. Proszę cię, pozwól mi zająć się moim życiem. Mam dużo pracy.

Milczał, a po chwili spytał: – I jak ci idzie?

Odparła, że nie najlepiej.

– A ludzie z ekipy? Znaleźli coś?

Zawsze lubiła, gdy podchwytywał policyjny żargon, choć rozmawiając z nim o pracy, doświadczała niebezpiecznego uczucia bliskości.

– Nic a nic nie znaleźli – odparła. – Tylko sierść owczarka i jej odciski palców. Poza tym nic. Coś tu nie gra. Wszystko wskazuje na to, że ta kobieta prowadziła klasztorny tryb życia.

Matthew zaśmiał się nerwowo. – Nie wyglądała mi na taką. To, co widziałem w kostnicy, niewiele miało wspólnego z klasztornym życiem.

– Rzeczywiście, nie była ubrana jak zakonnica – przyznała Joanna – ale w jej domu przy Silk Street nie było żadnych innych śladów rozwiązłości. A co u ciebie? Masz już wyniki z laboratorium?

– Częściowo tak. Resztę dostarczą w ciągu najbliższych kilku dni. Badanie zawartości żołądka wykazało obecność drobnych ilości barbituranów, które mogły zadziałać nasennie, ale w żadnym razie nie spowodowały zgonu. No i alkohol... Wydaje mi się... – przerwał. – To tylko czysta teoria, ale wydaje mi się, że szampan mógł jej posłużyć za afrodyzjak. Wysłałem organy wewnętrzne i jeszcze kilka próbek do laboratorium w Birmingham, ale sama wiesz, że to może potrwać. Wiesz, co bym najchętniej zrobił? – spytał i nie czekając na odpowiedź, rzekł: – Napisałbym w akcie zgonu: przyczyna nieznaną...

Joannę zaskoczyło jego podejście. Przecież był anatomopatologiem. – Matthew – zganiła go. – Jak możesz tak mówić? A ty nie chciałbyś znać przyczyny? Zdrowe kobiety przed czterdziestką nie umierają tak po prostu.

– Ale tak byłoby najprościej, prawda? – odparł. – W domu był tylko pies... Żadnych śladów włamania czy wtargnięcia siłą. Żadnych zniszczeń ani szkód, nic nie zginęło. Spójrz prawdzie w oczy, Jo – dodał. – To jedyne sensowne wyjaśnienie, biorąc pod uwagę fakt, że na jej ciele też nic nie znalazłem. W duchu wiedziała, że musi się z nim zgodzić.

W słuchawce nastąpiła cisza, a po chwili przerwał ją Matthew: – No więc, co z nami będzie?

Milczała. Po kilku nieskończenie długich sekundach odezwała się wreszcie: – Matthew, zadzwoń do mnie, proszę, kiedy będziesz miał kolejne wyniki. Teraz muszę kończyć. – I odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę wpatrywała się w telefon, odczuwając jakiś dziwny niepokój. Czy tak naprawdę go znała? Zdawało jej się, że w odpowiedzi

80

słyszy ciche szepty. Nie... Matthew Levin był dla niej kimś zupełnie obcym. Był już wieczór i właśnie miała opuścić komendę, gdy dyżurny sierżant zawołał ją.

– Telefon – oznajmił i skrzywił się. – Jakaś wariatka... Podniosła słuchawkę.

– Ja chcę rozmawiać z... – tu nastąpiła przerwa – inspektor Piercy.

Joanna od razu rozpoznała ten drżący głos. – Dobry wieczór, pani Shiers, mówi inspektor Piercy. W czym mogę pomóc?

Kobieta gwałtownie zaczerpnęła tchu, po czym wyrzuciła z siebie:

– Ja tak bardzo się boję... Proszę tu kogoś przysłać.

– Ale co się stało, pani Shiers?

– Proszę... – W głosie słyhać było płacz. – Proszę tu kogoś przysłać. Ja słyszałam psa... – dodała. – Słyszałam Bena...

Choć zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że to niemożliwe, Joanna poczuła nagle dziwny chłód. Przecież Ben nie żyje. Próbowowała to wyjaśnić Evelyn Shiers. Psa oddano do weterynarza, który go uśpił.

Evelyn jednak nie dała się przekonać. – Słyszałam go – twierdziła uparcie. – Myśli pani, że mi się zdawało? Naprawdę, słyszałam psa.

Dyżurny sierżant spojrzał pytająco na Joannę.

Próbowała to zlekceważyć. – Duch psa ją straszy – rzekła przeprasza ją. – Wyślijcie tam radiowóz.

Sierżant zachichotał i podniósł słuchawkę. Będzie miał co opowiadać kolegom w pubie.

Joanna wzięła torbę. – Zadzwoncie do mnie do domu – poleciła.

– Za godzinę tam będę.

Miała akurat wziąć kąpiel, gdy zadzwonił telefon.

– Nie było żadnego psa. To miejsce w ogóle świeci pustkami.

– Szczekania też nie słyszeliście?

– Kompletna cisza. – Policjant dzwonił z radiowozu i na linii słyhać było jakieś trzaski. – Przeszukaliśmy wszystko. Zajęło nam to pół godziny. I nic. Nie

było żadnego psa.

81

Joanna zmarszczyła czoło. – A pani Shiers?

– Histeryzowała jak diabli – odparł policjant. – Kompletnie jej odbiło.

Próbowaliśmy jej tłumaczyć, ale nie chciała słuchać. Jest święcie przekonana, że tam jest pies.

Joannie uporczywie towarzyszył dziwny niepokój. – Byliście tam?

– Dom jest pusty – odrzekł. – Nikogo tam nie ma. Porządnie go przeszukaliśmy. I nic. Żadnych innych trupów ani złych psów.

– A co na to pani Shiers? – dociekała Joanna.

– Twierdzi uparcie, że to Ben. – Ton głosu policjanta zabrzmiał sceptycznie. – Mówi, że rozpoznaje jego szczekanie.

Joanna usłyszała dochodzący z radiowozu wybuch śmiechu. – W porządku – rzekła. – Dzięki. – I odłożyła słuchawkę, zastanawiając się, czy rzeczywiście można rozpoznać psa po szczekaniu.

Pytanie to nurtowało ją tej nocy podczas snu, jednak rano wciąż nie знаła na nie odpowiedzi.

Tego dnia w domu panowała cisza – tak głucha, że Pamelli zdawało się, iż w powietrzu krążą tylko opary wspomnień. Przechadzała się z pokoju do pokoju.

– Stevie – szeptała. – Stevie... Jesteś tam?

Weszła do kuchni po butelkę dla dziecka, ale widocznie Jonah znów gdzieś ją schował. Szukała jej, wyjmowała z szuflad różne rzeczy... ścierki do naczyń, ręczniki... łyżki, talerze. Rondle i kartony płatków owsianych. Gdzie ona się podziała?

Przeszła przez pokój gościnny i uśmiechnęła się. Jonah lubił porządek...

Wszystkie zabawki na swoim miejscu. Jonahowi spodoba się to. Ruszyła schodami na górę przygotować dziecku kąpiel.

W połowie drogi usłyszała śmiech. Zawsze słyszała Stewiego. Ale ten mały psotnik chował się, gdy tylko wchodziła na ostatni stopień. Czasami krył się w pokoju dziecinnym, więc gdy weszła na piętro, skierowała się właśnie tam. Gdy doszła do drzwi, na których widniał różowy króliczek, stanęła i sięgnęła ręką do klamki, choć wiedziała, że pokój zamknięty jest na klucz...

Dowcipy, których Joanna nasłuchiwała się tego ranka, bynajmniej nie poprawiły jej nastroju. – A słyszała pani inspektor, co zrobił niewidzialny pies?

Stanęła wyczekująco przy biurku. – No, co takiego? – spytała.

82

– Ugryzł się w tyłek i zdziwił się, że go nie boli. – Dyżurny sierżant wybuchnął śmiechem, a dwaj policjanci z drogówki zawtórowali mu. Joanna zareagowała szybkim uśmiechem.

– Aha, właśnie – dodał sierżant. – Ona znowu tu dzwoniła. Joanna uniosła brwi.

– W tej samej sprawie, Martin? Skinął głową. – Niewidzialny pies staje się bardzo uciążliwy. Zadzwoił telefon, a sierżant wskazał na niego kciukiem. – To pewnie ona – oznajmił. – Punkt dziewiąta, jak obiecała.

– Odbiorę u siebie.

W słuchawce zabrzmiał rozhisteryzowany głos. – Wiem, że to Ben

– szlochała Evelyn. – Rozpoznaję jego szczekanie.

– Czy ma pani kogoś, kto mógłby przyjechać i dotrzymać pani towarzystwa?

– Nie potrzebuję towarzystwa. Tylko zróbcie coś, żeby przestał szczekać.

Błagam... Jestem pewna, że to Ben.

– Pani Shiers – Joanna próbowała ją uspokoić – Ben został uśpiony. Weterynarz nie dawał sobie z nim rady i uśpił go. Marilyn tak chciała. Sama mu to zleciła.

– Ale pani inspektor... – W głosie Evelyn zabrzmiała panika. – Pani inspektor... To na pewno Ben. Mieszkam obok od dwóch lat i znam jego głos prawie tak dobrze, jak swój własny. To był Ben.

Joanna obiecała, że zajmie się tym, odłożyła słuchawkę i natychmiast znów ją podniosła. W kilka sekund połączyła się z Roderickiem Beestonem.

– Wiem, że pewnie zabrzmiał głupio, panie Beeston – zaczęła ostrożnie – ale czy nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że uśpiono właściwego psa? Czy to na pewno był Ben?

– Ale o co chodzi? – W jego niskim głosie odezwała się nutka podejrzliwości.

Joanna sama uznała, że to wszystko brzmi irracjonalnie. Zwlekała przez chwilę... – Niech mi pan powie, panie Beeston – rzekła wreszcie.

– Czy można poznać psa po ujadaniu?

– Pyta pani, czy każdy pies szczeka na swój własny sposób? – Przerwał. – Dobrze

pytanie, pani inspektor. Nigdy bym nie pomyślał, że zainteresuje to policję.
– Interesuje mnie wszystko, co może mieć związek z tą sprawą – odparła lakonicznie.

83

– Hm, to naprawdę intrygujące. Odpowiedź brzmi: tak – dodał

– ale pod warunkiem, że dobrze znamy psa. Wtedy chyba jest to możliwe.

Milczała przez chwilę, po czym oznajmiła: – Najbliższa sąsiadka Marilyn Smith dzwoniła do nas sześć razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, przekonana, że słyszała, jak Ben szczeka.

Roderick Beeston odchrząknął. – O, to ciekawe – przyznał.

– Więc pomyślałam sobie, że zapytam pana.

– Nie ma wątpliwości co do tego – odrzekł – że Ben nie żyje. Sam rozsypałem jego prochy dokładnie tam, gdzie rosną róże.

Joanna poczuła lekkie mdłości. Podziękowała tylko weterynarzowi i usiadła, obracając w palcach ołówki. Na dźwięk głosu Mike'a zza drzwi natychmiast go wezwała.

– Myślałem, że od razu jedziemy do Cardiff – rzekł. – Powiedziałem już żonie... Zignorowała jego poirytowany ton i poinformowała go o tajemniczym szczekaniu. – Co o tym sądzisz?

– Powiem ci, co o tym sędzę – odparł. – To jej wyrzut sumienia.

– Spojrzał na Joannę. – Kobieta ma koszmary, bo wie coś, czego my nie wiemy. To jak, jedziemy do Cardiff?

– Później, po południu – odrzekła. – Chcę jeszcze raz jechać do przychodni.

Muszę się dowiedzieć więcej o Marilyn. Mikę... – Zawiesiła głos. – Jak myślisz? Czy Marilyn mogła szantażować Evelyn Shiers, bo wiedziała coś o zniknięciu jej męża?

– Możliwe – odparł. – Ale wątpię w to, że Evelyn zabiła swojego męża.

– Bo może – ciągnęła – to wcale nie było zabójstwo, tylko coś innego. Jakby tak przekopać ogród...

Posterunkowemu Willisowi polecono zadać kilka pytań w fabryce, w której Jock Shiers pracował aż do dnia, w którym zniknął cztery lata temu.

Brygadzysta był krępy męczyzną z twarzą pokrytą bliznami po trądziaku. –

Pamiętam Jocka dobrze – oznajmił. – Równy gość, punktualny jak w zegarku. Miał kruczoczarne włosy. – Zmarszczył czoło. – Uwielbiał żeglować.

– Naprawdę? – Posterunkowy Willis uniósł brwi.

84

– O tak. – Brygadzysta uśmiechnął się szeroko. – Miał własną łódź, nazywała się Marie Celeste*. Zawsze uważałem, że to pechowa nazwa, ale Jock miał niezłe poczucie humoru.

– Pewnie wydało się to panu dziwne, gdy pewnego dnia nie pojawił się w pracy?

Brygadzysta westchnął. – Hm – zaczął powoli – w zasadzie i tak, i nie. To był dziwny i nieprzewidywalny człowiek. Często robił zaskakujące rzeczy. Więc gdy pani Shiers oznajmiła, że postanowił popłynąć swoją łodzią w siną dal, wcale mnie to nie zdziwiło, absolutnie. – Obrzucił posterunkowego szybkim, zaciekawionym spojrzeniem. – A co się stało? Dzieją się jakieś nowe rzeczy?

– Zbieramy tylko informacje – odparł Willis.

Brygadzysta zaśmiał się z niedowierzaniem. – Jasne, już to słyszałem –

powiedział. – Niech pan sobie oszczędzi. Co tam nowego wyszło ze starym Jockiem?

– Podrapał się po głowie i nagle wykrzyknął, jakby coś go oświeciło: –

Oczywiście! Znaleźliście ciało tej pielęgniarki. Mieszkała obok Shiersów, prawda? Coś z tym?

Willis zebrał się, a brygadzysta wyszedł w krok za nim. – No – ponaglał. – Niech pan mówi, co się tu dzieje?

– To tylko rutynowe dochodzenie – odrzekł Willis, wsiadł do auta i odjechał, zostawiając za sobą zdziwionego brygadzystę.

Joanna siedziała cierpliwie w przychodni i czekała, aż lekarz skończy pracę o jedenastej. Doktor Wilson miał jeszcze kilku pacjentów; dzwonek, którym wzywał chorych, brzęczał raz po raz. W gabinecie Marilyn Smith było cicho.

Wreszcie poczekalnia opustoszała i rejestratorka zawołała Joannę. – Może pani wejść.

Wrogię spojrzenia obu rejestratorek dały jej do zrozumienia, że kobiety miały pewne wątpliwości. Dlaczego nie ustalono przyczyny zgonu Marilyn Smith? Jeśli to było zabójstwo, to dlaczego nie złapano jeszcze sprawcy? Czemu wciąż padają tylko pytania, a nie odpowiedzi? I czemu to wszystko tak długo trwa? Nawet

doktor Wilson był wyraźnie poirytowany kolejną wizytą policji.

* Marie Celeste – nazwa legendarnego statku, który wypłynął z Charleston w Południowej Karolinie do Londynu. Odnaleziony został 59 dni później na Atlantyku. Nie było na nim załogi, ale na pokładzie nie stwierdzono żadnych śladów przemocy, a zapasy pozostały nietknięte.

85

– Co znowu? – fuknął, ale natychmiast pożałował swej opryskliwości. – Proszę mi wybaczyć, ale w małym mieście lekarz pierwszego kontaktu nie ma łatwego życia. To trudne najpierw spotykać ludzi na wspólnej kolacji, a potem oglądać ich wnętrze. A do tego jeszcze... Wie pani, tajemnica zawodowa. – Spojrzał na nią jasnymi, błyszczącymi oczami. – Tajemnica zawodowa – powtórzył. – To bardzo ważne. Trzeba jej przestrzegać za wszelką cenę.

Joanna poczuła się niezręcznie, ale przytaknęła.

– No cóż... Dopiero teraz, po jej śmierci, zaczyna to do mnie docierać. Tak naprawdę prawie wcale nie znalazłem Marilyn. – Lekarz uważnie obserwował twarz Joanny. – Pracowaliśmy razem, widywaliśmy się codziennie przez ostatnie siedem lat, a mimo to nie znalazłem jej. Sama pani rozumie – dodał – spotykaliśmy się tylko w pracy.

Joanna odniosła wrażenie, że powiedział to ze zbyt dużym naciskiem. Czy to paskudna, pełna podejrzeń logika policjantki nakazała jej uznać, że ten człowiek zbyt rozpaczliwie się zaklina?

Po tym, jak nagle spuścił wzrok, Joanna poznała, że nie jest z nią szczery. Dlaczego? Co mu z tego przyjdzie?

Znów poczuła się nieswojo. Spośród wszystkich, którzy najlepiej potrafili upozorować naturalny lub nagły zgon, najbardziej obawiała się lekarzy.

Dysponowali wiedzą. Mieli też niezbędne ku temu środki. Więc jeśli Marilyn została zamordowana, ktoś bardzo się postarał, żeby to ukryć.

– A czy łączyły ją bliskie stosunki z matką? Czy była zdruzgotana jej śmiercią?

– Niezupełnie – odparł lekarz. – Wzięła kilka dni wolnego na formalności związane z pogrzebem, sprzedała domu i innych rzeczy. – Zamyślił się na chwilę.

– Nie – stwierdził wreszcie. – Nie powiem, żeby bardzo się przejęła śmiercią matki.

– A bywała ostatnio przygnębiona? Pokręcił głową. – Nie, na pewno nie.

Joanna spojrzała znów na niego i uśmiechnęła się zachęcająco. – A jaka ona była? Jak wyglądała? Ładna chociaż?

Lekarz popatrzył na nią. – Pani inspektor – odparł cierpliwie. – Widziała pani zdjęcie. Nie miałem romansu ze swoją podwładną. Dlaczego wy zawsze musicie być tacy podejrzliwi?

----- 86 -----

– To moja praca – wyjaśniła krótko. – Na razie czuję się tak, jakbym błądziła po omacku, panie doktorze. Poruszam się tu i tam... na ślepo. I dopóki nie ustalimy przyczyny zgonu, nie mogę zostawić tej sprawy ani skierować śledztwa na główny trop.

Jego oczy napotkały jej wzrok. – Rozumiem panią, pani inspektor

– odrzekł, a ona pomyślała nagle, podobnie jak odwiedzający go liczni pacjenci, że ma piękne spojrzenie: bezpośrednie, odważne, uczciwe, ale zmęczone. Sprawiał wrażenie kogoś, kogo życie ciężko doświadczyło.

– Pani nie znała Marilyn, prawda? – spytał po chwili. Pokręciła głową. – Nie.

Milczał przez chwilę, po czym rzekł spokojnym tonem: – Gdyby pani ją znała, zrozumiałaby pani, że w jej życiu nic nie wydarzyło się bez powodu.

Joanna wpatrywała się w niego, zdumiona. Wykorzystując tę krótką przerwę w przesłuchaniu, doktor Wilson mruknął coś o wizytach domowych, wstał i wyszedł z gabinetu.

Joanna postanowiła dalej wypytać rejestratorki. Nie potrzebowały zachęty.

– Ale afera – syknęła Sally. – Wie pani, że jej by się to podobało? Pławiłaby się w tym. Nie zdziwiłabym się ani trochę, gdyby sama to wszystko zaplanowała.

– To niewykluczone – odparła ostrożnie Joanna.

Sally zarzuciła głową ze wstrętem. – O pewnie – rzuciła.

– Mówiłyście panie, że z nikim się nie spotykała. A czy ktoś kiedykolwiek ją tu odwiedzał? Jacysz przyjaciele?

Tym razem odpowiedziała Maureen. Wzruszyła ramionami. – Nie

– zapewniła. – Nikogo nie widziałam. Nikt tu nie przychodził prócz pacjentów.

Joanna zmarszczyła czoło. Prócz pacjentów...

– A którzy z pacjentów przychodzili regularnie? – spytała. Rejestratorki

wymieniły szybkie spojrzenia. – Bardzo wielu... diabetycy, astmatycy... wszyscy cierpiący na przewlekłe choroby.

Joanna przygryzła wargę i pochyliła się do przodu. – A może był ktoś, kto nie cierpiał na taką przewlekłą chorobę? – spytała.

– Hm... – Sally zmieszała się.

Maureen przysła jej z pomocą. – No, jeden czy dwóch pacjentów

– odparła.

87

– I kto to był?

– Kilka osób, które nas też intrygowały – odrzekła rejestratorka. – Jednym z nich był właściciel zakładu pogrzebowego.

– Czyli Paul Haddon?

– Przychodził co miesiąc – potwierdziła Sally. – W pierwszy czwartek miesiąca.

– I czasem bywał strasznie nerwowy.

– Nerwowy?

Rejestratorka wyjrzała przez okienko do poczekalni. – Chodził tam i z powrotem i wściekał się do czerwoności. Musi pan uważać, panie Haddon, mówiłam mu.

Ciśnienie się panu pogorszy.

Przerwała.

– A on obrzucał mnie wyzwiskami – dodała po chwili. – „Ciśnienie mam w porządku, siostrunio”. Bezcelny typ.

– Więc może chorował na coś innego?

– Wtedy przysła Smithy, więc ją pytam: co właściwie dolega temu

trupiarzowi...? Spojrzała na mnie z góry. Ciśnienie, mówi... Czyli któreś z nich kłamało, pani inspektor.

Joanna zanotowała w pamięci, żeby porozmawiać z właścicielem zakładu

pogrzebowego. – Był ktoś jeszcze?

Kobiety spojrzały po sobie. – Ten handlarz antykami, ale on chyba nie miał z tym nic wspólnego.

Joanna wyteńczyła słuch. – A często przychodził?

– Kilka razy w roku...

– On też był nerwowy – dorzuciła Maureen. – Widocznie za tymi wizytami kryło się coś więcej.

Sally spojrzała na Joannę. – Kto teraz wziął Bena? – spytała nagle. – Nie wyobrażam sobie, żeby kto inny poza Marilyn mógł się nim zająć. Przez niego nie chciała nawet wyjeżdżać za granicę na urlop.

– Niestety, Bena trzeba było uspić – odparła Joanna. Obie kobiety pokiwały smutno głowami.

– Czyli zgodnie z jej życzeniem – zapewniła Sally. – Mówiła mi kiedyś, że w razie jej śmierci chciałyby, żeby Bena uspić. A mnie zrobiło się go żal, więc jej to powiedziałam.

– I co ona na to? – spytała Joanna, zaciekawiona.

– Zachichotała tylko i uśmiechnęła się z wyższością, jak zwykle. „Ben wolałby zdechnąć niż żyć beze mnie” – przedrzeźniała Sally.

88

– No tak, Ben nawet nie miał wyboru – dorzuciła z goryczą Maureen. – Cholerna sadystka.

Kolejny dowód na to, że w tej kobiecie tkwiła podłość. Życzyć sobie, by w razie jej śmierci ukochane zwierzę odeszło razem z nią?

– I są panie pewne, że nie wspominała o żadnych krewnych? – drażyła Joanna.

– Mówiła nam, że jest ostatnią potomkinią wielopokoleniowego rodu. – Maureen schyliła nisko głowę i spojrzała sceptycznym wzrokiem. – Niech pani w to wierzy, jeśli chce. Ale ta kobieta nie miała ani odrobiny klasy. Lubiła tylko udawać. Potomkini wielopokoleniowego rodu... – Skrzywiła się. – Chyba o kurewskich tradycjach.

Joanna mimowolnie wróciła wspomnieniami do tamtej różowej sypialni... Te rozłożone nogi... Najwyraźniej fantazje odgrywały w życiu tej kobiety ogromną rolę. Problem w tym, że nie potrafiła odróżnić prawdy od fikcji. Gdzieś tam, w połysku różowego szyfonu i zapachu tanich perfum, leżała naga prawda. Marilyn Smith nie żyje. Może dzięki zaplanowanej na popołudnie wizycie w jej rodzinnym mieście coś się wyjaśni.

– Czy wiedzą panie, skąd pochodziła?

– Tak, zdaje się, że z Cardiff. – Sally zmarszczyła czoło w skupieniu. – Dałabym głowę, że wspominała o Cardiff.

Przynajmniej coś się zgadzało.

– Na pewno nie była stąd.

– I zdaje się, że mówiła z lekkim walijskim akcentem. Prawda, Maureen? Maureen skinęła niepewnie głową. – Możliwe – zgodziła się. Joanna zmarszczyła brwi. – A co dokładnie mówiła paniom o swoim romansie z tym żonatym mężczyzną? Czy to prawda?

– A kto to wie...? – Sally spojrzała jej w oczy. – Z Marilyn nigdy nie było wiadomo, kiedy mówi prawdę, a kiedy kłamie.

– Bo ona sama – dodała Maureen cicho – czasem chyba nie rozróżniała prawdy od kłamstw. Myślę, że oszukiwała sama siebie i w końcu zaczęła wierzyć w te swoje zmyślane historie.

I jeszcze ta bielizna, pomyślała Joanna. Czy była częścią tego świata zmyślenia? Wodziła wzrokiem od jednej kobiety do drugiej.

– Czy mogą panie – zaczęła niepewnie – powiedzieć mi coś więcej o stosunkach między doktorem Wilsonem a Marilyn? Mówiłyście, że nie dawała mu spokoju. Więc dlaczego jej nie zwolnił?

89

Kobiety spojrzały po sobie.

– Zdarzało się, że patrzył na nią tak, jakby miał ochotę ją wylać, ale...

– Nie ośmieliliby się. – Na okrągłej twarzy Maureen malowało się niedowierzanie. – Jego żona by się nie zgodziła.

– Pani Wilson? – zdziwiła się Joanna. – A co ona miała z tym wspólnego?

– To dzięki niej Marilyn dostała tę pracę.

Joanna nadstawiła uszu. – Proszę mówić dalej – zachęciła łagodnie.

– Pani Wilson odeszła kilka lat temu na urlop macierzyński – wyjaśniła Sally. – Wielka szkoda. Była tu pielęgniarką, świetnie sobie radziła. I doskonale układało jej się z doktorem Wilsonem. Wspaniała pielęgniarka – miła i życzliwa. Ale zaszła w ciążę i musiała odejść, a wtedy przyszła Marilyn. Od dawna się przyjaźniły, wie pani? Obie były pielęgniarkami jeszcze w Birmingham, gdzie doktor Wilson odbywał praktykę...

– To znaczy – wtrąciła Joanna – że doktor Wilson poznał Marilyn, zanim zaczęła tu pracować?

– Tak... – Sally wyraźnie zdziwiła się, że Joanna nic o tym nie wie. – Pani Wilson i Marilyn były najlepszymi przyjaciółkami. Nie wiedziała pani o tym? A więc lekarz celowo ukrywał ten fakt.

– Nie – odrzekła szybko. – Nie wiedziałam.

Skąd miała wiedzieć, skoro Wilson nie wspominał o tym ani słowem? Widocznie ten pozornie niewinny, zapracowany lekarz w rzeczywistości był całkiem inny.

– A ile oni mają dzieci? – spytała tylko po to, by ukryć poirytowanie, ale zabrzmiało to nieco teatralnie.

Rejestratorki znów spojrzały po sobie. Sally zbladła, a Maureen gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Jej oczy weszły łzami. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę, wyjęła ją, przetarła oczy i spojrzała na Joannę. – Przepraszam – odezwała się. – Minęło już parę lat, a wciąż robi mi się smutno, gdy tylko sobie przypomnę.

Joanna przyglądała się tylko. – Więc jak, mają dzieci? – ponagliła delikatnie.

– Ich dziecko zmarło. – Maureen miała zboliałą minę. – Miało zaledwie kilka miesięcy. – Głośno pociągnęła nosem.

90

– A pani Wilson? Nie wróciła do pracy?

Ich reakcja całkowicie ją zaskoczyła. Rudowłosa spojrzała błyszczącymi oczami. – Biedna kobieta – wybuchła, rozgorączkana. – Ona nie ma z tym nic wspólnego. Zupełnie nic. Proszę ją zostawić w spokoju.

Na co Joanna zanotowała w pamięci, by w żadnym wypadku nie dopuścić do pominięcia pani Wilson.

– Od śmierci dziecka choruje – ciągnęła niechętnie Maureen. – Nie wychodzi z domu. Pan doktor chodzi po zakupy, a oprócz tego jeszcze pracuje. Robi za nią wszystko, nawet kupuje ubrania. Sama go widziałam – dodała obronnym tonem, gdy Sally rzuciła jej surowe spojrzenie – na zakupach w Marks and Spencer.

Joanna wstała do wyjścia. – Dziękuję – rzekła. – Bardzo mi panie pomogły. Gdzieś ty była, do cholery?

Mikę nie krył wściekłości, gdy wreszcie wróciła na komendę. – Myślałem, że jedziemy do Cardiff.

– Pojedziemy jutro – rzuciła. Miał niezadowoloną minę.

– Powiedziałem mojej starej, że jedziemy dzisiaj.
Joanna wzruszyła ramionami. – Co za różnica? Zresztą – dodała, siadając – właśnie wracam z przychodni, gdzie dowiedziałam się kilku bardzo istotnych rzeczy... – I szybko zdała mu relację.
Nadal jednak wyglądał na niezadowolonego. – To stawia naszego doktora w nieco innym świetle, prawda?
Była zmuszona przyznać mu rację.
– Daleko mu do Alberta Schweitzera, co?
– W końcu lekarz też jest tylko człowiekiem – zauważyła. Uśmiechnął się ironicznie. – Naprawdę?
Zignorowała tę uwagę. – Wróćmy do faktów, Mikę – rzekła. – Skoro wszyscy twierdzą, że matka Marilyn zmarła przed czterema czy pięcioma laty i zapisała jej fortunę, to kto, do diabła, wysyłał listy z podpisem „mama” i skąd tak naprawdę Marilyn miała te pieniądze? – Westchnęła głęboko. – Ta sprawa jest trudna, bo mamy do czynienia z mnóstwem kłamstw. Ale są też fakty. Wiemy, że miała dużo forsy i że skądś musiała ją dostawać. Wiemy też, że kobieta nie żyje. I praktycznie cała reszta to zasłona dymna i stek kłamstw... – Przechesała

91

palcami włosy i podparła dłońmi podbródek. – Więc na czym stoimy, Mikę? – spytała powoli. – Nie pachnie ci to szantażem?
– Możliwe – odparł niepewnie.
– A jak zazwyczaj kończy się szantaż?
Nachmurzył się. – Morderstwem? Nie mamy żadnych dowodów.
Wskazała na niego palcem. – I właśnie to mnie martwi – orzekła. – Dowody! Ile razy się zdarzyło, że odkryliśmy prawdę, nie mając żadnych dowodów? Przecież to nie zmienia faktu, że prawda pozostaje prawdą. Nie sposób tylko udowodnić jej w sądzie.
Wpatrywał się w nią, prostując ramiona, po czym powoli skinął głową. – Masz rację – stwierdził po prostu. – Masz rację.
– A widzisz? – odparła. – Teraz już wiesz, dlaczego nie chcę tego zostawić.
– Masz rację – powtórzył.
Przysunął krzesło i rzucił na biurko jakiś dokument. – To cię też zainteresuje – powiedział. – Raport biegłych z analizy jej pościeli i wyniki z laboratorium.
– Dzięki, Mikę.
Wstał. – Chcesz kawy? – Silił się na swobodny ton, jednak żadne z nich nie dało się na to nabrać. Joanna dobrze wiedziała, ile kosztowało go zdobycie tych dokumentów. Bądź co bądź, bieganie na posyłki nie leżało w jego naturze.
– Dzięki – powtórzyła.
Analiza pościeli... Szybko przebiegła wzrokiem kartkę, wyszukując najważniejsze wnioski. Brak śladów spermy... Znalaziono włosy, ciemnobrązowe i siwe, farbowane, myte, poddane trwałej ondulacji przed około czterema miesiącami. Joanna przypomniała sobie tamto świąteczne zdjęcie z tablicy w recepcji przychodni. A więc Marilyn była u fryzjera zaraz przed świętami... Wróciła do treści raportu. Znalaziono też inne włosy, łonowe, identyczne z próbkami pobranymi z ciała denatki.
Przejrzała następną stronę. Włókna z naturalnej bawełny i poliestrowe... identyczne z próbkami... jedwabne i czarne nylonowe... Czyli wszystko się zgadza.
Mikę przyniósł kawę, położył na stole saszetki z cukrem i mlekiem w proszku i przesunął je w jej stronę.
– Nie wiedziałem, jaką pijesz – rzucił już wyraźnie niezadowolonym tonem.
Joanna domyśliła się, że przy automacie z kawą musiały

92

w

paść jakieś nieprzyjemne komentarze. Podlizujesz się szefowej... Zniżasz się do poziomu chłopca na posyłki? Nietrudno było się domyślić, co mówili.
Mikę przysiadł na krawędzi biurka i popijał kawę. – Wszystko zgadza się z próbkami pobranymi z jej garderoby – orzekł. – A w jej żołądku wykryto dokładnie to, czego się spodziewaliśmy: stek, frytki i sałatkę. – Przygryzł wargę. – I jeszcze coś... jakąś kapsułkę... częściowo już przetrawioną.
Joanna była przygnębiona. – Jej śródki nasenne, Mikę. Były w kapsułkach.
Skinął głową. – Tak myślałem. – Schylił się nad biurkiem do telefonu i podniósł słuchawkę. – No to zadzwonię i przekażę im, że w jej sypialni znaleźliśmy śródki nasenne.

Joanna podniosła kartkę opatrzoną nagłówkiem „treść żołądka” i natychmiast rzuciły się jej w oczy dwa słowa. – Czerwono-żółte – przeczytała szybko. – A kapsułki znalezione przy jej łóżku były czar-no-zielone.

– Dziwne. – Mikę zmarszczył brwi. – Jesteś pewna? Skinęła głową.

– We krwi nie wykryto śmiertelnej dawki leku – zastanawiał się. – Tylko drobne ilości barbituranów i szampana, i to wszystko. Tylko po co faszerować się prochami, jeśli się czeka na kochanka? – Jego ciemne oczy utkwiły w niej wzrok.

– W takiej sytuacji chyba nikt nie chciałby zasnąć.

– A jednak coś tu mamy – stwierdziła powoli Joanna. – Coś nowego, czego nie znaleziono w tym domu. Nareszcie. – Spojrzała na niego. – Domyślasz się, dokąd to może prowadzić, Mikę. Przekaż ekipie śledczej, żeby odszukali w aktach notatkę o czerwono-żółtych kapsułkach....

Było już późno, gdy skończyli wreszcie sporządzać raporty, i Joanna przypomniała sobie, że tego wieczoru Mikę wybiera się jeszcze na siłownię. Mimo to spytała ostrożnie, czy w drodze do domu nie wstąpiłby z nią do zakładu pogrzebowego.

– Proszę cię – namawiała. – To nie potrwa długo. Chcę go tylko wypytać o kilka spraw.

Spojrzał na nią, niezadowolony. – Niech to szlag, będziemy przesłuchiwać kolejno wszystkich jej pacjentów? – spytał.

– Nie. Nie wszystkich.

93

– Więc dlaczego akurat on?

Joanna wzięła marynarkę. – Boję się użyć tego słowa, ale chyba mam jakieś... przecucie.

– Tylko dlatego, że ma zakład pogrzebowy, chodzi ubrany na czarno i kojarzy ci się ze śmiercią!

– Nie, Mikę – odparła. – Chodzi o to, że ten facet – nie wiadomo z jakiego powodu – bywał w przychodni regularnie. I muszę to rozgryźć. Czym mogła go szantażować?

Mikę wyszedł za nią bez przekonania.

Kaplica pogrzebowa wyłożona była jasną dębina. W głębi stał ołtarz, obok kwiaty na wysokim podeście, a z przodu cztery rzędy pluszowych krzeseł.

Joanna uważnie obserwowała właściciela zakładu pogrzebowego. – Znał pan dobrze Marilyn? – Celowo użyła imienia pielęgniarki, by zaakcentować poufałość między nimi, ale Paul Haddon tylko zamrugał.

– Pyta pani o siostrę Smith?

– Tak – odparła powoli, jakby chciała coś zasugerować.

– Prawie wcale jej nie znałem.

Marynarka opinała mu mały, pękaty brzuch. Z czterech guzików miał zapięty tylko jeden. – Byłem jej pacjentem – oświadczył. – Prywatnie jej nie znałem.

– Ale chodził pan tam regularnie. Po co? Rozzłościł się. – To tajemnica zawodowa.

Co za brzydkie usta, pomyślała Joanna. Były zwiotczałe i wilgotne; dolna warga zwisała, kiedy mówił.

– W śledztwie o zabójstwo nie ma miejsca na tajemnice, ani zawodowe, ani żadne inne, panie Haddon – odparła. Lepiej się czuła w towarzystwie Mike'a. Błada twarz i ciemne, tajemnicze oczy właściciela zakładu pogrzebowego sprawiały, że czuła się nieswojo w tym zimnym, nieprzyjemnym miejscu.

– Cierpię na wysokie ciśnienie. Musiałem do niej chodzić co miesiąc.

Joanna skinęła głową. – Jasne, musiał pan do niej chodzić, ale pana ciśnienie nie miało tu nic do rzeczy. – Postanowiła natychmiast ruszyć do ataku. – No więc czym pana szantażowała?

Paul Haddon zareagował zdumiewająco. Wytrzeszczył oczy, krew odpłynęła mu z twarzy. Grdyka zaczęła poruszać się mu nerwowo

94

w górę i w dół. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, jednak nie mógł wykrztusić ani słowa prócz zdławionego szlochu. Chwycił jedno z krzeseł i opadł na nie z ulgą.

– Wcale nie – wyjąkał wreszcie. – To nieprawda... Nieprawda. Joanna była bliska współczucia. – Czy to pan ją zabił, panie Haddon?

Miał przerażoną minę. Zaczął gwałtownie kręcić głową. – Nie... – jęknął. – Nie... Nie. To nie ja.

– W takim razie kto?

To były pierwsze słowa, które wypowiedział Mike, odkąd tu weszli. Joanna wiedziała, że czuł się nieswojo. Spojrzała na niego. Miał poważny, zacięty wyraz twarzy. Nie trzeba było dalej go przekonywać. Marilyn Smith rzeczywiście została zamordowana. Pozostało tylko pytanie, a właściwie dwa: jak i przez kogo? Skupiła wzrok na przedsiębiorcy pogrzebowym.

– Nie wiem... – jąkał się, z trudem łapiąc oddech. – Nie wiem.

– Ja na pana miejscu rzeczywiście bym się leczył – dorzucił Mike surowym, niewzruszonym głosem. Nawet nie patrzył na Joannę.

Paul Haddon uśmiechnął się słabo. Wyglądał jeszcze bardziej odrażająco.

10

Mike obserwował jej dłonie na kierownicy. – I co, u diabła, zamierzasz jej powiedzieć?

Joanna westchnęła. – Wiem, czego na pewno nie zamierzam jej powiedzieć – odparła, nie spuszczać wzroku z jadącego przed nimi auta. –! Że jej córka opowiadała bzdury o tym, jak to matka zmarła pięć lat temu. – Zerknęła na Mike'a. – Wyobrażasz sobie, jak by ją to zabolalo? – Znów westchnęła. – Niech to szlag, Mike, chyba najbardziej paskudne w tej robocie jest oświadczyć matce, że nie mamy zielonego pojęcia, jaka była przyczyna śmierci jej córki. Przecież ona się załamała. Całe szczęście, że to nie my musieliśmy powiadomić ją o śmierci Marilyn. – Zmarszczyła brwi. – Mam wrażenie, że zmierzamy jednak donikąd.

95

Joanna skręciła gwałtownie, by wyminąć samochód, który wyjechał na drogę tuż przed nią, nie sygnalizując migaczem zamiaru włączenia się do ruchu.

– Dupek – mruknął pod nosem Mike.

Joanna uśmiechnęła się i odwróciła lekko twarz, by Mike nie dostrzegł jej rozbawienia. – Zmarli nie piszą listów, Mike. Wiemy już, że ona żyje. A uśpione psy też nie czekają – dodała.

Zerknął na nią. – Chodzi ci o panią Shiers?

Przytaknęła. – Dzwoni co najmniej trzy razy dziennie. I doprowadza wszystkich do szału.

– Widocznie gnębi ją poczucie winy – orzekł. Spojrzała na niego. – Tak myślisz? Wydał z siebie stłumiony chichot. – Chyba nie wierzysz w te bzdury, że nęka ją duch psa?

– Nie – odrzekła. – Jasne, że nie.

– A więc to się dzieje w jej głowie, prawda? Czuje się winna z powodu męża.

– Łódź Marie Celeste była zacumowana u wybrzeża Anglesey – oznajmiła Joanna. – Stała tam przez kilka lat.

– A widziano ją ostatnio?

– Tamtejsza policja właśnie to bada.

– Co oni, do cholery – zaklął Mike, gdy przed nimi zabłysł nagle cały szereg świateł hamowania.

Joanna zwolniła i wkrótce ruch znów odbywał się w normalnym tempie.

Mike schylił głowę i zerknął na list. – W takim razie skąd te pieniądze? –

Posłał jej szybkie spojrzenie. – Wszyscy twierdzą, że odziedziczyła po matce.

Joanna odgarnęła włosy za uszy. – Mnie się zdaje, że to szantaż... Lista szantażowanych jest długa. Możesz sobie wybrać, kogo chcesz. Evelyn... i nasz przedsiębiorca pogrzebowy. I twój znajomy – Grenvil-le Machin, ten handlarz antykami. Nawet nie zaczęliśmy jeszcze go przesłuchiwać. I doktor Wilson, który kłamał jak z nut.

Mike wybuchnął głośnym śmiechem. – Jasny gwint, podejrzanych nie brakuje – zauważył. – Tylko że nie znamy jeszcze przyczyny śmierci, bo ten twój patolog nie wymyślił jeszcze nic mądrego, prawda?

– Jaki znowu mój? – rzuciła gniewnie i gdyby nie to, że prowadziła auto, pewnie tupnęłaby nogą. W duchu wiedziała jednak, że trze-

96

w

ba będzie znów porozmawiać z Matthew. Dlatego umyślnie odkładała to w czasie.

– Mike... – Spojrzała na niego bystrym wzrokiem. – Jeśli to Machin, być może

będziesz miał kolejną szansę go przymknąć. Sam rozumiesz, że w tym przypadku konieczne jest bardzo skrupulatne śledztwo. – Posłała mu szybki uśmiech. – Mamy teraz dobry pretekst, żeby nieco bliżej przyjrzeć się jego interesom. A poza tym... – dodała wesoło – sama mam wielką ochotę go poznać.

Ta uwaga wyraźnie ubawiła Mike'a. Zachichotał głośno.

– Bądź co bądź – zauważyła – to jedyny człowiek związany z Marilyn, który mógł

jej dostarczać tak ogromne sumy pieniędzy. Sam mówiłeś, że ten facet ma posiadłość przy Longley Road, nie?

Mikę przytaknął.

– Zastanów się nad tym, Mikę. Pomyśl o stylu życia Marilyn... Ten dom, te antyki, operacje plastyczne i wszystko inne. Tu wchodziły w grę naprawdę duże pieniądze. Musiały pochodzić od niego.

– Od nikogo innego?

– Nie wygląda na to, by innym tak dobrze się powodziło. – Przerwała. – Jak sądzisz, ile forsy zdołałaby wycisnąć z Evelyn? Niewiele. A Haddon? – Skrzywiła się. – Żaden z niego bogacz. Za to nasz dobry znajomy, Machin... – Spojrzała na Mike'a, podekscytowana. – I ma już na swoim koncie zarzut próby zabójstwa. Mikę uśmiechnął się szeroko. – O tak – odparł powoli. – To mi się zaczyna podobać. Marzę o tym, żeby go dorwać za zabójstwo.

Joanna uniosła dłoń. – Nie mamy jeszcze dowodów, że to zabójstwo – przypomniała mu. – Nie mówiąc już o jakichkolwiek dowodach przeciwko niemu. Ciągłe czekam na kolejne raporty od doktora Levina.

Mikę zamilkł na chwilę. Joanna doskonale wiedziała, o czym myśli. Zerknęła na niego i napotkała jego wzrok. Zrozumiała, że dopóki tego jednego sobie nie wyjaśnią, nie ma szans na zaufanie w ich partnerstwie zawodowym.

Mikę odchrząknął. – Możesz o nim mówić „Matthew” – powiedział. – Wiem, że znasz go na tyle dobrze...

Milczała, speszona, więc mówił dalej.

– Sama rozumiesz, że niełatwo mi jest być podwładnym kobiety, zwłaszcza gdy wiem o jej życiu więcej, niż powinienem wiedzieć.

97

– Zgoda, spotykaliśmy się kiedyś, ale koniec z tym. Taka jest cała prawda – wyjaśniła zwyczajnie.

Przygryzł wargę. – Pewnie nie spodobało się to jego żonie. Moja też tego nie lubi... Tak to bywa z żonatymi facetami.

Czuła, że się rumieni. Jakby przyłapał ją na gorącym uczynku. – Nadal z nią jest – odparła z goryczą. – Więc widocznie nie wpłynęło to na ich małżeństwo.

– A skąd możesz wiedzieć?

Po chwili Mikę sam zmienił temat.

– Czy na pewno ktoś od nas poinformował ją o śmierci córki? Joanna skinęła głową. – Tak. Uprzedzili ją, że przyjedziemy. Znowu zamilkła, więc po paru minutach odezwał się Mikę.

– I jesteś pewna, że Marylin została zamordowana? Przytaknęła. – Bardziej niż kiedykolwiek.

– I wystarczyła jedna kapsułka?

– Na razie tylko tyle udało nam się ustalić, ale to na pewno nie wszystko. Zbyt wiele spraw pozostaje nie wyjaśnionych, Mikę. I nawet jeśli usłyszę zadowolające odpowiedzi, a Matthew wykryje jakiś śmiertelny zakrzep, nadal będę podejrzliwa. Na pewno nie uwierzę, że Mari-lyn zmarła, leżąc w łóżku, sama, z przyczyn naturalnych, nawet jeśli podadzą mi jakieś wyjątkowo przekonujące argumenty. Mikę, moim zdaniem ona szantażowała kogoś – prawdopodobnie tych osób było kilka, i oboje wiemy już, kto mógł być jedną z nich. A przy okazji – dodała – zaraz po wizycie u pani Smith chętnie spotkam się z tym twoim Machinem. Chociaż wydaje mi się, że do całej prawdy jeszcze nam daleko. Moim zdaniem to bardzo sprytnie obmyślane zabójstwo; morderca znał się na rzeczy i miał dostęp do jej domu.

– A pies?

– Skoro Marilyn wpuściła mordercę, widocznie pies też go akceptował.

– To raczej mało prawdopodobne, znając Bena. Nawet nie zaszczekał. A może ktoś mu podał ten sam środek, który miał weterynarz?

Pokręciła głową. – Testują go na małą skalę – wyjaśniła. – Tylko kilku weterynarzy w całym kraju ma do niego dostęp. Rozliczani są z każdego pojemnika. Strzegą go lepiej niż heroiny. A poza tym... Bee-ston przeprowadził sekcję zwłok Bena i nie wykrył żadnych środków, Mikę.

98

Westchnęła. – Brzydka sprawa, co? Jak każde morderstwo... Zawsze musi się zdarzyć jakieś nieszczęście i zawsze znajdują się choćby najmniejsze powody, przeważnie te same: pieniądze, seks, zemsta. I tak w kółko. Można by je losować. Zamieszać, wstrząsnąć... A w końcu i tak wypadnie to samo.

Zerknął na nią. – Odnoszę wrażenie, że szanowna pani inspektor – odezwał się oficjalnie – stała się po tym awansie cyniczna.

– Och, Mikę! – Wybuchła, niemal krzycząc. – Przestań już z tymi tekstami, proszę cię. Wygląda na to, że trochę razem popracujemy, pewnie nawet kilka lat, i nieraz będziemy skazani na siebie w trudnych sytuacjach. Wiesz o moich sprawach osobistych, choć naprawdę sama wolałabym, żebyś o nich nie wiedział. Więc, na litość boską, mów do mnie po ludzku.

Uśmiechnął się półgębkiem. – Zgoda, Joanno.

Skręciła w kierunku zjazdu z autostrady M5, utrzymując stałą prędkość stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Jakiś samochód z zewnętrznego pasa zajechał im drogę. Joanna wskazała na niego.

– Patrz, jak jedzie!

Mikę skrzywił się. – No, kobieta za kierownicą – burknął.

Obrzuciła go spojrzeniem. – A co z nowym ideałem mężczyzny, Mikę? – spytała nagle. – Co z odrzuceniem dyskryminacji płci w kręgach policyjnych? Dlaczego nie potrafisz po prostu zaakceptować płci przeciwnej? Czy aż tak bardzo się różnimy, do diaska?

– Przecież cię akceptuję – zaprotestował zaraz, wywołując jej uśmiech. Jego masywna szyja mocno poczerwieniała.

Kilka następnych kilometrów przejechali w zupełnej ciszy, jednak Joanna czuła, że Mikę zbiera się w sobie, by coś powiedzieć. Wiercił się nieznośnie na swoim siedzeniu, zastanawiając się, czy zaryzykować. W końcu przełamał się.

– W takim razie powiem ci... – przerwał. – Joanno. Powiem ci, dlaczego jestem przeciwny pracy kobiet w policji. Dlatego, że tak naprawdę nie ma równości płci. Gdy łapiecie gumę, faceci przyjeżdżają wymienić wam koło. Gdy mamy wezwanie, nigdy nie pozwalamy, by policjantka jechała sama. Najlepiej, żeby ofiary gwałtu przesłuchiwały kobiety, ale w niebezpiecznych sytuacjach kobietę trzeba chronić. Trzeba was rozpieszczać i ciągle traktować was ulgowo tylko dlatego, że jesteście kobietami. Wkurza mnie to. Osobiście nie mam nic przeciwko tobie i prawdę mówiąc, właściwie to nawet cię lubię. Jesteś kobietą,

99

a mimo to masz głowę na karku. Ale mam wrażenie, że kobiety chcą, żeby wszystko było po ich myśli. Chcą nawet – ciągnął ze złością, przechodząc do sedna sprawy – mieć w parlamencie swoją posłankę do obrony praw kobiet. A co z prawami mężczyzn? Często zadaję sobie to pytanie. Przecież to jest dopiero dyskryminacja. Tak, Joanno. W dzisiejszych czasach to mężczyźni są dyskryminowani. Sami już nie wiemy, gdzie jest nasze miejsce.

Wzięła głęboki oddech. – Zgadzam się z tym – odparła spokojnie.

Oniemiał na chwilę. – Poważnie?

– Tak – przyznała. – Zgadzam się. Masz rację, Mikę. Sprawy posunęły się za daleko. Mężczyźni gubią się w tym wszystkim, ale nie możesz za to obarczać winą mnie. Prawo do głosowania dostałyśmy dopiero niespełna sto lat temu. Dajcie nam jeszcze trochę czasu. Pozwólcie nam ochłonać. Jeszcze do niedawna naszym miejscem była kuchnia i wciąż próbujemy się przyzwyczaić. Nie bądźcie dla nas tacy surowi. Za kilka lat nie będziemy już musiały przybierać surowych, męskich postaw ani zachowywać się jak bezmózgie laleczki, bo staniemy się w pełni przystosowanymi obywatelkami. – Uśmiechnęła się do niego szeroko, zadowolona, że wyraził swoje poglądy. – Ale na razie, Mikę, musimy pracować razem. Ja postaram się nie wykorzystywać swojej kobiecości, by tobą manipulować. A ty nie miej mi za złe i nie obrażaj mojej płci, jeśli coś'pójdzie nam nie tak. Zgoda? Policjant uśmiechnął się i po raz pierwszy Joanna poczuła, że darzy go prawdziwą, serdeczną przyjaźnią.

– Zgoda – odparł – tylko nie myśl, że pójdę na jakieś ustępstwa. I uważaj – ostrzegł – bo jeśli zobaczę, że łamiesz swoje zasady...

– Wtedy będziesz mógł pierwszy rzucić we mnie kamieniem – dokończyła. – Czy to już wszystko?

– Jest jeszcze coś – odparł smutno – o czym nie wspomniałaś. W policji pracujemy na zmiany, w dzień i w nocy. A moja droga małżonka jest zazdrosną kobietą. I nie podoba jej się to, że jeżdżę z tobą po całej okolicy. Sama rozumiesz, ma z tym problem. Wolałaby, żebyśmy jeździł z facetem.

Joanna westchnęła. – Nic na to nie poradzę – odparła. – Męskie uprzedzenia można jakoś przeżyć, ale kobiecie są wręcz nie do zniesienia. Poza tym nie chciałabym, żeby odsunęli cię od tej sprawy. – Skręciła kierownicę, zjechała z autostrady i włączyła się do ruchu na drodze

100

M50. – Cholera jasna – zaklęła. – A dopiero co zaczęłam się do ciebie

przyzwyczajając.

Przez resztę drogi do Cardiff już milczeli, ale mimo to podróż upłynęła im znośnie. Gdy zjechali z autostrady i dotarli do centrum Cardiff, Mike wyjął plan miasta, a Joanna wyprowadziła auto z ruchliwych ulic w dzielnicę ładnych domków szeregowych, które ciągnęły się bez końca.

Były wysokie, dwupiętrowe, każdy z oknem na poddaszu i miniaturowym ogródkiem na małym skrawku ziemi, a wchodziło się przez niewysoką furtkę z kutego żelaza. Joanna zaparkowała w pustym miejscu między stojącymi w szeregu autami, po czym przeszli parę kroków wzdłuż donic z krzewami i znaleźli się przy drzwiach. Mike zapukał.

Zasłona w oknie poruszyła się gwałtownie i wyjrzała zza niej para ciemnych, wrogich oczu.

Joanna uśmiechnęła się zachęcająco i okazała legitymację. – Policja – oznajmiła ruchem warg i odwróciła się do Mike'a. – Wracamy do szkoły dobrych manier – rzekła.

Za żebrowanym szkłem pojawiła się krępa kobieca sylwetka, która zbliżyła się do drzwi frontowych i pociągnęła za klamkę. Jednak wilgoć sprawiła, że przylgnęły do futryny i Mike musiał je pchnąć, by otworzyły się na oścież.

Kobieta stanęła w drzwiach. – Słucham? – spytała podejrzliwie, rozglądając się po ulicy. – Znowu jakieś włamanie?

– Nie. – Joanna wzięła głęboki oddech. Czekają ją niełatwe zadanie. – Czy pani Smith?

– Tak – odparła kobieta. – To ja.

Joanna zrobiła krok do przodu. – Pani jest matką Marilyn Smith? – spytała. " Kobieta spiorunowała ich wzrokiem. – Tak. A wy jesteście pewnie tymi detektywami z Staffordshire, o których mi mówili.

– Zgadza się.

A więc przynajmniej jedno się wyjaśniło. Matka Marilyn żyje i ma się całkiem nieźle. Jednak następne słowa pani Smith zbiły Joannę z tropu.

– A kto zapłaci za pogrzeb? – burknęła. – Ja nie mam pieniędzy. Żyję tylko z emerytury. Przecież Marilyn nic mi już nie przyśle, prawda?

101

Joanna mruknęła coś pod nosem, całkowicie zaskoczona, i zerknęła na Mike'a. Miał kamienną twarz i na wszelki wypadek odwrócił wzrok.

– No, wchodźcie, wchodźcie – rzuciła oschle kobieta. – Nie chcę, żeby mi policja stała na progu. Co sobie ludzie pomyślą? – Spojrzała gniewnie na Joannę.

– Zaraz będą plotkować – rzuciła i zacisnęła wargi. – Gdzie postawiliście samochód? Oby nie przed moim domem. – Przekrzywiła głowę na bok. – Pewnie przyjechaliście służbowym.

Joanna uspokoiła ją. – My nie jeździmy służbowymi autami – wyjaśniła. – Jesteśmy z Wydziału Kryminalnego.

– Co za różnica? Nie chcę, żeby sąsiedzi myśleli... – Zerknęła na nich. – Bo tutaj ludzie skłonni są do wyciągania pochopnych wniosków.

– Zaparkowaliśmy trochę dalej, przy ulicy. – Joanna zdążyła już poczuć do tej kobiety ogromną niechęć. Ale skoro znaleźli się w środku, postanowiła nie tracić czasu. – Niestety, nie znamy jeszcze przyczyny zgonu pani córki – zaczęła. – Nasi lekarze przeprowadzą jeszcze kilka badań. A dopóki nie stwierdzą przyczyny zgonu, nie możemy wydać ciała. Dochodzenie zostanie wszczęte, gdy tylko zbierzemy wszystkie informacje.

Matka Marilyn spojrzała na nią z zacięciem. – To znaczy kiedy? – spytała.

– Trudno powiedzieć. – Joanna zerknęła na twarz kobiety. Była niewzruszona.

– Ja nie mam pieniędzy – oznajmiła pani Smith. – Trzeba będzie ją pochować w Leek. Nie stać mnie nawet na przywiezienie jej ciała tutaj. Za drogo by mnie to wyniosło.

Nie był to odpowiedni czas ani miejsce, ale Joanna postanowiła poinformować ją o spadku. – Dostanie pani sporą część jej majątku jako najbliższa krewna, nawet jeśli córka nie sporządziła testamentu.

Kobieta spojrzała na nią pogardliwie. – Przecież była tylko pielęgniarką – zachnęła się. – Znając ją, na pewno za wiele nie miała. Marilyn nigdy nie liczyła się z pieniędzmi.

Joanna była bezradna. Wtedy wtrącił się Mike:

– Miała dom i samochód.

– No, to chociaż coś – odparła i na tym poprzestali.

102

Nagle pani Smith wyraźnie się rozpromieniła. – Oj, zapominam o dobrych manierach – rzuciła. – Proszę do salonu.

Joannie zdawało się, że w dzisiejszych czasach nie ma już salonów – tych zimnych, przygnębiających miejsc z twardymi krzesłami, o które tak bardzo się dbało, by sprawiały dobre wrażenie. Ruszyła w krok za panią Smith i Mikiem i przysiadła ostrożnie na skraj dębowego krzesła o skórzanym siedzeniu, Mikię zaś stanął przy drzwiach, jakby gotów do ucieczki.

Joanna rozejrzała się po pokoju. Wreszcie jej wzrok spoczął na półce nad kominkiem. Stało tam zdjęcie dwóch świeżo dyplomowanych pielęgniarek, otaczających z obu stron mężczyznę w białym kitlu. Wyglądali jak troje bliskich przyjaciół i obejmowali się ramionami.

Pulchna dziewczyna o ciemnych włosach to niewątpliwie Marilyn. A kim była ta druga?

Pani Smith powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem. – To Pamella – wyjaśniła. – Najlepsza przyjaciółka Marilyn. – Wskazała palcem mężczyznę w białym kitlu. – Wyszła za niego. To lekarz. Marilyn u niego pracuje... To znaczy, pracowała – poprawiła się. – Pracowała u niego. To zdjęcie zrobiono już jakiś czas temu.

Joanna przyjrzała się twarzy Pamelli. Otoczona jasnobrazowymi włosami, świeża, wrażliwa, pełna życia. Bardzo dyskretny makijaż, idealne, białe zęby, wysoka, szczupła sylwetka. Nic dziwnego, że Jonah Wilson zauroczył się właśnie nią, a nie tą drugą pielęgniarką ze zdjęcia.

Joanna uznała, że należało przejść do pytań. – Przepraszam – odezwała się – ale musimy zapytać o kilka rzeczy.

Pani Smith natychmiast zrobiła wrogą minę. – Nie obchodzi mnie, w co ona się wplątała. To jej sprawa. W końcu była dorosła – dodała obronnym tonem – i zawsze uparta. – Jej ciemne oczy przewiercały wzrokiem Joannę. – Ja i córka serdecznie się nienawidziłyśmy – dodała. Przysiadła niezdarnie na krzesło, gryząc wargę. – Ale nic z tego nie rozumiem – przyznała. – Przecież Marilyn nie chorowała. Jak to się stało, że zmarła tak nagle? – W jej głosie zabrzmiała nutka urazy. – Była silna jak wół. Dlaczego nikt nie potrafi tego wyjaśnić? Czy będę musiała jechać na przesłuchanie? – Miała zbolaną minę. – Podróż tyle by mnie kosztowała...

Joanna wytłumaczyła pani Smith, że wcale nie musi jechać na przesłuchanie. Mimo to nie mogła się powstrzymać od uwagi, że większość rodziców pojechałaby na proces w sprawie śmierci ich dziecka.

103

– Bo widzi pani, ja cierpię na artretyzm... – bąknęła pani Smith, a Joanna pod wpływem rozbawionego spojrzenia Mike'a zaniechała dalszych pytań.

Utrata bliskiej osoby stanowiła temat któregoś z pisemnych egzaminów Joanny. Miała wtedy opisać sytuację, w której zachodzi konieczność poinformowania rodziny o śmierci jednego z jej członków. Było to dla niej czystą teorią – jeszcze nigdy tego nie robiła. Teraz jednak zrozumiała, że przypisując nawet całą gamę emocji komuś, kto właśnie utracił bliską osobę, i tak można się pomylić.

Westchnęła i wsłuchiwała się w jękliwy ton głosu pani Smith, która żaliła się na córkę. – Stroniła od towarzystwa... Nigdy nie pomagała rodzinie... Po śmierci ojca przestała się mną interesować... Nigdy mnie nie odwiedzała. Przestała przyjeżdżać do Cardiff. – Przybierała coraz bardziej płaczliwy ton. – Pisałam do niej listy, raz w tygodniu. Przesyłała wprawdzie pieniądze, to była duża pomoc. Ale poza tym była strasznie samolubna, przez całe swoje życie.

Nie po raz pierwszy Joanna wysłuchiwała rodzica zawiedzionego tym, że dziecko nie spełniło jego oczekiwań. – A pani pisywała do niej regularnie? – spytała. Gniewny wzrok pani Smith skupił się na niej. – Przecież trzeba utrzymywać kontakt – odparła. – Ale ona prawie nigdy nie odpisywała. Nie wiedziałam nawet, co u niej słychać, co porabia. Pojęcia nie miałam. Czasem czułam się tak, jakbym wcale nie miała córki.

Joanna zerknęła na Mike'a... Czuła się, jakby nie miała córki. A córka udawała, że nie ma matki. Mikię uśmiechnął się.

Joanna przypomniała sobie jeden z listów, który przeczytali oboje z Mikiem. Kartki zapisane plotkami, intymnymi sprawami, oszczerczymi pomówieniami przelanymi na papier. Widocznie pani Smith nie miała co zrobić z wolnym czasem, więc stała za firaną i podglądała sąsiadów. Podobnie jak Evelyn, życie pani Smith ograniczało się do tego, co zobaczyła zza firan przez okno. Żyła życiem

innych. I o tym pisała w listach do Marilyn. Joanna poczuła wielką niechęć do tej wścibskiej kobiety, która czerpała złośliwą satysfakcję z donoszenia córce o prywatnych sprawach innych ludzi. A córka? – pomyślała Joanna. Kim naprawdę była? Bezwzględna manipulatką, która jako pielęgniarka wykorzystywała poufne informacje o pacjentach w celach finansowych, by zaspokoić swoją chciwość?

104

Pani Smith patrzyła na nią gniewnym wzrokiem. – No więc jak zmarła? Napiła się czegoś? A może przedawkowała narkotyki? Gdzie ją znaleźliście? Wpakowała się w jakieś kłopoty?

Joanna klęła w duchu na lokalną policję. Czy nic jej nie powiedzieli?

Zmobilizowała się, by wykonać to, co do niej należało. – Zmarła w domu – odparła spokojnie. – W łóżku. I prawdopodobnie była sama.

– Za młoda była na zawał – burknęła kobieta.

Joanna spojrzała jej w oczy. – Nasz lekarz nie stwierdził jeszcze przyczyny zgonu.

Kobieta wybałuszyła oczy z niedowierzaniem. – Jak to? W dzisiejszych czasach? Więc niech się lepiej postara. Jestem jej matką i chcę wiedzieć, co się stało z moją córką.

Joanna przeszła przez pokój i wzięła do ręki zdjęcie Marilyn Smith. Nawet w tym ujęciu, upojona sukcesem, była zdecydowanie nieładna. W jej wyrazie twarzy kryła się jakaś złośliwość, która czyniła ją podobną do matki.

– Koroner rozpocznie śledztwo, gdy tylko policja, lekarz i eksperci z laboratorium kryminalistyki ustalą wszystkie fakty – oznajmiła.

Uwagę pani Smith przykuł jeden wyraz. – Aha, kryminalistyki – powtórzyła. – Czyli sugerujecie, że moja córkę zamordowano?

– Tego nie wiemy – odrzekła cierpliwie Joanna. – Nie znamy przyczyny jej śmierci.

Przez chwilę pani Smith przybrała wyrachowaną minę. – To kiedy wydacie mi jej rzeczy?

Joanna powstrzymała się od komentarza. Starala się opanować złość. Jednocześnie przyznała w duchu, że nigdy w życiu nie spotkała kogoś tak odpychającego jak matka Marilyn.

– Trudno mi powiedzieć – odparła. – Ale miejmy nadzieję, że niedługo. Pani Smith... Czy pani zdaniem Marilyn mogła popełnić samobójstwo?

– Ale! – Już sam ton głosu pani Smith wykluczył tę możliwość.

– Przecież moja córka kochała życie – syknęła gniewnie. – Na pewno by go sobie odebrała. – Przybrała arogancki, wyzywający ton.

– Szkoda by jej było. Tego jestem pewna, moja córka nie popełniła samobójstwa. – W jej głosie zabrzmiała teraz nuta pogardy. – Nie odważyłaby się na to, mówię pani.

105

– A więc w razie braku przyczyny naturalnej śmierci może się okazać, że pani córka została... – Joanna przerwała. Procedury policyjne zabraniały użycia tego słowa, jeśli przestępstwo nie zostało udowodnione. – Zamordowana.

– Tylko w jaki sposób? – Pani Smith nie kryła poirytowania.

– Tego jeszcze nie wiemy. – Joanna była bezradna. Czowała się coraz bardziej sfrustrowana. Zdawała sobie sprawę, że na jej oczach fakty zaczynają układać się w jedną całość, tylko po prostu nie potrafi prawidłowo ich odczytać.

Pani Smith zacisnęła wargi i nagle jej twarz przybrała chytry, podstępny wyraz.

– Wy naprawdę myślicie, że ktoś zamordował Marilyn, co?

– To niewykluczone – odparła Joanna.

Podziała pani Smith swój numer telefonu, poprosiła o kontakt, w razie gdyby przypomniawszy sobie coś ważnego, i wstała do wyjścia. Mikę poszedł za nią obskurnym korytarzem. Gdy byli już przy drzwiach, Joanna odwróciła się jeszcze do pani Smith.

– Będziemy panią o wszystkim informować – obiecała. – Gdy tylko dowiemy się czegoś, natychmiast damy znać.

– No, mam nadzieję – rzuciła pani Vivian Smith na pożegnanie. Przez całą powrotną drogę w samochodzie Joanna pomstowała na

Vivian Smith. – Ale z niej cholerna małpa – podsumowała. – Co za babsztyl.

– Nic dziwnego, że Marilyn była taka sama, co? Chcąc nie chcąc, Joanna przytaknęła.

Dopiero po siódmej Joanna otworzyła kluczem drzwi swego domu, zsunęła buty i włączyła automatyczną sekretarkę.

Pierwsza wiadomość była od Matthew. – Jo... – Nastąpiła długa przerwa. Słyszała, jak oddycha. Potem powiedział tylko: – Dzwonię spytać, co tam u ciebie. – I wyłączył się.

Następna wiadomość była od matki. – Joanno – odezwała się surowym tonem. – Nie mamy od ciebie żadnej wiadomości prawie od dwóch tygodni. Nie wiemy nawet, czy żyjesz. – A potem nieco łagodniejszym tonem dodała: –Wpadnij do nas w wolnej chwili.

W najbliższą niedzielę, obiecała w duchu Joanna.

Trzecia wiadomość była od sierżanta dyżurnego. – Dobry wieczór, pani inspektor. Chciałem tylko powiedzieć, że ta piekielna pani Shiers

106

cały dzień wisi nam na linii i uskarża się na niewidzialnego psa. – Tu nastąpiła krótka przerwa. Joanna usłyszała jakieś szepty w tle. – Wil-lis chce coś jeszcze pani przekazać... No, że ten niby pies... – Joanna westchnęła, znużona. – Znów czekał przez całą noc. – W tle rozległ się głośny rechot. – Do zobaczenia jutro rano, pani inspektor. Dobrej nocy.

Kot miauknął i wskoczył jej na kolana. Była zbyt zmęczona i przygnębiona, by go zepchnąć. Śledztwo trwa już od czterech dni, a końca nadal nie widać. Wciąż nie wiadomo, czy Marilyn rzeczywiście została zamordowana. Joanna westchnęła. Może Mikę ma rację. Może to awans sprawił, że chciała widzieć w tym morderstwo. I może zbyt wielką wagę przywiązywała do nieściskości w życiu Marilyn. W końcu każdy ma jakieś swoje tajemnice. Mogła przecież mieć żonatego kochanka, któremu dobrze się powodziło, więc chętnie jej pomagał i spełniał każde jej życzenie. Joannę przeszył lekki dreszcz, szybko zapaliła ogień w kominku, usiadła na podłodze i zaczęła notować. Jutro... wysłać Willisa do banku. Zdobyć szczegóły operacji finansowych Marilyn. Odszukać jej znajomych... Czekają ją mnóstwo pracy.

Więc skąd to przygnębienie?

Siedziała przez kilka minut i rozmyślała, wpatrując się w płomienie ognia. Czego tak naprawdę pragnie w życiu prywatnym... i zawodowym...? I w związkach z mężczyznami...?

Odpowiednio wcześniej zdała sobie sprawę, że pracy w policji nie da się pogodzić z obowiązkami żony i matki. Zbyt długie i nieregularne godziny pracy. Poza tym Joanna wcale nie chciała mieć dzieci. Nie lubiła niemowląt. Starsze dzieci zaledwie tolerowała, a najbardziej rozumiała buntowniczych nastolatków – im bardziej byli zbuntowani, tym lepiej się z nimi dogadywała. A praca? Utkwiła nieruchomy wzrok w płomieniach ognia. Wiedziała, że praca daje jej satysfakcję. Wszystko wskazywało na to, że na polu zawodowym podjęła właściwą decyzję. Praca w policji to coś dla niej.

Związki z mężczyznami...? Trudna sprawa. Tak naprawdę w jej życiu był tylko Matthew. I to nie tylko ze względu na jego miodowe włosy i zielone oczy o przenikliwym spojrzeniu, ale jego wyczucie, intelekt, zdrowy rozsądek. Jego niezawodny refleks i bystrość umysłu. W swojej karierze Joanna spotykała się już z różnymi policjantami, ale Matthew był po prostu... inny. Łączyła ich wspólna cecha: błyskotliwość. Joanna

----- 107 -----

uśmiechnęła się krzywo. Przecież Matthew wrócił do żony, pomyślała, wstając z miejsca. I na pewno żyje teraz w udanym związku, szkoda tylko, że z inną. Westchnęła i uznała, że trzeba nakarmić kota.

– Chodź, James – odezwała się, a kot poszedł za nią do kuchni, mruczając z zadowolenia.

Jednak nawet w trakcie otwierania puszkę z karmą jej myśli wciąż krążyły wokół niewyjaśnionej śmierci tamtej kobiety na łóżku. Joannę nurtowała ta sprawa, co wynikało raczej z doświadczenia niż z przeczucia.

Zalała wrzątkiem torebkę herbaty i zaniósła ją ostrożnie do pokoju. Marilyn na pewno spodziewała się kogoś – jakiegoś mężczyzny. Więc kto nim był?

Przedsiębiorca pogrzebowy? Zachichotała cicho. To byłby szczyt desperacji. Mimo ponurego charakteru jego pracy i odrazy, jaką w niej wzbudzał, ten człowiek nie wyglądał na przestępcę. Marilyn zaś obdarzona była sprytem i przebiegłością.

Joanna nie wierzyła, że przedsiębiorca pogrzebowy mógł nad nią zapanować. Z tych dwojga to właśnie Marilyn była bardziej podstępna. Nie, pomyślała Joanna, to nie ten od pogrzebów. Ale nazajutrz i tak się z nim spotka.

A więc handlarz antykami? Łatwo jest obrzucić kogoś oszczerstwami, pomyślała. To byłoby zbyt oczywiste: klasyczny przypadek złoczyńcy, a po opowieści Mike'a

Joanna przyznała niechętnie, że to całkiem inteligentny typ. Najwyraźniej jednak z denatką nie łączyły go szczególnie bliskie stosunki. I czy zdołałby popełnić zbrodnię w taki sposób, by zamydlić oczy patologom? Joanna miała co do tego wątpliwości. Ten człowiek nie dysponowałby tak bogatą wiedzą medyczną. A pani Shiers? Dlaczego tak oględnie mówi o mężu? Może on nie żyje? Czy strach przed urojonym psem to przejaw wyrzutów sumienia? Joanna usiadła, by starannie to przemyśleć, zanim uznała, że to możliwe. Niewykluczone, że Evelyn zabiła męża i zakopała ciało. Nie wygląda wprawdzie na potencjalną morderczynię, ale zabójstwo może być przecież wynikiem jakiegoś wypadku. A ona jest typem urodzonej ofiary, która wpadłaby w panikę, gdyby tylko zdarzył się wypadek... Mogłaby wówczas postąpić irracjonalnie i zakopać ciało w ogrodzie. A może jej mąż odszedł do innej, co by znaczyło, że wcale nie zaginął? Trzeba będzie porozmawiać rano z Matem i sprawdzić, czy się czegoś dowiedział... Wykrzywiła usta na tę myśl.

108

Na samym końcu wzięła też pod uwagę doktora Wilsona, który był jedną wielką niewiadomą. Spośród wszystkich podejrzanych był jedynym, którego Joanna pragnęła móc oczyścić z zarzutów. Jakoś darzyła go sympatią.

– To ci dopiero zagadka – mruknęła pod nosem. – Piekielna łamigłówka.
– Mówisz sama do siebie, Jo? To pierwsza oznaka obłądu. – Na dźwięk głosu przy drzwiach aż podskoczyła.
– Tom... Rany boskie! – Poczowała się speszona, obnażona.
– Policjantka – zauważył – a nie zamyka drzwi. Caro prosiła, żebym wpadł i spytał, czy nie zjadłabyś z nami kolacji. – Tom i Caro mieszkali w sąsiednim domu. – Ugotowała cały garnek sosu curry i mnóstwo ryżu. – Podszedł bliżej. – Oboje chcemy, żebyś przyszła. Przez cały wieczór nic, tylko się kłócimy...
– Nawet nie słyszałam – przyznała.
– Ale zazwyczaj pewnie wszystko słyszysz... – Uśmiechnął się szeroko. – To wada tych domów. Tutaj ściany nie mają uszu, tylko jakby mikrofony. Ale proszę cię, przyjdź.
– I pewnie Caro będzie mnie zadrezczać pytaniami o śledztwo w sprawie tej pielęgniarki?
– Pal licha Caro i jej zamiary – odparł poważnie. – Mnie zależy wyłącznie na twoim miłym towarzystwie.

Joanna uśmiechnęła się. – W takim razie chyba nie mogę odmówić.

– Świetnie. – Odpowiedział jej uśmiechem, sięgnął po jej dłoń szybkim, zwinnym ruchem i przycisnął do niej wargi. – Dziękuję ci, Jo. – Skrzywił się. – Skoro dzisiejszy wieczór mam spędzić z Caro, potrzebuję towarzystwa.

– A to dlaczego? – zdziwiła się.

Uniósł dłoń, wykonując nią ruch w prawo i w lewo. – Chwilowo za dobrze nam się nie układa.

– Daj mi pół godziny – odparła. – To skoczę jeszcze po wino. A tak na marginesie, Tom, nie przejmuj się Caro. Ona cię naprawdę kocha, sam przecież wiesz.

– Nie – odrzekł zdecydowanym tonem. – Wcale nie jestem tego taki pewien.

109

Usłyszała zza drzwi odgłosy kłótni Toma i Caro, gdy zapukała do ich drzwi, ściskając w ręku litrową butelkę wina Chianti.

Tom miał czerwoną twarz, Caro była blada. Oboje próbowali udawać, że nic się nie stało, i zgodnie z przecuciem Joanny, Carołine prawie natychmiast zaczęła wypytywać o śledztwo w sprawie śmierci pielęgniarki.

Mimo wszystko był to miły wieczór. Joanna dobrze się czuła w towarzystwie, w którym nie musiała rozmawiać o sprawach zawodowych zwłaszcza wtedy, gdy w końcu udało się jej odwrócić uwagę Carołine od tematu śmierci pielęgniarki.

– A co z seksem, uprawiała go wtedy? No powiedz, Jo – dociekała w pewnej chwili. – Wiesz przecież, że i tak sama mogę się tego dowiedzieć z raportu koronera.

– Więć się dowiedz – odparła Joanna. – Sama rozumiesz, że mnie nie wolno nic mówić.

– No dobrze, ale co ty o tym sądzisz? – spytała.

Joanna była zmęczona. Zdażyła już wypić co najmniej pół butelki wyśmienitego włoskiego wina. Pochyliła się do przodu. – Mogę się założyć, że została zamordowana – oświadczyła.

Oczy Caro zabłyśły. – Wiedziałam!

– No i coś ty narobiła? – mruknął Tom, gdy Caro wyszła do kuchni nalać kawę. – Teraz cała lokalna prasa będzie o tym pisać. Zacytuje ci: inspektor Piercy twierdzi, że Marilyn Smith została zamordowana. Koniec cytatu. – Popatrzył na nią życzliwym wzrokiem. – Nie poznałaś się jeszcze na Caro? Jak na glinę, Joanno – dodał wesoło – jesteś cholernie naiwna.

Potem rozmawiali jeszcze o pogodzie, o polityce, o nowym spektaklu na scenie teatru w Stoke. Kawa otrzeźwiła Joannę tak, że przez resztę wieczoru zachowywała jakoś dyskrecję.

Ale mimo to było już za późno.

i

11

Artykuł ukazał się już następnego ranka. „Zwierzenia inspektor Piercy”. Zwierzenia! Joanna miała ochotę udusić i Caro, i Toma. Wrobili ją oboje. Rozzłoszczona, przeczytała notatkę w prasie:

110

„Inspektor Piercy zwierzyła się naszej reporterce ze swych podejrzeń, że miejscowa pielęgniarka poniosła śmierć w wyniku morderstwa”.

Joanna z odrazą przeczytała notatkę do końca. Już nigdy więcej, przysięgła sobie. Już nigdy nie zaprzyjaźni się z dziennikarką. Kolejne półtorej godziny nie należało do przyjemnych; spędziła je bowiem na dywaniku w biurze nadinspektora, słuchając uwag w stylu: „mam nadzieję, że uda się pani znaleźć na to dowody, pani inspektor” oraz słów rozczarowania, że już na samym początku swojej kariery popełniła tak potworną gafę.

– I proszę pamiętać, pani inspektor, że było wielu takich, którzy uważali, że to nie jest zadanie dla kobiety. A mimo to zaryzykowaliśmy. – Nadinspektor zmarszczył krzaczaste brwi. – Więc proszę nie sprawiać mi zawodu, pani inspektor. – Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Joanna jęknęła w duchu.

– A co nowego w śledztwie? Od śmierci tej kobiety minęły już cztery dni.

– Na razie nic, panie nadinspektorze.

– Jest pani doświadczoną policjantką – zauważył. – Oczekujemy od pani znacznie więcej. A w ogóle skąd to przekonanie, że kobieta została zamordowana?

– Wskazują na to okoliczności – odparła i przez kolejne dwadzieścia minut tłumaczyła mu swoją wersję wydarzeń. Wspomniała o szantażu, o dziwnym ubraniu, o kapsułce.

Szef natychmiast dostrzegł błędy w jej rozumowaniu. – Skoro czekała na kochankę, to po co połknęła środek nasenny?

– Nie wiem, panie nadinspektorze.

Popatrzył na nią z wyższością. – Prawdopodobnie wcale nie czekała na kochankę. – Zamachał jej przed oczami stosem zapisanych kartek. – A do tego jeszcze mamy teraz na głowie tę wariatkę, która słyszy szczekanie niewidzialnych psów. – Spojrzał na Joannę gniewnym wzrokiem. – Dzwoni na posterunek co pięć minut i jęczy do słuchawki.

– Pojadę tam i zajmę się nią, panie nadinspektorze – obiecała.

– A skoro już mowa o psach – ciągnął – jeśli tamten rzeczywiście był tak agresywny, jak sugerują w raporcie, to niemożliwe, żeby ktoś w ogóle dostał się do jej domu.

111

„Inspektor Piercy zwierzyła się naszej reporterce ze swych podejrzeń, że miejscowa pielęgniarka poniosła śmierć w wyniku morderstwa”.

Joanna z odrazą przeczytała notatkę do końca. Już nigdy więcej, przysięgła sobie. Już nigdy nie zaprzyjaźni się z dziennikarką. Kolejne półtorej godziny nie należało do przyjemnych; spędziła je bowiem na dywaniku w biurze nadinspektora, słuchając uwag w stylu: „mam nadzieję, że uda się pani znaleźć na to dowody, pani inspektor” oraz słów rozczarowania, że już na samym początku swojej kariery popełniła tak potworną gafę.

– I proszę pamiętać, pani inspektor, że było wielu takich, którzy uważali, że to nie jest zadanie dla kobiety. A mimo to zaryzykowaliśmy. – Nadinspektor zmarszczył krzaczaste brwi. – Więc proszę nie sprawiać mi zawodu, pani inspektor. – Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Joanna jęknęła w duchu.

– A co nowego w śledztwie? Od śmierci tej kobiety minęły już cztery dni.

– Na razie nic, panie nadinspektorze.

– Jest pani doświadczoną policjantką – zauważył. – Oczekujemy od pani znacznie

więcej. A w ogóle skąd to przekonanie, że kobieta została zamordowana?
– Wskazują na to okoliczności – odparła i przez kolejne dwadzieścia minut tłumaczyła mu swoją wersję wydarzeń. Wspomniała o szantażu, o dziwnym ubraniu, o kapsułce.
Szef natychmiast dostrzegł błędy w jej rozumowaniu. – Skoro czekała na kochanka, to po co połknęła środek nasenny?
– Nie wiem, panie nadinspektorze.
Popatrzył na nią z wyższością. – Prawdopodobnie wcale nie czekała na kochanka. – Zamachał jej przed oczami stosem zapisanych kartek. – A do tego jeszcze mamy teraz na głowie tę wariatkę, która słyszy szczekanie niewidzialnych psów. – Spojrzał na Joannę gniewnym wzrokiem. – Dzwoni na posterunek co pięć minut i jęczy do słuchawki.
– Pojadę tam i zajmę się nią, panie nadinspektorze – obiecała.
– A skoro już mowa o psach – ciągnął – jeśli tamten rzeczywiście był tak agresywny, jak sugerują w raporcie, to niemożliwe, żeby ktoś w ogóle dostał się do jej domu.

111

– Jeszcze dziś będę rozmawiać w tej sprawie z weterynarzem, panie nadinspektorze.
– Aha, i proszę zadzwonić do Levina. Jego też trzeba przycisnąć.
– Trochę na to za wcześnie, panie nadinspektorze.
– A są jeszcze jakieś inne ślady?
– Jeśli pan pozwoli, panie nadinspektorze, chciałabym, żeby Wil-lis przejrzał jej konta bankowe.
Nadinspektor zmarszczył brwi.
– Jestem pewna, że była szantażystką – wyjaśniła.
– Dobrze – zgodził się. – Wobec tego niech Willis się tym zajmie. – Pogroził jej palcem. – Jedna kapsułka i seksowna bielizna to jeszcze za mało, by uznać, że to morderstwo. – Skubnął podbródek. – A poza tym doktor Wilson jest bardzo szanowany w tym mieście. Proszę nie deptać mu po palcach i nie wchodzić mu w drogę. – Odchrząknął. – Tak się składa, że to także mój lekarz, więc bardzo proszę go nie nachodzić.
Skinęła głową.
– Chciałbym otrzymać od pani sprawozdanie na początku przyszłego tygodnia i wtedy przeanalizujemy tę sytuację. Ale jeśli w laboratorium w Birmingham znajda coś i okaże się, że kobieta zwyczajnie przedawkowała...
– Na pewno nie, panie nadinspektorze.
Spojrzał na nią. – Wczoraj już raz pani przesadziła – rzekł niemal życzliwym tonem. – W naszym zawodzie trzeba wiedzieć, komu ufać, a komu nie, więc lepiej niech pani ostrożnie dobiera sobie przyjaciół. A w przyszłości, dla pani dobra – dodał – mam nadzieję, że się pani nie pomyli. Bo jeśli się pani zbłąźni, moim zdaniem mogłoby to zaszkodzić pani karierze.
– Tak jest, panie nadinspektorze.
– A przy okazji – rzucił, gdy Joanna zbierała się do wyjścia. – Jak tam współpraca z Korpanskim?
Zerknęła na niego podejrzliwie.
– Były między nami pewne nieporozumienia – odparła ostrożnie – ale myślę, że damy sobie radę.
– To dobrze – odrzekł. – Bardzo dobrze. Szkoda tylko, że to poszło do prasy – mruknął pod nosem, gdy już wychodziła.
Wracając do swego upragnionego biura, minęła Mike'a, który rozmawiał z jednym z posterunkowych.

112

– Mike, czy możemy zamienić słówko? Poszedł za nią i stanął przy jej biurku na baczność. Westchnęła. – Daj spokój... – Zabrakło jej słów. – Usiądź, Mike. Stał sztywno. – Dziękuję, pani inspektor, ale postoję.
Tego ranka wyglądał na zmęczonego i rozdrażnionego. Przyjacielski nastrój, który wczoraj przez chwilę im towarzyszył, widocznie się rozwiął.
– Miałam nadzieję, że usiądziemy sobie przy kawie i omówimy sprawę. Szef depcze mi po piętach. Wścieka się o ten artykuł w prasie.
– Bo rzeczywiście mogłaś wyrazić się inaczej – odparł. – Sama dobrze wiesz... Na przykład, że „nie można wykluczyć zabójstwa”. Czułem się jak ostatni debil, kiedy dziś rano przeczytałem gazetę.

– To była prywatna kolacja – wyjaśniła. – Z przyjaciółmi.
– Więc na twoim miejscu poszukałbym sobie innych przyjaciół – odburknął. – Wyjdziemy na kompletnych idiotów, jeśli się okaże, że zmarła śmiercią naturalną.
– Ale to nieprawda – upierała się Joanna. – Sam dobrze wiesz, że to nieprawda.
– Popatrzyła na niego. – Wkrótce na pewno coś się ruszy. Wciąż nie wiemy, na kogo czekała tamtej nocy. Nie wiemy też, skąd miała pieniądze. Chcę tylko dowiedzieć się prawdy. I mam pewne przecucie, Mikę.

Parsknął. – Szef nie bardzo wierzy w takie przecucia. Jego interesują wyłącznie fakty, podobnie jak nas wszystkich. To policja, Joanno, a nie ośrodek badań spirytystycznych. I mogę się założyć, że ona wcale na nikogo nie czekała. Joanna poczuła, jak wzbiera w niej gniew. – Wiem, co sobie myślisz, Mikę – odparła – ale wciąż brakuje nam jednego istotnego faktu: przyczyny śmierci. A bez tego... – Spojrzała na niego uważnie. – Ty dobrze się czujesz? Miał zmieszana minę. – Żona się mnie czepia – mruknął.

– Aha. – Poczuła się bezradna. – Bardzo mi przykro. Chodzi o godziny pracy?
– Niezupełnie – odparł. – Ona zachowuje się strasznie głupio. – Poruszył się, zażenowany. – Chodzi o to zdjęcie w gazecie – wyjaśnił. – Frań je widziała. – Uśmiechnął się. – Wyglądasz na nim chyba jeszcze ciekawiej niż w rzeczywistości. To ładne zdjęcie i moja żona jest chyba troszkę zazdrosna.

113

– Szkoda – skwitowała. – Nie wiem, skąd wzięli to zdjęcie. – I wtedy przypomniała sobie. Caro i Tom bawili się nowym aparatem kilka miesięcy temu na pikniku. Nagle poczuła ogromny żal. Zaliczała ich przecież do wąskiego grona swoich przyjaciół. A skoro oni ją zawiedli, komu może ufać? Spodziewała się przykrości od kolegów z pracy, ale nie tego.

– Co innego, gdybyś była mężatką – ciągnął Mikę. – Wtedy nie byłoby problemu. Przynajmniej byłabyś już zajęta. Ale nie jesteś...

Wpadła w furję. – Cholera jasna, przecież nie wyjdę za mąż tylko po to, żeby twoja żona mogła spać spokojnie, Mikę – odparowała. – To żadna radocha, że się tak zadrecza z mojego powodu. Będziesz musiał ją uspokoić, Mikę. Ale dalej to już jej problem.

– I mój też.

Spojrzała na niego. Najwyraźniej miał już dość i był zmęczony. Uśmiechnęła się półgębkiem. – No, no, Korpanski, ciężka sprawa, jak już żona się czepia, co?

– Spadaj – rzucił, wybuchając śmiechem.

– No dobra, wystarczy już – odparła. – Mamy mnóstwo roboty, przed nami niełatwe zadanie. Niepotrzebne nam jeszcze dodatkowe problemy.

– Wiesz co? – odrzekł. – W powieści Agathy Christie to taki zabójca użyłby trucizny z roślin.

– Też o tym pomyślałam – przyznała. – I chyba będę musiała znów porozmawiać z Matthew Levinem. Problem w tym, Mikę – dodała – że nie znając przyczyny śmierci, niczego się nie dowiemy. To oczywiste. Od tego musimy zacząć. – Postukała koniuszkiem długopisu w kartkę papieru. – Od przyczyny śmierci... – Spojrzała na Mike'a.

– A może szef ma rację, że tak naprawdę zmierzamy donikąd... – Podniosła kubek z kawą i wlepiła wzrok w jego dno.

Mikę pochylił się nad nią tak nisko, że czuła na karku jego oddech.

– Trzeba zdać się na swego ulubionego patologa, droga pani.

Joanna była zakłopotana. – W tej chwili to chyba nie najlepsze wyjście. Moim zdaniem trzeba sprawdzić jeszcze inne ślady.

Mikę odsunął się. – Skoro tak pani inspektor uważa. – Przyjrzał się jej dokładnie. – Joanno – zaczął niepewnie. – Tylko nie dopuszczaj do głosu osobistych uczuć.

Spojrzała na niego pytająco.

114

– Gdyby to nie był doktor Levin – wyjaśnił – już dawno wisiałabyś na telefonie i dręczyła patologa pytaniami o przyczynę śmierci. Nie dawałabyś mu spokoju. I nie odpuszczałabyś sobie tego tematu.

– Wiem, masz rację, Mikę. Zaraz do niego dzwonię.

– A co jeszcze mamy w planach?

Odhaczyła punkty na swojej liście. – Chcę wysłać Willisa do banku po szczegółowe informacje. Najwyższy czas, żebyśmy przyjrzelisi się bliżej transakcjom finansowym Marilyn. Co najmniej z ostatnich dwóch lat.

– A ty? Co będziesz robić?

– Mam mnóstwo pracy, Mike – odparła. – Powinnam chyba zająć się panem Machinem i sprawdzić go, a poza tym chcę wreszcie go poznać. No i doktor Wilson... nie powiedział nam jeszcze prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Co ci podpowiada twój instynkt?

Nachmurzył się. – Sam nie wiem. Mam wrażenie, że w tej sprawie wszystko jest możliwe. Naprawdę nie wiem.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń. – A chcesz się założyć?

– Wiem, na co postawisz swoje dziesięć funtów. Przytaknęła. – Zgadza się.

– Dobrze – odparł. – Trzymaj się swojej teorii o morderstwie. Ja stawiam dziesięć funtów, że to samobójstwo. – Uścisnęli sobie dłonie.

Joanna westchnęła. – Zdaje się, że trzeba będzie odwiedzić jeszcze naszą dobrą znajomą Evelyn. – Skrzywiła się. – Nie mogę się doczekać spotkania z niewidzialnym psem.

– To pojedę z tobą, Joanno – zaproponował. – Chcę wreszcie tę damę poznać. – Przyjrzał się jej z zaciekawieniem. – Myślisz, że to ona zabiła swojego męża? Joanna wzruszyła ramionami. – Z początku sądziłam, że nie. Ale teraz wcale nie jestem tego taka pewna.

Wciąż pogrążona w rozmyśleniach, wycofała auto z parkingu. Po awansie na inspektora miała swoje pierwsze śledztwo w sprawie zabójstwa. Dlaczego nie mogła to być jakaś zwykła sprawa, tylko od razu takie skomplikowane dochodzenie?

Wiedziała, że musi pociągnąć śledztwo dalej albo po prostu zostawić je. Miała czas do poniedziałku – tak oznajmił szef, a potem będzie musiała znowu zająć się problemem handlu narkotykami w szkołach... – Jako powiat nie możemy pozwolić sobie na to, by inspektor policji kręciła się w kółko, robiła z siebie idiotkę

115

i nie odkrywając nic nowego, wypowiadała się w prasie i polegała na swoich przecuciach – stwierdził szef. – Trzeba dawać przykład. Pokazać młodszym policjantom, kiedy należy kontynuować śledztwo, a kiedy je zakończyć. Przecież to oczywiste, że ta kobieta zmarła z przyczyn naturalnych, tylko lekarze nie wykazali się odpowiednią dokładnością.

Ale Joanna nie dała się przekonać. W takim razie po co to ubranie?

– Bo ona po prostu lubiła perwersję, pani inspektor. Nie ma innego wytłumaczenia. Sama się pani przekona, że to tylko leki i alkohol. Ma pani czas do poniedziałku...

Wciąż było jednak kilka osób, z którymi należało tutaj porozmawiać. I nagle też przyszła jej do głowy pewna myśl. Jak dotąd, wszyscy podejrzani to mężczyźni... Czyli Marilyn lubiła mężczyzn.

Joanna odwróciła się do Mike'a. – Mamy tu samych mężczyzn – stwierdziła. – Machin, Paul Haddon, doktor Wilson. Żadnych koleżanek. A przecież każda kobieta ma jakieś koleżanki. Z kim przyjaźniła się Marilyn?

– Może z żoną lekarza?

Joanna skinęła głową. – Też tak uważam. I to była chyba zażyła przyjaźń, nie?

– No i jeszcze pani Shiers...

Wkrótce stali już przed ładnym domkiem parterowym. Zasłony w oknach poruszyły się. Obserwowała ich.

Musiała rozpoznać Joannę, bo drzwi otworzyły się, gdy tylko ta weszła na stopień.

Evelyn Shiers, która jeszcze bardziej przypominała zaszczutego, najeżonego lisa, spojrzała też zaraz podejrzliwie na Mike'a.

– A to kto? – spytała.

– To sierżant Korpanski, pani Shiers – wyjaśniła Joanna, zerkając na Mike'a. – Podobno ujadanie jakiegoś psa nadal zakłóca pani spokój.

Evelyn spojrzała na nią gniewnie. – Nie jakiegoś psa, pani inspektor. Mówiłam już, że to Ben. Znow go słyszałam. Przecież ja znam jego głos.

Joanna zerknęła spieszenie na Mike'a. – W takim razie musimy rozejrzeć się po ogrodzie – oznajmiła.

Kobieta była wyraźnie zdenerwowana. – Ale... dlaczego? Po co?

116

– Żeby poszukać tego psa – wyjaśnił powściągliwie Mike. – Sama pani widzi, że bardzo chcemy pani wierzyć, pani Shiers.

Evelyn niechętnie wyprowadziła ich tylnymi drzwiami do ogrodu. Na pierwszy rzut oka widać było, że dom Marilyn, którego okna wychodziły wprost na ogród, jakby nad nim dominował. Trzy boczne okna wychodziły akurat na małą ścieżkę Evelyn. Była już wiosna, lecz miejsce to bynajmniej nie tętniło życiem. W ogrodzie,

podobnie jak w domu Evelyn, roiło się od kotów. Joanna przeszła ścieżką. Josh Shiers zaginał cztery lata temu... Na końcu ogrodu rosło małe kwitnące drzewko. Joanna zatrzymała się przy nim. Było jeszcze młode – mogło mieć zaledwie kilka lat. Do pnia przybity był gwoździem mały, drewniany krzyżyk. Joanna spojrzała pytająco na Evelyn.

Kobieta zbladła z przerażenia. Jej oczy wezbrały łzami. Drżącą ręką przeżegnała się.

– To kot – rzekła chrypliwym głosem. – Tu leży mój kot. Dwoje policjantów wymieniło spojrzenia. Joanna zerknęła na pień i szepnęła do Mike'a. – Trzeba będzie odkopać...

Niedostrzegalnym ruchem głowy przytaknął jej, po czym zwrócił się do Evelyn. – Tu wcale nie słyhać żadnego psa – oświadczył.

Evelyn zakryła dłońmi uszy. – On szczeka – powiedziała. – Przecież słyszę. – Patrzyła to na niego, to na nią. – Nie słyszycie?

– Proszę posłuchać – odezwała się życzliwym tonem Joanna. – Zdaje mi się... Zdaje mi się, że ostatnio sporo pani przeszła. Może wybrałaby się pani do lekarza...?

Później, gdy byli już w aucie, zwróciła się do Mike'a. – A może ją też Marilyn szantażowała?

Zaprotestował. – Przecież Jock Shiers zaginał, jeszcze zanim Marilyn się tu wprowadziła.

Joanna siedziała za kierownicą, patrząc przed siebie. – Sama już nie wiem, Mike. A jeśli... Marilyn widziała, jak Evelyn przychodzi na ten grób?

Skinął głową. – To możliwe.

– I wtedy... zaczęła ją szantażować. Stąd ten niewidzialny pies. Niespokojne, nękanie wyrzutami sumienia sprawia, że ona wciąż „słyszy” szczekanie psa... Wiesz przecież, że Ben został uspijony po śmierci Marilyn.

– W twojej teorii, Joanno, jest pewien błąd, a właściwie dwa – zauważył. – Pierwszy: jeśli sugerujesz, że to Evelyn Shiers zabiła Ma-

117

rilyn, pamiętaj, że ona piekielnie bała się tego psa i nie weszłaby do jej domu. I drugi: wciąż nie wiadomo, co było przyczyną śmierci Marilyn. Joanna zamilkła na chwilę, po czym szepnęła: – A może w tym jej mięsie była jakaś trucizna? – Westchnęła. – Trzeba będzie porozmawiać z weterynarzem. A teraz, Mike, pojedę chyba odwiedzić twojego dobrego znajomego, Grenville'a Machina.

– Dobrze, jedźmy tam – odparł, ale Joanna położyła mu dłoń na ramieniu.

– Chyba jednak lepiej będzie, jeśli pojedę sama. Nie chcę go zrazić, a twoja obecność, Mike, mogłaby podziałać na niego jak płachta na byka.

– Psujesz mi całą zabawę – jęknął.

– No tak... wiem. Ale posłuchaj, może ty w tym czasie pojechałbyś jeszcze raz do tego weterynarza? Spytaj go, czy jego zdaniem Ben mógł wpuścić kogokolwiek do domu.

Mike uśmiechnął się. – Skoro już tam jadę, to może wypytam go też o niewidzialne psy?

Zaśmiała się. – Jasne. Czemu nie?

Sklep z antykami był olbrzymi – wielki magazyn przerobiony na salon wystawowy z antykami o przeróżnych formach i wielkości. Joanna weszła do środka, gdzie zza lady powitała ją drobna i wyjątkowo ładna blondynka. Miała na sobie bardzo obcisłą, czarną spódniczkę mini z ly-cry, srebrne kozaczki na wysokich obcasach i czerwoną, jedwabną bluzkę, opinającą małe, spiczaste piersi. Spod gęstych, czarnych, sztucznych rzęs spojrzała na Joannę. – W czym mogę pomóc?

Joanna okazała jej legitymację służbową. – Inspektor Piercy – przedstawiła się.

– Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Marilyn Smith. – Zerknęła na blondynkę, u której dostrzegła bystre spojrzenie handlowca mimo stylu ubioru typowego dla lafiryndy. – Znała ją pani?

Dziewczyna przygryzła wargę. – Chyba nie – odparła powoli.

Joanna wyjęła zdjęcie pielęgniarki. – Proszę spojrzeć, pani...

– Patty – odpowiedziała dziewczyna. – Patty Brownlow. – Przyjrzała się zdjęciu, po czym uniosła gęste rzęsy. – Chyba nie – powtórzyła i przyjrzała się badawczo Joannie. – Czy mogę jeszcze raz prosić pani nazwisko?

118

Przedstawiła się ponownie, a blondynka poszła po Grenville'a Machina. Joanna miała niejasne przeczucie, że spotka się jeszcze z Patty Brownlow.

Machin był zupełnie inny, niż się spodziewała. Nic nie wskazywało na to, że jest milionerem, a w dodatku zbirem. Był niski – o kilka centymetrów niższy od niej – szczupły, a wręcz chierlawy, z gęstym, charakterystycznym, włoskim wąsem, najeżonym jak szczotka. Wyciągnął dłoń i posłał jej uprzejmy, czarujący uśmiech, ukazując białe, wilcze zęby.

– W czym mogę pomóc, pani inspektor? I to kobieta... – Spojrzał na nią zalotnie. – Niezły skok w karierze... – Zmrużył oczy. – Teraz już nic was nie powstrzyma, co?

Przez cały czas Joanna zastanawiała się, czy ten człowiek to rzeczywiście inteligentny zabójca. Czuła już do niego głęboki wstręt za tę jego swobodę i pewność siebie. Co prawda, sama niechęć do kogoś nie oznacza jeszcze, że to przestępca, ale Joannie coś mówiło, że ten człowiek w pewnym sensie musi nim być... Może handlował narkotykami... albo sprzedawał kradzione rzeczy... a może był oszustem... niedoszłym zabójcą, czy wręcz popełnił już jakieś morderstwo? Wzięła głęboki oddech. – Prowadzę śledztwo w sprawie nagłej śmierci Marilyn Smith. – Celowo użyła określenia „nagła śmierć” z nadzieją, że to go zaniepokoi. Jednak na próżno. Zareagował tylko zdziwioną miną.

– A kto to taki? – spytał.

– Siostra Marilyn Smith – powtórzyła wyraźnie Joanna. – Pracowała w tutejszej przychodni. Znalaziono ją martwą w jej domu w zeszły wtorek. Zdaje się, że pan był jej bliskim znajomym.

Grenville Machin wydawał się niewzruszony. – W takim razie źle panią poinformowano – orzekł. – Obawiam się, pani inspektor, że ktoś nawcisnął pani kitu.

– Słucham?

– Ktoś 'naopowiadał pani bzdur – odparł. Punkt dla niego, przyznała w myśli.

– Ale znał ją pan, prawda?

Przeszedł wolnym krokiem do okna, przejechał palcem po zakurzonej szybie, po czym odwrócił się. Twarz miał tak zacienioną, że nie było widać jej rysów. – Podobnie jak kilkuset innych moich klientów – odrzekł. – Sprzedałem jej kilka ładnych mebli w ciągu paru lat. Sam

119

dowoziliem je nawet do jej domu. – Uśmiechnął się beztrząsco. – Przeważnie sam dowożę towar do prywatnych klientów. Na tym polega biznes, to chyba jasne... – Wzruszył ramionami i znów ukazał białe zęby, czule głaszcząc swój wąs. – Gdy załatwicie już formalności, bardzo chętnie odkupię parę sztuk. To porządne meble – dodał, a oczy zabłysły mu nieprzyzwoicie, jakby rzucał jakieś wyzwanie. Joanna zrozumiała już, skąd u Mike'a tak silna niechęć do tego człowieka. To był wredny typ. Jako kobieta czuła, że ciarki ją przechodzą na jego widok, a każdy normalny mężczyzna miałby ochotę walnąć go w pysk.

– Najpierw musimy zbadać okoliczności jej śmierci <- odrzekła oschle. – A dopiero potem zajmiemy się wyprzedają jej majątku.

Handlarz antykami wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale chyba wolno mi złożyć ofertę – oświadczył. – I tak gdzieś trzeba będzie to oddać, więc dlaczego nie mnie?

– No i podobno coś was bliżej łączyło... – Skupiła wzrok na jego twarzy, zniekształconej w ciemności, usiłując wyczytać z niej, co się dało.

Ale Grenville Machin tylko się roześmiał. – Bliżej łączyło! – wykrzyknął. – Myśli pani o tym samym, co ja? O rany – jęknął. – Przecież pani ją widziała. Nie grzeszyła urodą. Nie to, co Patty... – Gwałtownym ruchem głowy wskazał na blondynkę, którą widać było przez otwarte drzwi. – To się nazywa piękność... Można mrużyć z podziwu. – Spojrzał na Joannę wyzywająco. Aż poczuła nagły przypływ wściekłości.

– Owszem, widziałam zwłoki Marilyn Smith – odparła. – Mało kto wygląda ładnie po śmierci. – W duchu jednak przyznała, że jego słowa zawierały trochę prawdy. Ta blondynka i Marilyn Smith reprezentowały dwa całkiem odmienne typy kobiet. Mimo całej niechęci Joanna domyślała się, że to nie dla Grenville'a Marilyn Smith kupiła tę czarną koronkową bieliznę. Poza tym wcale nie doszło wtedy do stosunku. A jeśli to wszystko działo się jedynie w wyobraźni Marilyn? Może Grenville Machin zwodził ją, udając, że mu się podoba? I może postanowił sam rozprawić się z szantażystką?

Joannę bolało jednak to, że ten człowiek próbuje wystrychnąć ją na dudka i że skutecznie działa jej na nerwy. Powiązania między denatką a handlarzem cennymi antykami były raczej wątpliwe. Pewnie rzeczywiście prawie wcale się nie znali.

Czyli ciąg dalszy jej fantazji?

120

– Chwileczkę... A jak płaciła panu za te meble? – spytała. Przez chwilę Grenville Machin miał skonsternowaną minę. – Nie pamiętam – odrzekł, poirytowany. – To było parę lat temu. – Łypnął okiem i nagle odzyskał pewność siebie. – Sprzedaję w tym mieście mnóstwo towaru – oznajmił. – Nie jestem w stanie zapamiętać, jak każdy klient za niego płaci.

– Ale prowadzi pan księgi – nalegała Joanna.

– To konieczne – odparł. – Dla urzędu skarbowego.

– Byłabym wdzięczna, panie Machin – rzekła spokojnym tonem

– gdyby odszukał pan kwity sprzedaży antyków dla Marilyn Smith. Wiemy, że kupiła u pana zegar i biurko. – Uśmiechnęła się łagodnie.

– Czy było jeszcze coś?

Wytrąciła go z równowagi. Zaczzerwienił się i obiecał, że księgi będą gotowe do przeglądu już następnego dnia. Joanna wstała do wyjścia, ale pod maską pewności siebie skrywała ponure myśli. Ten cały Machin napawał ją niechęcią, znużeniem i obrzydzeniem.

– Czytałem o pani – dokuczył jej jeszcze. – Ma pani bzika na punkcie zabójstw. Najwyraźniej nie przyszło pani do głowy, że może ta kobieta zmarła we śnie. Wy, gliny – dodał – uważacie, że za każdym drzewem, za każdymi drzwiami kryje się morderca. W waszych oczach wszyscy jesteśmy przestępcami, co?

Zacisnęła wargi, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Niech się pani tak nie spala – powiedział. – Taka ładna kobieta... zamiast wyjść za mąż i wychowywać w domu gromadkę dzieci, zwraca sobie głowę przestępstwami.

– Panie Machin – odparła oschle – mówi pan zupełnie jak moja matka. – Pozwoliła sobie na dowcipną uwagę. – Czy mogłabym trochę się tu rozejrzeć? Pan, zdaje się, eksportuje do Stanów figurki z porcelany Doulton. – Rzuciła mu surowe spojrzenie. – Sporo osób zgłasza ostatnio kradzieże tych wyrobów. Mam nadzieję, że pan nie ma z tym nic wspólnego.

Zrobił nieufną minę. – A ma pani nakaz?

– Nie – odrzekła spokojnie. – Ale mam zamiłowanie do antyków. I może zechcę coś kupić...

Handlarz antykami wyglądał na rozwścieczonego, a Joanna wiedziała, że z tej drobnej potyczki słownej wyszła zwycięsko.

– Tylko proszę nie wchodzić do pomieszczeń oznaczonych jako prywatne – burknął.

– Mam tu zainstalowane kamery.

----- 121 -----

Cmoknęła, zniecierpliwiona. – Czego to się dziś nie robi ze strachu przed elementem przestępczym...

Przez około godzinę oglądała salon, po czym Machin odprowadził ją do drzwi.

– Zapraszam ponownie – powiedział.

– Niestety, niezbyt przepadam za tandetą z Dalekiego Wschodu – przyznała. – Za to naprawdę lubię antyki. – Rozejrzała się. – Tylko zbyt wielu tu nie widziałam...

Nachmurzył się. – W dzisiejszych czasach niełatwo je dostać – mruknął, napotykać stalowy wzrok Joanny.

– A jednak sprowadzał je pan dla Marilyn Smith. Kopnął stopień. – Bo nieźle mi za nie płaciła.

– W takim razie proszę to udowodnić – orzekła. – Nie jestem pewna, czy panu wierzyć. A przy okazji, panie Machin... – dodała. – Lubi pan psy, prawda?

Obrzucił ją spojrzeniem. – O co pani chodzi?

– Tak tylko pytam – odparła chłodno.

Zmarszczył brwi. – Jednego się od was nauczyłem – przyznał. – Wy nigdy nie pytacie bez powodu.

– Właśnie.

Wracając na komendę pomyślała, że może to dobra pora na kolejną wizytę w przychodni. Tym razem zastała opustoszałą poczekalnię i rudowłosą rejestratorkę, która zamykała okienko. Widok Joanny bynajmniej jej nie ucieszył. – Pan doktor akurat skończył pracę – oznajmiła. – Miał dziś ciężki dzień. Mam nadzieję, że nie będzie go pani zdręzczać pytaniami.

– Zapytam tylko o kilka rzeczy.

Rejestratorka powiedziała coś do słuchawki, po czym zwróciła się do Joanny. – Zaraz do pani przyjdzie'.

Joanna wzięła jakieś czasopismo i zaczęła przeglądać je, doświadczając jednocześnie dobrze znanego uczucia podenerwowania pod wpływem zapachu środków dezynfekujących i spirytusu. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio siedziała w poczekalni u lekarza, czekając niespokojnie na wyniki testu i czując, jak nerwy zżerają jej żołądek. Niepotrzebnie się wtedy martwiła – wynik okazał się negatywny i od tamtej pory nie musiała już odwiedzać swojego lekarza. „Niepokój – stwierdził jej lekarz – może powodować te same objawy”. Nie wie-

122

m

działa wtedy, czy ma się śmiać, czy płakać, aż w końcu upiła się... w samotności. To było dwa lata temu.

Niech diabli wezmą całe to śledztwo – zaklęła w duchu. Dlaczego sprawa o zabójstwo nie wymagała od niej wizyty w jakimś ekskluzywnym hotelu, by mogła zasmakować luksusu jak gwiazda telewizyjna czy filmowa? Tymczasem musi siedzieć właśnie tutaj, gapić się na ścianę, na plakaty ostrzegające o ryzyku zakażenia wirusem HIV czy zalecające badania przeciwtężcowe, i przeglądać jakieś czasopisma sprzed dwóch lat.

Podniosła wzrok i ujrzała lekarza. Najwyraźniej on też nie był zadowolony z jej wizyty, rzucił jej tylko szybkie, zakłopotane spojrzenie. Przeszła za nim do recepcji, akurat gdy zamykał drzwi do sejfu.

– Trzymam tam bloczki recept – wyjaśnił bez pytania – i część poufnych dokumentów.

Joanna zastanawiała się, czyje nazwiska figurowały w tych „poufnych” dokumentach.

Jonah na pewno będzie się gniewał. Wcześniej poszła do garażu i znalazła duży śrubokręt z żółtą, plastikową rączką. Następnie weszła po schodach, słysząc, jak figlarny chichot Stevie'ego rozbrzmiewa coraz głośniejszemu z każdym jej krokiem. Mocno wbiła śrubokręt, drewno rozłupało się i drzwi pękły. Ale wtedy przestraszyła się – bała się wejść do środka, bała się tego, co tam zastanie. Usiadła więc na najwyższym stopniu, ściskając mocno śrubokręt w dłoni.

– Stevie... – szepnęła. – Stevie...

Odwrócił się do Joanny i posłał jej zmęczony uśmiech. Zaskoczona, zauważyła, że wygląda, jakby nagle postarzał się o dziesięć lat. Czy to przez śmierć jego pielęgniarki? Nadmiar pracy? Stres? Uznała, że raczej nie. To musi być coś innego.

– No więc w czym mogę pomóc, pani inspektor?

– Chciałabym wrócić do ostatnich godzin pracy Marilyn – odparła. – Czy tamtego dnia była czymś podekscytowana, pogodna, rozweselona? Czy zachowywała się inaczej niż zwykle?

Lekarz zamyślił się, zamrugał i zmarszczył brwi. – Nie, raczej nie – odrzekł. – Zachowywała się tak jak zawsze.

Joanna zwróciła się do Sally. – A może pani zauważyła coś tamtego dnia?

Wydarzyło się coś szczególnego? Jakiś telefon? Albo list?

123

Rejestratorka odwróciła wzrok. – Raczej nie – rzuciła i zajęła się segregowaniem kart pacjentów.

Lekarz spojrzał na Joannę. – Dlaczego pani pyta? – dociekał. – Co takiego znaleźliście?

Ale Joanna nie chciała wdawać się z nimi w dyskusję. Miała wrażenie, że tych dwoje łączy jakaś potajemna zmowa napiętnowana poczuciem winy. Spojrzała na jedno, potem na drugie.

– Nic szczególnego. Chciałam tylko powiedzieć, że nie ustaliliśmy jeszcze przyczyny śmierci. I możliwe, że sprawa zostanie zamknięta.

Czy oczyma wyobraźni ujrzała na ich twarzach wyraz ulgi? Czy tylko jej się przywidziało?

– Chyba że – dodała – dowiemy się czegoś z wyników badań w laboratorium w Birmingham.

To wcale nie wyobraźnia. Na ich twarzach znów pojawił się niepokój.

Lekarz był wyraźnie spięty. – Śmierć nastąpiła na pewno z przyczyn naturalnych – orzekł. – Po co mieszać w to ludzi z laboratorium w Birmingham?

– Wysłaliśmy tam organy wewnętrzne do analizy – oznajmiła oficjalnie, zaskoczona jego przynęcioną miną.

Po chwili jednak zrobiło jej się go żal. Był blady i strasznie zmęczony – jakby zaraz miał się przewrócić – i bądź co bądź, znał denatkę od wielu lat, razem

pracowali, a swego czasu nawet się przyjaźnili.

– A czy kiedykolwiek widzieliście, żeby Marilyn brała jakieś kapsułki? – spytała. – Czerwono-żółtego koloru? Czy wspominała, że któryś z lekarzy przepisał jej jakieś leki?

– Zapytam doktora Bose'a – odparł.

– Już go pytaliśmy. – Joanna przerwała. – Nic jej nie przepisał. Niech mi pan lepiej powie, panie doktorze, czy Marilyn miała dostęp do leków tu, w przychodni?

– Oczywiście. – W jego głosie zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. – Pani inspektor, przecież ona była tu pielęgniarką. Miała dostęp do wszystkiego, co było jej potrzebne. – Przeczesał palcami włosy. – Musiałem mieć do niej zaufanie. – Zmarszczył czoło. – Czerwono-żółte kapsułki... to chyba jakiś antybiotyk – dodał. – Proszę poczekać. Sprawdźę.

Po około minucie oznajmił: – Tu jest penicylina w postaci czerwo-no-żółtych kapsulek.

124

– A więc brała penicylinę? – dociekała niewinnie Joanna. Lekarz i rejestratorka zaprzeczyli. – Nic nam o tym nie wiadomo.

Nikt nie widział, żeby brała jakiegokolwiek leki.

Joanna wstała do wyjścia. – No dobrze, będziemy was informować na bieżąco. –

Zawahała się. – Panie doktorze, a czy mogłabym pomówić z pana żoną?

Obrócił się gwałtownie. – A co to ma wspólnego z moją Pam? Mówiłem już, że żona nie czuje się najlepiej. To bardzo wrażliwa kobieta. Taka wiadomość tylko ją zdenerwuje.

– To znaczy, że ona nie wie o śmierci Marilyn? – spytała Joanna z niedowierzaniem. – Nic jej pan nie powiedział?

Jonah Wilson pokręcił głową. – A po co ma wiedzieć? – odparował. – Nic jej z tego nie przyjdzie.

Zarówno jego ton, jak i gorliwe przytaknięcie rejestratorki zbiły ją z tropu.

Chronili Pamellę Wilson jak małe dziecko. Tylko po co ukrywali przed nią śmierć Marilyn? Czy ta wiadomość aż tak bardzo by nią wstrząsnęła?

– Przecież się przyjaźniły – zauważyła Joanna. – Były takimi dobrymi... najlepszymi przyjaciółkami.

Lekarz popatrzył na nią z zaciekawieniem, po czym odparł szybko: – Ona pani nie pomoże. To prawda, obie odbywały praktykę w tym samym szpitalu. Wtedy rzeczywiście się przyjaźniły, ale odkąd Pamella za mnie wyszła i...

– Przyjaźniły się jeszcze po waszym ślubie – poprawiła go Joanna i natychmiast zamilkła. – Chodzi panu o to, co było dalej, gdy pańska żona zachorowała?

Przytaknął. – Ona naprawdę nic nie wie. Proszę mi wierzyć na słowo, pani inspektor – mówił błagalnym tonem. – Moja żona jest chora... bardzo chora. Nie chciałbym jej denerwować.

– Panie doktorze – odezwała się łagodnie Joanna. – Ja wcale nie mam zamiaru jej denerwować. Muszę z nią tylko porozmawiać. Jestem święcie przekonana, że ona może nam pomóc.

– To przekłeta dziwka... – Jonah Wilson stracił panowanie nad sobą. – Pamella... – Ukrył twarz w dłoniach. – Ona naprawdę nic o tym nie wie.

– O czym?

– O niczym.

125

– Bardzo mi przykro – odparła – ale nie ustąpię. Muszę chociaż potwierdzić godziny pana nieobecności w poniedziałkowy wieczór i zadać jej kilka pytań na temat Marilyn.

– One nie widywały się już od wielu lat.

– Ale może rozmawiały przez telefon.

– Pamella powiedziała by mi – odrzekł. – Niczego przede mną nie ukrywa.

– W takim razie obejdę się z nią delikatnie – obiecała Joanna, ale lekarz zaśmiał się tylko ironicznie.

– Delikatnie? – powtórzył. – I kto to mówi? Policjantka? Joanna ukryła urażoną dumę i stłumiła gniew. To była bardzo dosadna krytyka...

Nagle Jonah spojrział jej prosto w oczy. – Znały się z Marilyn przed laty. Nie widywały się już od bardzo dawna. Ona wcale za nią nie tęskni, wie pani? A skoro chce pani znać godziny moich dyżurów nocnych, proszę zapytać moje rejestratorki.

– Wpadł w panikę. – Wszystkie nocne dyżury wpisane są w grafik, łącznie z godzinami.

– Chwileczkę – odparła Joanna. – To znaczy, że najpierw przyjeżdża pan tutaj po swój grafik, a dopiero potem odwiedza pan pacjentów?
Zaprzeczył. – Nie. Wypełniamy potem grafik dyżurów nocnych i załączamy w dokumentach.
Joanna skinęła głową. – Rozumiem – rzekła. – Godziny też?
– To konieczne – odparł niechętnie. – Od tego zależy nasza płaca. Za wizyty nocne mamy inne stawki.
Utkwiła wzrok w lekarzu. – Powinien był pan mi powiedzieć, że pańska żona przyjaźniła się z Marilyn – skarciła go.
– Nie chciałem jej w to mieszać.
– Ale to dzięki pańskiej żonie Marilyn dostała tu pracę. Pokiwał głową. – Proszę posłuchać – jęknął. – Skoro musi pani zobaczyć się z Pam, to wolałbym, żeby to było w mojej obecności.
– No to kiedy?
Wziął płaszcz. – Jadę akurat do domu – oznajmił niepewnie. – Więc może teraz? Najpierw zaskoczył ją ich dom: skromny bliźniak z lat trzydziestych z maleńkim ogródkiem i łuszczącą się farbą. A potem sama Pamella Wilson.
126
Gdy tylko Jonah przekręcił klucz w zamku, zawołał, by ją uprzedzić, że nie jest sam. – Wróciłem, kochanie, i przyprowadziłem kogoś. Ale nie bój się... Pam, to tylko pani z policji... Nie przejmuj się...
Pani Wilson wyłoniła się zza drzwi pokoju gościnnego, rozglądając się dokoła jak nieśmiałe dziecko, drobna, szczupła, o wielkich, ciemnych oczach i wykrzywionej twarzy, jakby chciała o coś zapytać. Wyglądała na bezbronną i przerażoną. Widok był tak żalospny, że wzbudził w Joannie litość.
Pamella Wilson wyciągnęła dłoń, w której trzymała duży, żółty śrubokręt. – Przepraszam – szepnęła do Jonaha. – Tak mi przykro.
Bardzo delikatnym ruchem odebrał jej śrubokręt. – Och, Pam – westchnął. – Nie chodź tam nigdy więcej.
Dwie wielkie łzy spłynęły jej po twarzy. – Chciałam tylko go zobaczyć, Jonah – powiedziała. – Myślałam, że tam będzie.
Odwrócił się bezradnie do Joanny. – Pozwoli pani, że porozmawiam z nią najpierw na osobności przez pięć minut – poprosił. – Sam jej powiem o Marilyn, dobrze? Sam jej wszystko wyjaśnię...
Joanna była poruszona. Wyglądało to tak, jakby jego żona była pacjentką, której właśnie miał powiedzieć, że zostało jej zaledwie kilka miesięcy życia. Czekwała w przedpokoju. W tej sytuacji surowe metody by zawiodły. Ta kobieta załamałaby się na każdym przesłuchaniu. Jednak była to jedyna znana Joannie osoba, która rzekomo przyjaźniła się z denatką.
Jonah otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. – Chyba nie muszę powtarzać, że proszę o wyrozumiałość, pani inspektor. Moja żona nie czuje się dobrze.
Pamella siedziała skulona na krześle twarzą do okna i lekko się kołysała.
– Pani Wilson – odezwała się Joanna, przysunęła drugie krzesło i usiadła naprzeciwko niej.
– Zmarła we śnie – szepnęła Pamella, wpatrując się w Joannę. – Jonah powiedział mi, że Marilyn zmarła we śnie. – Patrzyła na Joannę zmęczonym wzrokiem. – Czasami myślę, że też bym tak chciała. Moje dziecko też zmarło we śnie – dodała. – Wie pani? – Urwała nagle. – Mój synek był taki śliczny. Wszyscy go uwielbiali. Wszyscy kochali mojego Steviego.
Joanna nie wiedziała, co powiedzieć. Po raz pierwszy sytuacja przerosła ją. Boże, pomyślała w panice. Przecież niczego się od niej nie
127
dowiem. Ona na pewno nic nie wie. Znów narobiłam zamieszania. Niepotrzebnie niepokoję tego biednego, zapracowanego lekarza i jego schorowaną żonę.
Wtedy Pamella znowu się odezwała. – Przyjaźniłyśmy się z Mari-lyn – oświadczyła. – Wie pani, że się przyjaźniłyśmy?
– Tak – odparła ostrożnie Joanna. – Dlatego tu jestem. – Uważnie obserwowała Pamellę. – Kiedy ostatnio widziałyście się z Mariiyn, pani Wilson?
Kobieta zrobiła przebiegłą minę. – Chyba nawet nie pamiętam...
– Przerwała. – Nie, nie pamiętam. – Pociągnęła Joannę za rękaw.
Gdzieś w pobliżu rozległ się dzwonek komórki. Jonah wyjął ją z kieszeni. – Mój dyżur na telefon – wyjaśnił. – Odbiorę w kuchni.
– Spojrzał na żonę, zaniepokojony. – Dasz sobie radę? •
Skinęła głową i Jonah wyszedł, a żona odprowadziła go wzrokiem, wodząc za nim

swymi ciemnymi, smutnymi oczami. – Nie lubiliśmy jej – odezwała się nagle. – Nie była miła. Joanna potrzebowała paru sekund, by zorientować się, że tamta mówi o Mariiyn. – Tak? – spytała. – A w jakim sensie? Pamella Wilson pochyliła się do przodu. – Powinien był ją wyłać, pozbyć się jej, gdy tylko z tym zaczęła – oświadczyła szeptem. – Myśleliśmy, że ona nam pomoże. – Pokręciła głową. – Ale nie. Czepiała się nas. Sprawiała kłopoty... Joanna przerwała jej. – Jakie kłopoty, pani Wilson? Pamella zaczęła kołysać się na krześle, miarowo, w przód i w tył. – Kpiła sobie z nas – odparła. – Kpiła sobie... – I znów zrobiła tę przebiegłą minę. – Chciała mi zabrać mojego Jonaha, wie pani? Joannie zabrakło słów. Pamella pokiwała tylko głową. – O tak – ciągnęła. – Miała ochotę na mojego Jonaha. I nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że on nigdy nie będzie należał do niej. A Jonah nigdy by mnie nie zostawił. Nigdy. Rozumie pani, ślicznotko z policji? Joanna rozumiała doskonale. Rozumiała aż za dobrze. Nie zabiera się męża od żony. O tak... Już ona dobrze wiedziała. – Jonah zawsze był dla niej dobry i bardzo uprzejmy – mówiła dalej Pamella. – Więc jej się zdawało, że miała u niego szansę. – Uśmiechnęła się i objęła ramionami kolana. – Ale się myliła. – Twarz kobiety przybrała tryumfujący wyraz.

128

Joanna wpatrywała się w nią. To nie był przyjemny widok. Pamella ubrana była w brązową, luźną, bardzo wygniecioną spódnicę i ciemnozielony sweter, który oblaźł drzazgami. Miała nie umalowaną, bladą, zryta zmarszczkami twarz i wyglądała na schorowaną. Jej stopy w luźnych, ciemnych kapciach oplecione były wokół nóg krzesła. Jak to możliwe, że lekarz po całodniowej pracy z pacjentami przychodził do domu, gdzie czekał go taki widok? Jonah Wilson wrócił do pokoju i ucałował żonę. – Muszę jechać – oznajmił, po czym spojrzał prosto na Joannę. – A pani już skończyła, prawda? Tym samym dał jej do zrozumienia, że czas się pożegnać.

12

Muszę go dorwać, Mikę – oświadczyła. Spojrzał na nią. – Kogo?

– Tego Machina.

– Nie sądzisz chyba...?

Pochyliła się do przodu, podpierając podbródek dłonią, i spojrzała Mike'owi prosto w twarz. – Nie wiem – przyznała. – Problem w tym, że nie rozumiem, jak mu się to udało. – Roześmiała się. – To się nazywa instynkt gliniarza, Mikę – dodała. – Ten facet to krętacz. Chcę go widzieć za kratkami.

– I jak ty sobie to wyobrażasz? – Wstał, ożywiony, i zaczął chodzić po pokoju. – Przecież próbujemy już od tak dawna. Ten facet od sześciu czy siedmiu lat stale się bogaci. Ani razu nie udało nam się go na niczym przyłapać, nie mówiąc już o wytoczeniu mu sprawy. – Wpatrywał się w nią, przygnębiony. – Wiesz, jakie to frustrujące... cała robota policji idzie na marne, bo wiadomo, że obrona i tak robi z nas kompletnych durniów i to my wyjdziemy na skorumpowaną bandę, która prześladowuje niewinnych ludzi. Tak się to skończy, jeśli sprawa w ogóle trafi do sądu. Joanno, jego to trzeba złapać na gorącym uczynku, najlepiej jeszcze ze śladami krwi na rękach.

– Spokojnie – odparła. – Po co nam od razu ślady krwi?

– Więc jak inaczej?

129

– Daj spokój, Mikę – rzuciła, zniecierpliwiona. – Dobrze wiemy, skąd się wzięła ta forsa. Cholera, przecież to oczywiste, że istnieje związek między nim a Marilyn Smith.

– Wybacz – odrzekł uprzejmie. – Ale mówimy chyba o dwóch różnych rzeczach.

– Chodzi o narkotyki! – podsumowała. – W kontenerach przywożą meble. A oprócz tego...? Narkotyki. To najlepszy sposób na przemyt narkotyków. Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. Dlaczego ten facet przez ostatnich kilka lat siedział cicho? Zresztą kto inny, jeśli nie dealer, zainteresowałby się kradzionymi figurkami z porcelany? Trzeba koniecznie odszukać w domu Marilyn porcelany Doulton. A potem już zajmujemy się resztą.

– Nie udowodnisz mu tego – skwitował. – A jeśli nawet ci się to uda, nie przekonasz innych.

– Razem ich przekonamy – orzekła poważnym tonem. – I o zabójstwie też. Przygryzając wargę, Mikę obserwował ją. Wróciła do swoich notatek. – A Jock Shiers pewnie się nie odnalazł?

– Niestety. Nie ma też dowodów na to, że Marie Celeste przybiła do brzegu w Bangor. Nikt nie widział ani łodzi, ani jego. Nawet straż przybrzeżna nie zna tej łajby.

– Czyli też zaginęła czy wcale jej tam nie było?

– Została zarejestrowana – odparł – ale nie w północnej Walii, tylko w południowej, w Milford Haven.

– No i co? – dociekała.

– No i nic... Nikt już nic więcej o niej nie wie. Siedziała bardzo spokojnie. – A więc on zaginał, Mikę... – Podniosła na niego wzrok. – Zaginał, prawda?

– Tylko tyle na razie wiemy – odrzekł niepewnie.

– Mamy jego rysopis?

– Krępa sylwetka – mruknął – wiek około pięćdziesięciu lat, brak znaków szczególnych. Włosy czarne. Joanna westchnęła. – Niewiele nam to pomoże. – Wstała. – Idę po nakaz – oznajmiła z niespodziewaną stanowczością. Czowała, że koniecznie trzeba działać. – Rozkopiemy ten piekielny ogród. Sam widziałeś, jak ona się zachowywała, Mikę – dodała obronnym tonem. – Pod tym krzyżem coś jest.

----- 130 -----

– Ale posłuchaj – odparł – mamy już głównego podejrzanego. Po co zasadzać się jeszcze na nią?

– Bo tam na pewno coś jest – odpowiedziała. Podszedł do niej bliżej, bardziej skrupowany niż przedtem. – Joanno – wyjąkał w zakłopotaniu – tylko nie myśl, że próbuję mówić ci, co masz robić... Znów ta surowość w jej oczach. Wiedziała już, co jej powie.

– Ale może powinnaś jeszcze zamienić słówko z doktorem Levi-nem? Gdybyśmy tylko wiedzieli, co było przyczyną jej śmierci...

– Nie chcę go mieszać w tę sprawę – przerwała mu – o ile to w ogóle możliwe.

– Ale...

Obróciła się gwałtownie. – Ja nie zadzwonię do Matthew – oświadczyła. – Koniec dyskusji.

Mikę spojrział gniewnie, a Joanna wpadła w złość – na niego i na siebie samą. Nie chciała jednak dzwonić do Matthew. Wolała, żeby to on zadzwonił do niej. Telefon odezwał się jak na zawołanie. Joanna wbiła w niego wzrok. To była Evelyn Shiers, tym razem wpadła w histerię. – Przyjedźcie tu i sami posłuchajcie! – mówiła. – Posłuchajcie, jak szczeka. Sami się przekonacie... Węszy tu, pod drzewem.

Joanna pozwoliła kobiecie wykrzyczeć się przez dobre pięć minut, po czym rozłączyła się i siedziała przez chwilę, trzymając słuchawkę w dłoni, aż wreszcie podjęła decyzję.

– Trzeba przekopać jej ogród – oświadczyła. – Zwłaszcza teren wokół tej wierzby.

Mikę nic nie odpowiedział, tylko przyglądał się jej uważnie. Czowała, że chce się odezwać, ale nie powie nic, dopóki sama go nie zachęci.

– No dalej – ponagliła wreszcie. – Mów. Co cię gryzie? Odchylił się do tyłu na krześle. – Nie wyobrażam sobie, żeby Evelyn Shiers mogła kogokolwiek zabić – powiedział. – Nie mówiąc już o własnym mężu. A nawet gdyby go zabiła, to na pewno wyprowadziłaby się stamtąd. Nie mogłaby tam mieszkać.

– I co by mogła zamiast tego? Przyznać się do winy? Sprzedać dom i czekać, aż ktoś przekopie ogród? To było lepsze?

– Przecież nie mogłaby tam mieszkać ze świadomością, że jego ciało od lat leży zakopane w ogrodzie.

131

Dłoń Joanny dotknęła telefonu. – Zdarzały się jeszcze dziwniejsze przypadki – odparła. – Tylko czemu ona tak histeryzuje? Pokręcił głową. – Może to objaw paniki?

– Nie wydaje mi się. – Podniosła słuchawkę. – Ale wkrótce się przekonamy – dodała, czekając na połączenie. A potem wyłuszczyła do słuchawki swoją prośbę. Gdy już skończyła, Mikę wstał. – A co z Machinem?

– Będzie musiał zaczekać... – Przerwała z nadzieją, że jej odpowiedź spotka się

z jego aprobatą. A ponieważ milczał, mówiła dalej: – Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa – oświadczyła. – Na pewno jeszcze do niego wrócimy. Stał przy niej tak blisko, że zajrzał jej prosto w oczy. – A doktor Levin? Odwróciła wzrok i wzięła płaszcz. – On też może poczekać.

Dzień był szary i ponury, ani razu nie zaświeciło słońce i mżyło bez przerwy. Joanna wzięła łopatę i zaczęła kopać. Błoto oblepiło metal i za każdym razem trzeba było strząsać grudy ziemi. Ręce miała zimne i ubrudzone piachem. Rozejrzała się dookoła, popatrzyła na kopiącą w milczeniu ekipę. Taka właśnie jest praca w policji, pomyślała. Kompletnie pozbawiona wdzięku i polotu. Podniosła głowę i ujrzała Evelyn patrzącą przez okno: ciemna sylwetka, tajemnicza, niema postać. Joanna wpatrywała się w nią, uświadamiając sobie, że nigdy nie zapomni wyrazu twarzy tej kobiety w chwili, gdy zapukała do jej drzwi i oznajmiła jej, że zamierzają przekopać ogród. Wyglądała tak, jakby straciła wszelką nadzieję: zagubiona, nieszczęśliwa kobieta, która od lat kryła w poczuciu winy jakąś tajemnicę, którą jej sąsiadka obróciła na własną korzyść. Mrugała bladymi, wystraszonymi oczami i szeptała coś o migrenie. A teraz stała nieruchomo przy oknie, wpatrując się w grupę kopiących policjantów. Zupełnie jak grabarze, pomyślała Joanna i znów wbiła łopatę w twardą glinę. A gdy podniosła głowę, Evelyn nagle stała już przy niej, owijając się płaszczem. – I po co to wszystko? – spytała.

– Bo chcemy się dowiedzieć, gdzie jest pani mąż – wyjaśniła Joanna. – Może jest coś jeszcze, o czym chciałaby pani nam powiedzieć, zanim posuniemy się dalej?

132

Twarz Evelyn stężała. Popatrzyła na Joannę wzrokiem pełnym niechęci. – To nie wasza sprawa – syknęła. – Cokolwiek się stało z moim mężem, nic wam do tego. – Rozejrzała się po kwadratowym, błotnistym trawniku. – Tu go nie ma, proszę pani. Ale chwila odwagi szybko minęła i Evelyn znów przypominała zaszczutego lisa. – Znajdźcie lepiej tego psa – poprosiła. – Sprawdźcie, gdzie Ben tak szczeka. – Będziemy też kopać – zapewniła beznamyślnie Joanna. – Będziemy kopać i nasłuchiwać.

Tupiąc głośno, Evelyn weszła z powrotem do swego domu.

Joanna została w towarzystwie ośmiu silnych ochotników. Szef nie szczędził rąk do pracy. Przyjechali nawet ludzie z innych jednostek. Morderstwo to przecież poważna zbrodnia. Przy takiej sprawie nie może braknąć ludzi do działania. – Proszę rozwiązać tę zagadkę – polecił jej szef. – Proszę odkryć wszystkie tajemnice, pani inspektor. Niech się pani dowie, jak i dlaczego zmarła ta nieszczęsna kobieta.

Prasa nie miała ostatnio czego komentować. Pierwszy artykuł doczekał się kolejnych wzmianek na drugiej stronie, poprzedzonych pełnymi oburzenia nagłówkami. „Policja nabiera wody w usta... Nie udało się uzyskać dalszych informacji od inspektora Piercy...” Joanna krzywiła się, czytając te słowa. „Nie udało się uzyskać dalszych informacji...” „Wiadomo jednak, że policja wciąż nie może wykluczyć morderstwa”.

Kopali, ciągle kopali... Łopaty zgrzytały o grudy ziemi naszpikowanej żwirem i kamieniami. Oznakowali ogród czerwoną, plastikową taśmą jak szachownicę, żeby wydzielić części. Jeśli rzeczywiście znajdą tu ciało Jocka Shiersa, to na pewno leży ono w jednym z tych kwadratów... D4... albo C3... Joanna westchnęła. Zaczęli kopać tuż przy wierzbie i posuwali się promieniście we wszystkie strony. Od mżawki w małych kanalikach zrobiło się błoto. Kalosze utknęły jej w chlupiącej mazi. Marzyła o kąpieli.

Nagle uderzyła łopatą o coś twardego. Spojrzała w dół. Nie zważając już na zabłocone ręce i kolana, zaczęła grzebać w ziemi i... wyciągnęła kość. Gdyby ktoś obserwował resztę kopiących, zauważyłby dziwny widok. Dotychczas kopali machinalnie, ostrożni, lecz znudzeni tą czynnością. Teraz ich łopaty zaczęły poruszać się bardzo szybko. Gdy Mikę poszedł do wozu zadzwonić do patologa, reszta starannie szukała w ziemi

133

innych kości. Joanna zerknęła na dom. Twarz w oknie zniknęła. Evelyn przestała ich obserwować.

Po niemal godzinie Matthew dotarł na miejsce. Do tego czasu zdążyli już uprzątnąć ziemię wokół niewielkiego stosu kości. Joanna miała zabrudzoną od błota twarz, a do tego jeszcze była zziębnięta. Zapadał już zmierzch, a ona czuła tylko ból i zmęczenie. Nagle usłyszała warkot auta Matthew na podjeździe, a potem chrzęst jego butów po ścieżce w ogrodzie i skrzypnięcie furtki.

Podniosła głowę.

Zerknął na nią, rozbawiony, co zasugerowało jej, że musi wyglądać jak nieboskie stworzenie. Otarła twarz, rozmazując sobie błoto po policzku.

– Co tam macie? – spytał, a ona wskazała na stertę kości. Przykucnął, podniósł jakąś długą kość, potem następną, a gdy tylko dotknął czaszki, Joannie zrobiło się nagle strasznie głupio. Matthew przyglądał się czaszce przez minutę, po czym uśmiechnął się szeroko do Joanny. – To pies – orzekł i położył czaszkę przy pozostałych fragmentach szkieletu. – Znaleźliście coś jeszcze?

Joanna zdała sobie sprawę, że cały wysiłek przekopania ogrodu poszedł na marne. Przyglądała się ochotnikom. Przerzucili każdą piędź ziemi. Jedno było pewne: to nie tutaj Jock Shiers został pochowany. Wyprostowała się. Matthew położył jej dłoń na ramieniu. Ten dotyk dał jej do zrozumienia, że Mat czuje jej upokorzenie. Z drugiej strony zauważyła też, że jest czymś bardzo przejęty. – Cały dzień próbuję się z tobą skontaktować – zaczął. – Mam pewne informacje.

– No, nareszcie – westchnęła – jest jakieś światło w tunelu. Matthew uśmiechnął się. – Tylko zanadto się nie ciesz, Jo – ostrzegł. – Nie mam jeszcze dowodów, ale jestem pełen optymizmu. Nagle ogarnęła ją fala ciepłych uczuć. – Chciałabym cię uściskać – wyznała.

Wpatrzył się w nią natychmiast, aż wstrzymała oddech pod wpływem gorącej namiętności, którą ujrzała na jego twarzy.

Po chwili wyjął z kieszeni chustkę i starł jej brud z policzków. – Zawiozę cię do domu – zaproponował. – Wykąpiesz się, umyjesz włosy, a potem porozmawiamy. Nie potrafiła ukryć emocji. Zaśmiała się i nakazała Mike'owi dokończyć pracę w ogrodzie. Miał skwaszoną minę. – Dzięki ci – rzucił. – Zwłaszcza że dziś jest niedziela. Ja też mam rodzinę, nie?

134

innych kości. Joanna zerknęła na dom. Twarz w oknie zniknęła. Evelyn przestała ich obserwować.

Po niemal godzinie Matthew dotarł na miejsce. Do tego czasu zdążyli już uprzątnąć ziemię wokół niewielkiego stosu kości. Joanna miała zabrudzoną od błota twarz, a do tego jeszcze była zziębnięta. Zapadał już zmierzch, a ona czuła tylko ból i zmęczenie. Nagle usłyszała warkot auta Matthew na podjeździe, a potem chrzęst jego butów po ścieżce w ogrodzie i skrzypnięcie furtki.

Podniosła głowę.

Zerknął na nią, rozbawiony, co zasugerowało jej, że musi wyglądać jak nieboskie stworzenie. Otarła twarz, rozmazując sobie błoto po policzku.

– Co tam macie? – spytał, a ona wskazała na stertę kości. Przykucnął, podniósł jakąś długą kość, potem następną, a gdy tylko dotknął czaszki, Joannie zrobiło się nagle strasznie głupio. Matthew przyglądał się czaszce przez minutę, po czym uśmiechnął się szeroko do Joanny. – To pies – orzekł i położył czaszkę przy pozostałych fragmentach szkieletu. – Znaleźliście coś jeszcze?

Joanna zdała sobie sprawę, że cały wysiłek przekopania ogrodu poszedł na marne. Przyglądała się ochotnikom. Przerzucili każdą piędź ziemi. Jedno było pewne: to nie tutaj Jock Shiers został pochowany. Wyprostowała się. Matthew położył jej dłoń na ramieniu. Ten dotyk dał jej do zrozumienia, że Mat czuje jej upokorzenie. Z drugiej strony zauważyła też, że jest czymś bardzo przejęty. – Cały dzień próbuję się z tobą skontaktować – zaczął. – Mam pewne informacje.

– No, nareszcie – westchnęła – jest jakieś światło w tunelu. Matthew uśmiechnął się. – Tylko zanadto się nie ciesz, Jo – ostrzegł. – Nie mam jeszcze dowodów, ale jestem pełen optymizmu. Nagle ogarnęła ją fala ciepłych uczuć. – Chciałabym cię uściskać – wyznała.

Wpatrzył się w nią natychmiast, aż wstrzymała oddech pod wpływem gorącej namiętności, którą ujrzała na jego twarzy.

Po chwili wyjął z kieszeni chustkę i starł jej brud z policzków. – Zawiozę cię do domu – zaproponował. – Wykąpiesz się, umyjesz włosy, a potem porozmawiamy. Nie potrafiła ukryć emocji. Zaśmiała się i nakazała Mike'owi dokończyć pracę w ogrodzie. Miał skwaszoną minę. – Dzięki ci – rzucił. – Zwłaszcza że dziś jest niedziela. Ja też mam rodzinę, nie?

134

– Uroki pracy w policji – odparła, po czym spojrzała w stronę domu i zobaczyła sylwetkę Evelyn. – Pogadaj z nią, Mikę – poprosiła. – Przekonaj ją, że Ben nie żyje i Marilyn też. Jeśli wie coś jeszcze, ma obowiązek wyjawić to policji, bo inaczej odpowie przed sądem za marnowanie naszego czasu, za zatajenie faktów i utrudnianie śledztwa... Powiedz jej też, że koniecznie musimy skontaktować się z jej mężem. Że obawiamy się o jej bezpieczeństwo. – Przerwała. – Przekonaj ją, że musi powiedzieć nam wszystko, co wie. – Znowu zamilkła na chwilę. – I powiedz jej, że teraz przeszukamy dom. Powiedz jej to wyraźnie. Aha, Mikę – dorzuciła, nie zważając na jego pełne dezaprobaty spojrzenie – i wytłumacz jej, że jeśli znów usłyszy szczekanie, to na pewno jakiś inny pies, a nie Ben. Mikę miał jeszcze bardziej rozgniewaną minę. – A ty jedziesz sobie z nim, jakby nigdy nic, tak?

Matthew stał dość blisko i przyglądał się jej cierpliwie, ale z wyrazem rozbawienia na twarzy. Joanna dobrze wiedziała, co mu chodzi po głowie.

– Prawdopodobnie zatrzymamy się w kostnicy – rzuciła. – Ale najpierw muszę się wykapać.

Mikę wzruszył ramionami i odwrócił się.

Matthew rozłożył gazetę na siedzeniu pasażera, Joanna wsiadła i zapięła pas. Obserwował ją przez chwilę w milczeniu, zanim zapalił silnik, po czym uśmiechnął się i ruszył. Gdy skręcili w ruchliwą ulicę, dotknął przelotnie jej ręki. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że znów cię wiozę moim autem. Joanna bała się otworzyć usta.

Zostawiła Matthew na parterze, gdzie rozsiadł się wygodnie na sofie. Zawsze czuł się swobodnie w jej małym domku. Ona sama weszła po schodach, rozebrała się, wzięła prysznic, umyła włosy i owinęła się białym, frotowym szlafrokiem. W pokoju gościnnym było tak ciepło i przytulnie. Matthew zdażył już otworzyć butelkę wina.

Uśmiechnął się i uniósł kieliszek na jej widok. – No, teraz jest znacznie lepiej – oznajmił. – Po całej tej brudnej robocie w ogrodzie... Chcesz wiedzieć, co o tym sądzę? – dorzucił. – Zmarnowaliście tylko czas, zwłaszcza po tym, czego się dowiedziałem.

----- 135 -----

Spojrzała na niego. – W policji tak już bywa, że marnuje się sporo czasu – odparła obronnym tonem – badając wiele tropów, które prowadzą donikąd. Ale to nie ma znaczenia, jeśli w końcu dotrze się do prawdy.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy. – A ty? Myślisz, że dotrzesz do prawdy?

– Tak – odrzekła, choć w jej głosie zabrzmiała nuta niepewności. Zamilkła, a Joanna czekała, aż zacznie mówić. Wiedziała, że jako patolog lubił dokładność w przedstawianiu faktów.

– Nie przeprowadziłem jeszcze drugiej sekcji... na razie – oznajmił niepewnie – ale chyba już wiem, co było przyczyną śmierci.

Joanna siedziała na podłodze, przy kominku, susząc rozpuszczone włosy.

Przezesła je palcami, czując, jak zaczynają znów się układać po odparowaniu wilgoci. Objęła ramionami kolana i podniosła wzrok na Matthew. Siedział na krześle. Zdażył już zapalić stojącą za nim lampę, której blask muskał jego włosy, nadając im złotawy odcień. Joanna słuchała, jak mówi powoli, dobierając słowa tak ostrożnie, jakby zeznawał przed sądem.

– Jo – zaczął, przyglądając się jej baczny wzrokiem. Wiedziała, że ją sprawdza. – Czego ty właściwie dowiedziałas się o Marilyn?

Była zdziwiona, że wypowiedział to imię z pewną poufałością. To ją zaniepokoiło. Wypiła łyk wina, marszcząc brwi.

– Wiemy, że szantażowała kilka osób – odparła oględnie. – Nie wiemy dokładnie, kim są ci ludzie, a chyba było ich wielu. – Podniosła wzrok. – Marilyn wiedziała coś o ich życiu prywatnym... Jednym z nich mógł być jej pracodawca, doktor Wilson, albo Machin, ten handlarz antykami. Zdaje się, że jej najbliższa sąsiadka też się jej bała. Poza tym ciekawi jesteśmy, co dokładnie łączyło ją z Paulem Haddonem, przedsiębiorcą pogrzebowym. Okazuje się... – Wypiła duży łyk wina.

– Okazuje się, że odwiedzał ją w przychodni, i to bardzo regularnie.

– Spojrzała na Matthew. – A więc lista podejrzanych jest dość długa, Mat.

Znów się napiła, marszcząc czoło. – Musiała dysponować ogromnymi sumami, ale poza jej pensją wszystko chyba szło gotówką i choć wiadomo, że między sumą jej zarobków a wydatków istniała ogromna rozbieżność, ciężko jest to udowodnić.

Wiesz, Matthew, że nie chodzi mi o to, by wywlekać na światło dzienne czyjeś

brudy. Chcę tylko do-

136

wiedzieć się, kto ją zabił. Powody nie są aż tak istotne. Ale żeby znaleźć sprawcę, muszę najpierw znać przyczynę jej śmierci...

Spojrzała mu prosto w twarz, dostrzegając jego niepewną minę.

– Czy tyją w ogóle znałeś?

– Znałem ją – przyznał. – Prawdziwa jędza.

Nagle Joanna poczuła, co to głęboki, zimny strach. Nie mogła już spojrzeć Matthew prosto w oczy. Przez cały czas obawiała się, że on też miał jakieś powiązania z nieżyjącą pielęgniarką. Teraz wiedziała już, że musi się z tym zmierzyć dla dobra śledztwa.

– Mów dalej – ponagliła go.

– Jo – padło znowu. – Czy mogę ci zaufać? Co jest dla ciebie ważniejsze: człowiek czy praca?

Zdała sobie sprawę, że się kompromituje. Przypatrując się bardzo uważnie jego twarzy, czuła łączącą ich ogromną bliskość – więź jeszcze głębszą niż wtedy, gdy byli kochankami.

Odezwała się bardzo łagodnie: – Możesz mi zaufać, Matthew.

– W takim razie opowiem ci o niej – odrzekł. – Powinnaś wiedzieć, jaka ona była... ta kobieta, której zabójstwo jest tematem twojego śledztwa.

– Czy ciebie też szantażowała? Skinął głową. – Próbowała.

Joannę nagle ogarnęło przerażenie. – Pewnie chodziło o mnie?

Znów przytaknął. – Ale mówiłem jej, idź do diabła i rób co chcesz! – Pochylił się i dotknął jej ręki. – Pamiętasz tamten wieczór w restauracji?

– Gdy pojawiła się Jane?

Pokiwał głową, wypił łyk wina i odstawił kieliszek na stoliku. – To Marilyn powiedziała Jane, gdzie jesteśmy. Bo nie zgodziłem się jej zapłacić. Myślałem, że tylko blefuje.

Joanna pamiętała tamten wieczór – intymne chwile w małym hoteliku, gdy powoli delektowali się kolacją, wokół nich panował błogi spokój, a oni rozmawiali, śmiali się przy każdym kieliszku wina, którego sporo wtedy wypili. Radość życia, uczucie wzajemnego ciepła, dobry nastrój, smak wyśmienitego jedzenia i pragnienie seksu, które wkrótce miało się spełnić.

I wtedy coś nagle zburzyło spokojną atmosferę w restauracji, jak straszny sztorm na morzu w pogodny, letni dzień: Jane wpadła do środka, krzycząc wściekle. A oni, przerażeni i skrępowani, skoczyli na

----- 137 -----

równe nogi. Taki był koniec ich pilnie strzeżonej prywatności. Ludzie przy innych stolikach obserwowali w szoku całe zajście. Znali już ich tajemnicę i przyglądali się głośnym wybuchom wściekłości, a Jane miotała przekleństwami. „Ty ladacznico, ty parszywa dziwko”. Nawet teraz, na samo wspomnienie tego wieczoru, Joannie robiło się gorąco. Matthew próbował się tłumaczyć, na jego twarzy malował się ogromny wstyd. Wyszli razem z Jane, a Joanna musiała zapłacić rachunek.

Po dwóch dniach zadzwonił z przeprosinami i powiedział to, czego się spodziewała: że powinni przestać się spotykać. Teraz powoli ogarniała ją fala nienawiści do Marilyn. Zamknęła oczy i przypomniała sobie jej tęgą sylwetkę, te sprośne, pomalowane tłustą, czerwoną szminką wargi, te rozłożone nogi... Całe to ucieleśnienie zdrożnej propozycji.

Joanna spojrzała na Matthew. – A więc to ona – powiedziała.

Napełniła kieliszek, poczuła, że krzywi się od kwaśności, ale wypić musiała duszkiem.

Dobre, francuskie wino smakowało teraz jak ocet.

Matthew obserwował ją. – Teraz rozumiesz?

Pokręciła głową. – Ale chyba ty tego nie zrobiłeś, Matthew? – Chwyliła go za ramię. – Powiedz mi, że to nie ty.

Zaprzeczył i uśmiechnął się niepewnie. – Nie – odparł. – Jasne, że jej nie zabiłem. Nienawidziłem jej, ale nigdy bym jej nie zabił, Jo.

– Więc kto to zrobił? – spytała.

Znów pokręcił głową. – Jo, tego musisz dowiedzieć się sama. Ja mogę ci tylko wskazać drogę. Ale nie wiem, kto to zrobił.

– Na razie wystarczy, jeśli wskażesz drogę, Matthew – odparła łagodnie, patrząc, jak wyciąga z kieszeni jakieś czasopismo w jasnoniebieskiej okładce. – British Medical Journal – wyjaśnił. – Wydanie sprzed kilku miesięcy. – Zmarszczył brwi. – Pomyślałem o tym dopiero wczoraj późnym wieczorem.

Przypomniałem sobie pewien artykuł.

– Przewertował cienkie kartki, znalazł wybrany tekst i podał jej czasopismo.

Przeczytała artykuł i spojrzała na niego pytająco.

– To się wydarzyło naprawdę – dodał, zakłopotany. – W Kanadzie, w zeszłym roku. Zmarszczyła czoło. – Nie rozumiem.

Znowu rzucił okiem na czasopismo. – Zrobiono zastrzyk z insuliny

– wyjaśnił. – Potajemnie, bez śladu. W tym przypadku wykorzystano zagięcie skóry pod piersią. Patolog pisze w tym artykule, że ofiarą była tęga kobieta, dlatego trudno było znaleźć ślad po igle, ale spójrz tylko...

138

!

– Postukał palcem w zdjęcie na dole strony. – Zauważył go dzięki lupie. –

Spojrzał na Joannę. – Prawie nie miał czego szukać: niewielki obrzęk i drobne zsinienie... Potwierdzili to dopiero po wykonaniu biopsji okolicznych tkanek. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Zawierały insulinę.

Popatrzył niepewnie na Joannę.

– Założę się, że gdzieś na ciele Marilyn jest ślad nakłucia od igły.

– Przecież już dawno byś to zauważył, Matthew...

Pokręcił głową. – Niekoniecznie. – Przerwał i zamyślił się. – Całkiem możliwe, że mi to umknęło. – Jego zielone oczy wpatrzone były prosto w nią. – Każdemu mogło umknąć, Jo. To bardzo drobny ślad, niemal mikroskopijny. Oprócz widocznych śladów morderstwa szukałem naturalnej przyczyny zgonu, a potem oznak zatrucia i wreszcie samobójstwa. Oznaki samobójstwa łatwo zauważyć. Strzykawka na pewno leżałaby gdzieś na podłodze czy na łóżku, razem z fiolką. Ślad prawie zawsze znajduje się na ręce, czasami na nodze, ale rzadko. Ślad, którego szukamy, będzie niewidoczny... ukryty w fałdach skóry, między palcami, może nawet gdzieś we włosach. Dopiero wtedy, gdy przypomniałem sobie o tym artykule, wszystko zaczęło układać się w jedną całość. – Popatrzył na nią. – Pamiętasz, jak mówiłem, że ona się pociła?

Skinęła głową. – Tak.

– To mógł być skutek wstrzyknięcia insuliny. – Zmarszczył brwi, wyraźnie przejęty. – Po nim po prostu straciła przytomność i zmarła. Nie było żadnych oznak cierpienia, prawda?

Joanna pokręciła głową.

– A więc wszystko idealnie pasuje – podsumował Matthew. – Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej. Sama rozumiesz, że w laboratorium kryminalistyki nic by nie znaleźli. Insulina to przecież powszechnie stosowany środek. Nawet nie przyszłoby im do głowy, żeby jej szukać.

Ale Joanna pokręciła głową. – To się nie sprawdzi – uznała. – Leżała na łóżku i jakby nigdy nic pozwoliła sobie wstrzyknąć insulinę?

– Bo była nawalona – wyjaśnił Matthew – albo co najmniej bardzo senna.

Pamiętaj, że piła szampana, połknęła środki nasenne, założyła nową, seksowną bieliznę, wyciągnęła się wygodnie na łóżku i rozmyślała o niebieskich migdałach.

139

– Matthew... Ale po co brałaby środki nasenne, skoro czekała ją namiętna noc? Nie wydaje mi się, żeby to te kapsułki...

– Myślałem już o tym – przerwał jej. – Przecież kapsułkę łatwo otworzyć.

Zamachał rękoma. – Do kapsułki można wsypać nawet trutkę na szczury. W rzeczywistości tamta kapsułka zawierała skrupulatnie odmierzoną dawkę luminalu. Dziś otrzymałem wyniki analizy. Dzwonili z laboratorium i pytali, czy chorowała na padaczkę. Więc zadzwoniłem do Sammy'ego Bose'a. Okazało się, że nie. A jednak w jej krwi wykryli obecność luminalu. Nie była to śmiertelna dawka, ale wystarczająco duża, by podziałać na nią usypiająco. Dawka lecznicza dla epileptyczki, a ona nawet nią nie była.

– Ale po co brała ten lek? – dziwiła się Joanna. – I skąd miała taką kapsułkę w innym kolorze?

Matthew westchnął. – Daleki jestem od tego, żeby mówić ci, co masz robić – odparł. – Zresztą to tylko przypuszczenia. Zastanawiałem się tylko, czy przypadkiem nie pomyślała, że to jakiś afrodyzjak. – Przerwał. – Nie zapominaj, że ją znałem. Wprawdzie nie za dobrze, ale na tyle, by zauważyć, że była niesamowicie łatwowierna. I żyła w świecie fantazji. To byłoby bardzo typowe dla Marilyn, gdyby uwierzyła, jeśli ktoś, od kogo dostała tę kapsułkę, zapewnił ją, że to afrodyzjak.

– I taka osoba szantażowała tych wszystkich ludzi?

– Nie udałoby się jej to nigdzie indziej, tylko tu: w małej, zapadłej mieścinie na odludziu – stwierdził Matthew ponurym tonem. – Miejscowi ludzie bardzo dbają o swoją reputację. Niech by spróbowała swego szantażu gdzie indziej, a kazaliby jej się wypchać.

Podniosła na niego wzrok. – Czyli ona rzeczywiście czekała na kochanka, a przynajmniej tak się jej zdawało. Tymczasem na spotkanie przyszedł ktoś inny. Skinął głową. – Myślę, że tak.

– No i okazuje się, że ten kochanek wcale nie był kochankiem – dodała. – Bo nawet nie doszło między nimi do stosunku.

Siedział wyczekująco.

– On ją zabił. – Joanna zamknęła oczy i wyobraziła sobie tę scenę w całej swej obrazowości i okrucieństwie. – Leżała tam, na wpół świadoma, ubrana w... tę czarną, koronkową bieliznę... i czekała na kogoś. A on przyszedł i zamordował ją.

140

– Pewnie nawet się nie zorientowała, bo w chwili śmierci była upojona szczęściem.

– Wierzysz w to, Matthew? Miał speszoną minę.

– A obejrzałeś zwłoki jeszcze raz? – spytała.

– Nie zdążyłem – odparł. – Ostatnio musiałem być w Londynie. Zresztą – dorzucił – chciałem, żebyś ty przy tym była. – Zawahał się, zażenowany. – To twoja pierwsza sprawa, odkąd awansowałaś na stanowisko inspektora. A ja zataiłem fakty. Powinienem być powiedzieć ci, że ją znałem.

Wyglądała na zaniepokojoną. – Mam nadzieję, że to nic złego dla śledztwa.

Nachylił się i pocałował ją niewinnie w policzek. – Ubierz się – powiedział. – Pojedziemy ją obejrzeć.

Ubierając się na piętrze, usłyszała dzwonek telefonu. Zakłęła, kiedy Matthew podniósł słuchawkę, a jeszcze głośniejsze, gdy usłyszała, jak mówi: – Jest na górze, ubiera się. – Założyła sweter i odebrała telefon na piętrze.

Mikę był jeszcze bardziej rozdrażniony niż przedtem. – Pomyślałem sobie, że pani inspektor powinna się o tym dowiedzieć – odezwał się sarkastycznie. –

Znaleźliśmy w ogrodzie zakopany męski płaszcz.

Pospiesznie wśliznęła ręce w rękawy, przytrzymując słuchawkę podbródkiem. – W którym miejscu?

– Przy drzwiach balkonowych. Leżał-tam od ładnych paru lat – dodał. –

Włożyliśmy go do worka i odesłaliśmy do kryminalistyki.

– Nie było na nim żadnego nazwiska?

– Nie.

– No dobrze. I skończyliście już?

– Dzwonię z komendy. Reszta poszła już do domu. Ja też zaraz idę. Pomyślałem sobie tylko, że zadzwonię i spytam, jak ci idzie. – Jego głos był pełen surowej dezaprobaty.

– Zaraz jadę do kostnicy – odparła. – Doktor Levin twierdzi, że zna chyba przyczynę śmierci.

Mikę chrząknął tylko.

– W takim razie do zobaczenia jutro rano, Mikę. Matthew czekał na dole przy schodach.

– Niepotrzebnie odebrałaś ten telefon – fuknęła. Zrobił obrażoną minę. – Przecież nie robiliśmy nic złego.

141

Zarumieniła się, a on ukazał zęby w szerokim uśmiechu, co nadało mu nieco zadziorny i swobodny wyraz twarzy.

– Twój Tarzan jest zazdrosny, co?

– Och, daj spokój – odburknęła, czując nagły przypływ złości na jednego i drugiego. – Jedźmy już do tej cholernej kostnicy...

13

Milczała, gdy wkładali na siebie zielone fartuchy, rękawice i maski. Pomocnik przywiózł zwłoki na wózku i Joanna przygotowała się na okropny widok.

Matthew rzucił jej pytające spojrzenie. – Wytrzymasz to, Jo?

Uśmiechnęła się. – Jasne, Mat – odparła. Jednak w duchu drżała ze strachu.

Pośmiertne badania nie należały do przyjemnych, poza tym od śmierci Marilyn minął już prawie tydzień.

Poklepał ją po ramieniu. – Wybacz – rzekł. – W końcu sam cię tu przywlokłem, nie?

– A gdzie miałabym być, jeśli nie tu? – odparła stanowczym tonem. – Ja prowadzę to śledztwo. Tu jest moje miejsce. I jeśli to było zabójstwo, muszę wiedzieć, kto to zrobił.

Posłał jej serdeczny uśmiech, ale nic nie odpowiedział. Ściągnął tylko płachtę ze zsiniałych już zwłok i przyglądał się im przez chwilę. – W chwili śmierci – powiedziała – myślała pewnie o przyszłości pełnej spełnionych obietnic i nadziei, zatopiona w marzeniach, owiana zapachem perfum, upojona szampanem i odurzona luminalem.

– Zastanawiam się... – zaczęła, usiłując opanować uczucie mdłości i obrzydzenia.

Zamrugał oczami.

– Czy to rzeczywiście morderstwo, Matthew? Bo jeśli tak – dodała – to zabójca może popełnić kolejną zbrodnię. A sprytny zabójca robi to na pewno, i to bardzo sprytnie.

Pocięta narzędziami anatomopatologa, pozbawiona wnętrzości i niedbale pozszywana Marilyn Smith stanowiła iście odrażający widok.

Joannie zrobiło się niedobrze i słabo. Oparła się o ścianę. – Jakoś trudno mi się do tego przyzwyczaić – przyznała.

142

Matthew zaśmiał się i podał jej dużą lupę.

– Zajmij się czymś -- poradził. – To skuteczna metoda. Pomóż mi przy oględzinach. Zapomnij o tym, że to ludzkie ciało, i potraktuj to jak eksperyment naukowy. Skoncentruj się na mniej widocznych miejscach w fałdach skóry, między palcami u nóg, pod biustem. Przypomnij sobie, co czytałaś w artykule.

Patrząc na tę bezbarwną masę, trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś tętniło w niej życie, że była myślącym, aktywnym, ruchliwym człowiekiem, a do tego na tyle złośliwym, by zrujnować życie tylu ludziom. Joanna zerknęła w stronę Matthew i zdała sobie sprawę, że Marilyn zniszczyła także to, co łączyło ich dwoje. Po tamtym feralnym wieczorze w restauracji musieli przestać się spotykać.

Znów poczuła, że lada chwila dostanie mdłości. Myślała, że upadnie, gdy nagle jego dłonie spoczęły na jej ramionach.

– Jo! Masz szczęście, że wyrozumiały ze mnie patolog. – Spojrzał na nią, rozbawiony. – Aż strach pomyśleć, co by powiedzieli twoi koledzy macho z pracy, gdyby zobaczyli, jak tu mdlejesz. – Cmoknął. – Do diabła, co by na to powiedział ten twój Tarzan?

Zaśmiała się. – Proszę cię, Matthew, zostaw go w spokoju. – Nagle przypomniała sobie rozmowę z Mikiem przez telefon i zaczęła chichotać. – Co też on sobie już pomyślał?

Oczy Matthew płonęły uczuciem, gdy na nią patrzył. Uniósł tylko brwi i nic nie odpowiedział.

Skupiła się na swoim zadaniu.

– Sprawdź za uchem – instruuwał ją – na linii włosów, szukaj zgrubień i guzków... Zajrzyj między palce i w zmarszczki.

– Siermiężnie ją pozszywałeś.

– Nie jestem chirurgiem plastycznym – odparł. – Ta kobieta przynajmniej nie poda mnie do sądu, a przede wszystkim, Jo, ona nigdy nie złoży reklamacji. Te nacięcia nigdy by się nie zagoiły, choćbym nie wiem jak starannie je pozszywał. Joanna przełknęła ślinę. – Chyba zaraz wymiotuję – jęknęła.

Ale Matthew był niewzruszony. – W takim razie wyjdź.

Spojrzała na niego bezradnie, po czym wymiotowała do umywalki. – Nigdy się nie przyzwyczaję do widoku sekcji zwłok – żaliła się, gdy mdłości minęły, i obmyła twarz zimną wodą. – Ten wstrętny zapach środków dezynfekujących... – Podniosła wzrok. – Pewnie od tego tak mnie zemdliło. Mogliby tu używać odświeżaczy powietrza...

143

— Mam – przerwał jej Matthew. – Klasyczny przykład ukrywania śladów na ciele, znany wśród studentów medycyny: między palcami u nóg, substancja wstrzyknięta w kierunku nasady stopy. – Wyprostował się. – Sprytnie – podsumował. – Bardzo sprytnie.

Przysunął lupę bliżej do prawej stopy Marilyn i skierował snop światła lampy na drobne nakłucie, wciąż oznaczone punkcikiem zaschniętej krwi między drugim a trzecim palcem u nogi. Przyjrżeli się uważnie i dostrzegli, że stopa była lekko opuchnięta u nasady.

– Sprytnie – powtórzył szeptem. – Bardzo sprytnie. – Poszedł na drugi koniec

sali po aparat i trójnóg i ustawił ostrość obiektywu. Następnie spojrzął na Joannę. – Czy mogłabyś rozchylić palce? – spytał. – I rozłóż zielony ręcznik; posłuży za idealne tło – wyjaśnił.

Stanęła obok, a Matthew nacisnął spust migawki. Jej twarz wyrażała sprzeczne emocje, które wzbierały w niej jak burza na niebie. A więc od początku miała rację. To rzeczywiście morderstwo. Myśli kłębiły jej się w głowie.

– Matthew – odezwała się łagodnie. – Tu potrzeba było wiedzy medycznej, prawda? Ktoś musiał mieć dostęp do leków i pewnie nawet czytał ten artykuł... i bez trudu zdobył strzykawkę...

– To wcale nie takie trudne.

– A jednak w jej sypialni nie było strzykawek – zauważyła. – Marilyn sama by sobie tego nie wstrzyknęła, zwłaszcza w takim miejscu na stopie.

Jej oczy napotkały poważne spojrzenie Matthew. – A więc jednak to było morderstwo – orzekła spokojnie. – Ona została zamordowana.

Skinął głową. – Zgadza się.

Obserwowała, jak Matthew wyjmuje z szuflady skalpel i wycina tkankę otaczającą nakłucie. – Jeśli się nie mylę – powiedział, wkładając materiał do probówki – powinna zawierać insulinę.

Joanna usiadła w kącie sali i wyjęła notes. Krąg podejrzanych zacieśniał się... W tym przypadku Evelyn raczej odpada?

Jonah Wilson... Siedząc, Joanna rozmyślała o tym małomównym lekarzu. Jakoś trudno jej było uwierzyć, że mógłby zwodzić Marilyn, proponować jej afrodyzjak, a potem dostać się ukradkiem do jej domu, by ją zamordować. Bądź co bądź, idealnie się do tego nadawał: żonaty, codziennie widywał ją w pracy, ona zaś miała obsesję na jego punkcie, a jednak... Joanna pokręciła głową. Nie, to nie on jest zabójcą.

144

y

– Mam – przerwał jej Matthew. – Klasyczny przykład ukrywania śladów na ciele, znany wśród studentów medycyny: między palcami u nóg, substancja wstrzyknięta w kierunku nasady stopy. – Wyprostował się. – Sprytnie – podsumował. – Bardzo sprytnie.

Przysunął lupę bliżej do prawej stopy Marilyn i skierował snop światła lampy na drobne nakłucie, wciąż naznaczone punkcikiem zaschniętej krwi między drugim a trzecim palcem u nogi. Przyjrzeni się uważnie i dostrzegli, że stopa była lekko opuchnięta u nasady.

– Sprytnie – powtórzył szeptem. – Bardzo sprytnie. – Poszedł na drugi koniec sali po aparat i trójnóg i ustawił ostrość obiektywu. Następnie spojrzął na Joannę. – Czy mogłabyś rozchylić palce? – spytał. – I rozłóż zielony ręcznik; posłuży za idealne tło – wyjaśnił.

Stanęła obok, a Matthew nacisnął spust migawki. Jej twarz wyrażała sprzeczne emocje, które wzbierały w niej jak burza na niebie. A więc od początku miała rację. To rzeczywiście morderstwo. Myśli kłębiły jej się w głowie.

– Matthew – odezwała się łagodnie. – Tu potrzeba było wiedzy medycznej, prawda? Ktoś musiał mieć dostęp do leków i pewnie nawet czytał ten artykuł... i bez trudu zdobył strzykawkę...

– To wcale nie takie trudne.

– A jednak w jej sypialni nie było strzykawek – zauważyła. – Marilyn sama by sobie tego nie wstrzyknęła, zwłaszcza w takim miejscu na stopie.

Jej oczy napotkały poważne spojrzenie Matthew. – A więc jednak to było morderstwo – orzekła spokojnie. – Ona została zamordowana.

Skinął głową. – Zgadza się.

Obserwowała, jak Matthew wyjmuje z szuflady skalpel i wycina tkankę otaczającą nakłucie. – Jeśli się nie mylę – powiedział, wkładając materiał do probówki – powinna zawierać insulinę.

Joanna usiadła w kącie sali i wyjęła notes. Krąg podejrzanych zacieśniał się... W tym przypadku Evelyn raczej odpada?

Jonah Wilson... Siedząc, Joanna rozmyślała o tym małomównym lekarzu. Jakoś trudno jej było uwierzyć, że mógłby zwodzić Marilyn, proponować jej afrodyzjak, a potem dostać się ukradkiem do jej domu, by ją zamordować. Bądź co bądź, idealnie się do tego nadawał: żonaty, codziennie widywał ją w pracy, ona zaś miała obsesję na jego punkcie, a jednak... Joanna pokręciła głową. Nie, to nie on jest zabójcą.

144

A Paul Haddon...? Spojrzała na Matthew. – Co przedsiębiorca pogrzebowy może wiedzieć o medycynie?
Wzruszył ramionami. – Trudno powiedzieć. Zna pewnie podstawy... – Jego oczy napotkały jej wzrok. – Paul to mój dobry znajomy
– dodał powoli.
– Jakoś dziwnie się składa, że wszyscy podejrzani to twoi „dobrzy znajomi”, Matthew – zauważyła sarkastycznie.
Zarumienił się. – Może powinienem był ci powiedzieć... Studiowałem razem z Pauliem i Jonahem, tylko że Paul odszedł zaraz po pierwszym roku.
Joanna siedziała wyczekująco.
– Wylali go – wyjaśnił Matthew. Milczała dalej, wpatrzona w niego.
– Pewnie to wszystko plotki – dodał, zażenowany. – Ale podobno któregoś dnia coś się wydarzyło w sali sekcyjnej.
– Co takiego?
– O rany... – Matthew przeczesał palcami włosy. – Tak naprawdę to nie wiem – odparł. – Nie jestem pewien...
– Co to było? – dociekała.
– Ktoś twierdził, że... – zaczął, przeciągając sylaby – że on się tam masturbował.
Joannie zrobiło się niedobrze. – A ty siedziałeś cicho, kiedy on otworzył swój własny zakład pogrzebowy? Teraz on milczał.
– Na Boga, Matthew – ciągnęła. – Twoja lojalność wobec przyjaciół chwyta mnie za serce. – Przerwała, by pomyśleć przez chwilę.
– A więc Paul Haddon ma dziwne upodobania, jeśli chodzi o umarłych
– podsumowała. – I zna podstawy medycyny. Zgadza się?
Miał żalowaną minę. – Sporo ludzi wie coś niecoś o insulinie.
– Ale niewielu ma do niej dostęp – zauważyła. – Jak myślisz, ilu z nich czytało ten artykuł?
– Nawet nie musieli go czytać – zaprotestował.
– Zgoda, ale tam jest coś w rodzaju instrukcji zabijania człowieka bez ryzyka wykrycia przyczyny śmierci. Matthew, przecież oni nawet określają dawkę.
Wzruszył ramionami. – Posłuchaj, Jo – odezwał się, zakłopotany.
– Błagam cię. Nie każ mi wskazywać winnych. Podpowiedziałem ci
----- 145 -----
już, w jaki sposób ją zabito. To wszystko, co wiem. Naprawdę. Nie mam pojęcia, kto to zrobił.
Zacisnęła wargi. – Zawsze się dziwię – orzekła powoli – dlaczego tylu ludzi zaklina się, nadużywając słowa „naprawdę”, choć z prawdą mają niewiele wspólnego...
Siedziała spokojnie, obserwując, jak Matthew porządkuje salę z pomocą asystenta, a potem wypełnia formularze.
Zerknęła na zegarek. Była dziesiąta.
Podszedł do niej: – Och, daj już spokój, Jo – powiedział. – Pewnie jesteś wykończona. Chodź, postawię ci drinka.
Pokręciła głową. – Jedź lepiej do domu, Matthew. Do żony i córki.
I wyszła, zostawiając go samego.
Niech pani siądzie.
Nadinspektor Arthur Colclough był tego ranka w dość dobrym nastroju, którego nie zdołał mu popsuć nawet pracujący weekend. Twarz rozpromieniła mu się jeszcze bardziej, gdy Joanna przedstawiła mu wyniki badań przeprowadzonych zeszłego wieczoru w kostnicy.
– Sprytne – przyznał łagodnym tonem. – Ci piekielni zabójcy z dnia na dzień mają coraz to lepsze pomysły...
Przyglądała mu się ostrożnie.
– Ale pani chyba sobie poradzi?
Skinęła głową. – Skontaktuję się z panem jeszcze dziś, gdyby okazało się, że ten ślad prowadzi donikąd.
Oczy mu zabłyśły. – Ma pani jakieś sugestie?
– O tak.
Szybko wstał z miejsca. – W takim razie, pani inspektor, chyba nie powinienem pani dłużej zatrzymywać.
Mike... – wezwała go do swego biura. – Usiądź – poprosiła i przedstawiła mu wyniki badań z zeszłego wieczoru.
– No i miałaś rację – przyznał. – To rzeczywiście morderstwo. – Po czym wyraził

głośno tę samą myśl, która dręczyła Joannę przez całą noc, spędzając sen z oczu.
– I wydaje mi się, że to Wilson.
Spojrzała na niego, niezadowolona. – Jest pierwszy na liście podejrzanych –
oznajmiła.

Mike zasępił się. – A mamy jeszcze jakichś podejrzanych? Nie wyobrażam sobie,
żeby Evelyn Shiers mogła to zrobić.

----- 146 -----

– Jest jeszcze coś – odparła. – Haddon przez rok studiował medycynę, a potem
odszedł z uczelni. – Wzruszyła ramionami, celowo pomijając temat znajomości
Matthew z denatką. – Spróbuj skontaktować się z dziekanem tej uczelni –
poleciała. – I wyciągnij od niego jakieś szczegóły na temat Haddona.

– A co ze znalezionym płaszczem?

– Chodźmy go obejrzyć.

To był dobry płaszcz marki Burberry z popielatej gabardyny, ale teraz
przypominał przegniły łachman. Cuchnął stęchlizną i ziemią. Joanna podniosła go
i przeszukała kieszenie. Jedna była pusta. Sięgnęła do drugiej i wyjęła klucz.
Zerknęła na Mike'a. – Pasuje do zamka w drzwiach domu pani Shiers?

Ale Mike wymamrotał tylko: – Nawet go nie zauważyłem.

Podala mu klucz. – Więc wybierz się tam dziś znowu – nakazała – i sprawdź. Aha,
Mike – dorzuciła. – I spytaj panią Shiers, czy była kiedyś pielęgniarka.

Mike rzucił jej znaczące spojrzenie. – Niezły pomysł. Uparłaś się. Gratuluję.
Chyba powinienem się cieszyć, że założyłem się tylko o dziesięć funtów.

Uśmiechnęła się. – Gram ostrożnie, Mike – odparła. – I dzięki temu wiele nie
straciłeś. – Siedziała jeszcze przez chwilę, po czym wstała i wyjrzała przez
okno. – Ale wierz mi, dla mnie to żadna satysfakcja. To była wredna żołą. –
Nagle ogarnął ją silny gniew i to samo uczucie palącego wstydu, co tamtej nocy w
hotelu. – I jeśli zrobił to doktor Wilson – dodała cicho – to i tak lepszy z
niego człowiek niż ona.

Znów zamilkła, a po chwili spytała: – Mike... W zakładach pogrzebowych do
balsamowania zwłok używa się strzykawek, prawda?

– Do ćpania też – zauważył. – O, jasny gwint. Prawie bym zapomniał. A propos
ćpania: ktoś tu do ciebie dzwonił.

– Kto?

Zerknął na biurko, gdzie przy telefonie leżała kartka z zapisaną wiadomością. –
Jakaś Patty – oznajmił. – Patty Brownlow. Spojrzała na niego niewyraźnym
wzrokiem.

– Powiedziała, że pracuje w sklepie z antykami. Mówiła, że ma coś do
przekazania.

– A czy wy nadal macie Grenville'a Machina na oku?

– Oczywiście.

147

– A ona zostawiła jakiś numer?

Podał jej go, oddzwoniła, ale nikt nie odbierał. Odłożyła słuchawkę. – No to
jedźmy porozmawiać z doktorem Wilsonem, co?

Joanna rozejrzała się po poczekalni, ogarniając wzrokiem siedzących w kolejce
starszych, schorowanych, niedołączonych, smutnych ludzi... Wszyscy pokładali
nadzieję w doktorze. Joanna była świadoma ich ciekawych spojrzeń na widok dwójga
funkcjonariuszy. Myśli kłębiły się w jej głowie. Jak to możliwe, żeby ten
człowiek dźwigał na swoich barkach taki ciężar obowiązków i po tym wszystkim
wracał do domu, do chorej żony? A do tego jeszcze z zimną krwią miał zamordować
kobietę, która wyobrażała sobie, że będzie się z nią kochał? Coś tu nie gra.
Zmarszczyła czoło i spojrzała na Mike'a. – Robimy błąd – szepnęła. – To pomyłka.
To na pewno nie on.

Mike wygiął palce, aż mu kości trzasnęły. Rozległ się odgłos, który przypominał
strzał z pistoletu, i kilku pacjentów szybko podniosło głowy. Przysunął się do
niej i szepnął: – Jesteś panią inspektor, nie trać wiary w siebie. Przesłuchamy
go tylko. Na wszelki wypadek.

Zadzwieczał dzwonek. Kolejny pacjent wstał, powiesił swój numer na tablicy i
powłóczył krokiem przeszedł przez drzwi do gabinetu.

Joanna spojrzała na Mike'a. Jakież dziecko zaniósł się płaczem. – Ty
aresztowałeś już kiedyś lekarza? – spytała.

Uśmiechnął się szeroko. – Za jazdę po pijanemu – odparł.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut, aż drzwi gabinetu otworzyły się. Jonah
Wilson szedł w ich kierunku. Joanna obserwowała go. Zmienił się niemal nie do

poznania.

Uśmiechnął się do niej zmęczonymi życiem oczami, zaczerwienionymi od niewyspania. – Pani inspektor – odezwał się z ulgą. – Cieszę się, że panią widzę.

– Zajmiemy panu tylko chwilę, panie doktorze – odparła. – Rozumiem, że ma pan wielu pacjentów. Zadamy panu tylko kilka pytań.

Zaczekała, aż usiedli w jego gabinecie, i dopiero wtedy kontynuowała. – Marilyn została zamordowana – oznajmiła bez ogródek i czekała na jego reakcję.

Popatrzył na nią smutnym wzrokiem, przygarbiony i zmizerniały. – Tak jak podejrzewałem – odrzekł.

----- 148 -----

/

Obserwując go, Joanna uświadomiła sobie, że skoro studiował razem z Matthewem, obaj muszą być w mniej więcej tym samym wieku, choć Jonah wyglądał na starszego o kilka lat.

– Czy wiecie już, dlaczego została zamordowana? – spytał ostrożnie.

Joanna skinęła głową. – Podejrzewamy, że powodem był szantaż

– wyjaśniła. – Wiadomo już, że na jej książeczkę mieszkaniową wpływały znaczące kwoty, dużo większe, niż pensja pielęgniarki.

Lekarz odetchnął ciężko. – Czy wiecie, kto to był? – spytał. – Kogo szantażowała?

– Kilka osób – odparła Joanna, po czym wzięła głęboki oddech.

– Pana też szantażowała, prawda, panie doktorze?

Wyczytała to na jego twarzy. Tego właśnie się obawiał. Z trudem przełknął ślinę.

– Tak – odparł szeptem.

Mike zrobił krok naprzód. – Opowie nam pan, dlaczego? Chce pan to z siebie zrzucić?

Jonah spuścił oczy i bładził wzrokiem po gabinecie. – Chodziło o sprawę czysto zawodową – odparł. – Błąd w sztuce lekarskiej.

Joanna zerknęła na Mike'a, który niemal niedostrzegalnie skinął tylko głową. Oboje wiedzieli, że Jonah Wilson nie mówi prawdy... albo przynajmniej coś ukrywa.

– Pacjent zmarł – dodał lekarz.

Spojrzała wyczekująco. – Potrzebne nam będą szczegóły, panie doktorze.

Jonah kiwnął głową. – Tak, oczywiście.

– Skąd Marilyn o tym wiedziała? – spytał Mike od niechcenia.

– Dostała się gdzieś do dokumentów.

– Panie doktorze – zaczął Mike surowym, groźnym tonem. Lekarz wyraźnie się skulił. Wpatrywał się w Mike'a błagalnym wzrokiem.

– To pan miał przyjść do niej tamtego wieczoru, prawda?

Jonah Wilson podskoczył. – Nie! – krzyknął. – Nie. To nie ja. Przysięgam.

Najgorsze było to, że Joanna mu wierzyła. – I to wszystko, co może pan nam powiedzieć?

Jonah przytaknął.

Wtedy zastosowała inną taktykę. – A co mi pan powie na temat Paula Haddona?

149

Lekarz wyraźnie stracił czujność. – To przedsiębiorca pogrzebowy

– odrzekł.

– Tyle już wiemy. – Głos Mike'a przybrał niemiły ton.

– Jest dobry w swoim fachu.

– I często przychodził tu do Marilyn.

– Nawet nie wiedziałem.

– Czy między nimi coś było?

Tym razem lekarz nie miał żadnych wątpliwości. – Nie – odrzekł.

– Nie. Jestem pewien, że nie. – Przerwał. – Właściwie to chyba nawet nie bardzo się lubili.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– No, nie wiem... Nie wiem.

Zapadło długie milczenie, po czym Jonah spytał bojaźliwym głosem: – A jak... jak ona zmarła?

Joanna spojrzała na niego. Drżał na całym ciele. – Podejrzewamy, że zmarła wskutek przedawkowania insuliny. Czekamy na wyniki badań z laboratorium.

Lekarz podniósł wzrok. – Ale przecież... – zająknął się.

– Lek wstrzyknięto naumyślnie – wtrącił Mikę, a ton jego głosu był o wiele surowszy niż Joanny.

Zauważyła, że gdy lekarz odwracał się do niej, w jego oczach przemknął cień strachu.

– O Boże, nie... –jęknął. – Nie. – Wzdrygnął się. – To okropne.

– Czy tu, w gabinecie, trzyma pan insulinę? Joanna wyczuła w głosie Mike'a ton oskarżenia.

– Tak. Pewnie większość lekarzy ma u siebie w gabinecie zapas insuliny. Stosuje się ją na ogół w przypadkach śpiączki cukrzycowej.

– I gdzie pan ją przechowuje?

– Część w lodówce, a kilka fiolek noszę w torbie. – Popatrzył na niego, potem na nią, aż wreszcie ukrył głowę w dłoniach. – Co za koszmar – szepnął.

– Czy chciałby pan powiedzieć coś jeszcze, panie doktorze? – Mikę mówił teraz bardzo spokojnie. – Może na komendzie?

Jonah Wilson utkwiał w niego wzrok. – Nie – jęknął. – Błagam. Kto się zaopiekuje wtedy Pamellą?

Joanna drgnęła. Na chwilę całkiem o niej zapomniała; dopiero teraz uświadomiła sobie, jak ważna jest Pamella.

150

Lekarz zrobił krótki wydech, jakby nie mógł dłużej wstrzymać powietrza. – Wiele osób miałooby ochotę zabić pielęgniarkę – odezwał się – która wykorzystuje poufne informacje o pacjentach, by zdobyć od nich pieniądze. To się nazywa wyłudzenie – dodał – i stanowi dobry powód do morderstwa.

– Ten, którego poszukujemy – odparł Mikę szorstkim tonem – nie tylko chciał ją zabić, ale udawał, że jej pożąda.

Lekarz zbladł.

– To prawda, niejeden na pewno chciał się jej pozbyć... Ale kto by jej pożywał? Takich podejrzanych musi być niewielu, prawda?

Joanna rozejrzała się po gabinecie. Rzeczywiście, był tam cały stos czasopism British Medical Journal. Jej wzrok napotkał spojrzenie Mike'a, które dało jej do zrozumienia, że on też zauważył ten stosik.

– Tamtej nocy około godziny dwudziestej trzeciej wezwano pana do chorego, tak? Jonah Wilson niewątpliwie wyczuł oskarżycielski ton głosu Mike'a.

– Tak, naprawdę zostałem wezwany do chorego. Możecie to sprawdzić.

– Już sprawdziliśmy – odparł Mikę.

Joanna wstała do wyjścia. – Dowiemy się, kto ją zabił, panie doktorze. W końcu wszystko wyjdzie na jaw. – Zawahała się, po czym zadała mu ostatnie pytanie. – Czy to dla pana Marilyn Smith kupiła tę nową bieliznę, panie doktorze? – dociekała. – Z nadzieją, że zwabi pana do swego łóżka?

Jonah zarumienił się. – Nie – odrzekł. – Przysięgam, że nie. Kocham żonę – wyznał szczerze. – I nigdy nie uważałem Marilyn za atrakcyjną. Dlatego nigdy nie skorzystałem z okazji – dodał.

– Naprawdę? – Mikę nie spuszczał z niego wzroku.

– Och... – Jonah miał taką minę, jakby żałował, że się odezwał. – Kiedyś zadurzyła się we mnie. To było parę lat temu. Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Ożeniłem się z Pamellą. – Podrapał się po głowie. – Ani razu nie pożałowałem tej decyzji, nawet wtedy, gdy moja żona zachorowała. I prawdę mówiąc – dodał – Marilyn budziła we mnie wstręt...

Patrzył zawstydzonym wzrokiem i Joanna dobrze wiedziała, że Marilyn byłaby zdolna zmienić życie tego wstydliwego człowieka w piekło.

151

Spojrzał na Joannę błagalnym wzrokiem. – Co mam zrobić, żeby was przekonać?

– Nie musi pan – odparła i ruszyła do wyjścia. – Ale na razie proszę nie planować żadnych wyjazdów za miasto, panie doktorze. Będzie nam pan potrzebny przy dalszych przesłuchaniach.

Lekarz pokiwał głową, zdradzając przebłysk ironicznego humoru. – Rozumiem, pani inspektor – odparł. – Nie wolno mi wyjeżdżać z miasta.

Ta wizyta w przychodni niewiele im dała.

Mikę wysilił się na entuzjastyczny uśmiech. – Na razie idzie nam całkiem nieźle – podsumował.

– A co sądzisz o tym wszystkim, Mikę?

Pogładził się po karku, zakłopotany. – Sam nie wiem – odparł. – Myślę podobnie

jak ty. Fakty się zgadzają. Wszystko tu pasuje oprócz niego. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby był zdolny do zabójstwa. To nie w jego stylu.

– Tak, ale nie wszyscy zabójcy podlegają pod te same kryteria psychologiczne – zauważyła. – Trzeba będzie potraktować go jako wyjątek. Bo jeśli nie on jest sprawcą, to kto?

I nagle, jakby pod wpływem jakiegoś impulsu, wyobraźnia podsunęła jej pewną wizję: długie, blade, kościste palce dotykające martwego ciała, nienaturalnie blada skóra, cienkie wargi, nieco lubieżne spojrzenie ciemnych oczu. Odruchowo dotknęła ramienia Mike'a. – Jedziesz ze mną – rzuciła.

– Ale dokąd?

– Do zakładu pogrzebowego.

Cztery lśniące, czarne limuzyny stały zaparkowane w rzędzie. Wszystkie były puste, karawan też. Joanna podeszła do oszklonych drzwi, czując niepokój, który wywoływał u niej mdłości, mimo że Mike stał blisko i był na wyciągnięcie ręki. Oboje bez słowa pchnęli te drzwi.

W środku było cicho i pusto. Weszli dalej, bez pukania, i przeszli powoli po grubym dywanie w stronę kaplicy, skąd wyraźnie słychać było jakieś odgłosy – coś jakby rytmiczne, zmysłowe sapanie...

Jak to określili dziekan uczelni...? „Czyn lubieżny z wykorzystaniem zwłok przeznaczonych do celów naukowych”. Zemdziło ją z przerażenia, bo wiedziała już, jaki zastaną widok. Spojrzała bezradnie na Mike'a. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że jeszcze nie zorientował się,

152

O co chodzi. W przeciwieństwie do niej, nie wiedział jeszcze wszystkiego. Drzwi do kaplicy wykonano z grubego, dębowego drewna i ozdobiono przedzieloną na pół szybą ze szkła butelkowego, przez którą widać było ciemny zarys sylwetki poruszającej się raz po raz w górę

i w dół. Wśród dobiegających zza drzwi odgłosów usłyszeli krzyki i jęki. I wtedy pchnięciem otworzyli drzwi.

Zerwał się, posiwiały, z chorobliwie bladą twarzą. Jego wilgotny, sprośnie zaróżowiony członek stanowił jedyny barwny kontrast na tle pomieszczenia, nie licząc jasnych kolorów rozstawionych po całej kaplicy bukietów kwiatów żałobnych.

– O Boże... – Twarz Mike'a pobladła z zaskoczenia, gdy wzrok jego padł na woskowe oblicze leżącego tam nieboszczyka.

Paul Haddon usiłował podciągnąć spodnie. Patrząc szeroko otwartymi oczami, zaczął się trząść, aż nagle opadł na schody przy ołtarzu i zaniósł się przenikliwym, spazmatycznym szlochem.

14

Telefon rozdzwonił się, gdy tylko Joanna weszła do biura. Podniosła słuchawkę, ale nazwisko, które usłyszała, niewiele jej mówiło. Wciąż miała w głowie natłok myśli po wydarzeniach zeszłego dnia.

– Patty Brownlow – powtórzył głos w słuchawce. – Ze sklepu z antykami.

– Proszę wybaczyć – odparła Joanna przepraszająco. – Oczywiście, pamiętam panią. W czym mogę pomóc? – Bezgłośnym ruchem warg przekazała nazwisko dziewczyny Mike'owi przez otwarte drzwi.

– Pani mi w niczym nie pomoże... – W głosie dziewczyny brzmiała irytacja.

– Więc o co chodzi...?

– Ale ja mogę pomóc pani. Niech pani posłucha, nie mam zamiaru wylądować w pudle. On wprawdzie się o tym dowie, ale i tak mogę wam pomóc go przymknąć.

Mike stanął przy Joannie tak blisko, że czuła na szyi jego oddech, gdy usiłował nasłuchiwać.

153

– Czy chodzi o tę pielęgniarkę?

– Nie... – rzuciła dziewczyna, zniecierpliwiona. – Ale on ją dobrze znał. Dawał jej forszę. I pewnie nawet miał ochotę skrócić tej wiedźmie kark. Widziała pani te wszystkie cacka u niej w domu? Nie wydała na nie złamanego grosza.

Przychodziła tylko do sklepu jakby nigdy nic... i wybierała sobie, co chciała.

– Jak to?

– Bo wywachała coś... czego nie powinna była wiedzieć.

– Wywachała? Jak?

– Nie wiem, czy mam pani o tym mówić, czy nie, ale ona wiedziała bardzo dużo o starym Grenie. Wystarczająco dużo, żeby wsadzić go do mamra na dożywocie. Wie

pani, że ona była kiedyś w Hiszpanii?

Joanna pokręciła głową. – Nie, ale co to ma wspólnego z...

– Lalka – syknął jej Mikę do ucha. – Od flamenco. W sypialni – dodał.

Joanna przypomniała sobie, że stała tam lalka wysokości ponad metra, z pochylonymi plecami i wyciągniętymi rękami, w falbaniastej sukni koloru wściekłego rózu i w czarnej mantylce. Pokiwała głową. – Patty – odezwała się – co ma do tego jej wyjazd do Hiszpanii?

– O tym opowiem pani kiedyś przy okazji. A teraz chce pani usłyszeć, co mam do przekazania, czy nie?

Joanna westchnęła. Nie chciała odbiegać od głównego tematu śledztwa, zwłaszcza teraz, gdy była tak blisko celu. – Aleja prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa.

Mikę spojrział gniewnie i zacisnął szczęki. Wielką, niezdarną dłoń ścisnął w pięść. Joanna wyczuła, że miał ochotę trzasnąć nią w biurko. – Na Boga – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Nic o tym nie wiem – twierdziła nieustępliwie dziewczyna. – Wiem tylko, że to nie on ją zabił.

– A skąd ta pewność?

– Bo tamtą noc spędził ze mną, do diabła.

– Więc co takiego chciała mi pani powiedzieć? – spytała Joanna znużonym głosem. Dziewczyna prychnęła pogardliwie. – Czy dzisiejsi gliniarze nie chcą już wsadzać nikogo za kratki? Czy nie zauważyliście, że ktoś pod-pieprza wszystkie figurki z porcelany Doulton, które znajdują się w promieniu pięćdziesięciu kilometrów? Nie widzicie, u diabła, że kokę i heroinę można tu kupić taniej niż w Kolumbii?

154

Wtedy Joanna zdała sobie sprawę, że nie wolno jej lekceważyć słów Patty. – Więc co dokładnie pani wie? – spytała chłodno.

Dziewczyna zaśmiała się ironicznie. – Wiem cholernie dużo – odparła.

Chcąc koniecznie usłyszeć, co mówi głos w słuchawce, Mikę dosłownie opierał się o Joannę. Przesunęła się, poirytowana, i słuchała pogardliwych komentarzy Patty.

– Tylko niech pani nie udaje, że do tej pory nie wiedzieliście, że to on.

Mikę odetchnął wolno, z zadowoleniem.

– Niech pani posłucha, dzwonię, żeby o czymś wam powiedzieć. Musicie działać szybko. Dziś wieczorem przywożą towar. Jeśli teraz go nie złapiecie, nie wiem, kiedy będzie następna dostawa. Aha, i nie jedźcie do żadnego magazynu.

Zajrzyjcie na farmę Good Cow... do którejś z obór na zapleczu.

– Patty, przecież to pani facet. Dlaczego to pani robi?

– Hm... to już moja sprawa, nie wasza. Mam swoje powody. – Przerwała, po czym dodała: – Tylko błagam, nie spaprzcie tego. On jest coraz sprytniejszy. Towar przywożą gdzieś po północy. Wszystko jasne?

Rozłączyła się, a oczy Joanny napotkały wzrok Mike'a. Nie potrafił ukryć radości. – Cholera, to coś wspaniałego – powiedział, zacierając dłonie. – Cieszę się jak głupi!

– Posłuchaj... – odezwała się, zakłopotana. – Moje śledztwo w sprawie morderstwa ma priorytet...

– Joanno, nie wolno ci lekceważyć takiej wskazówki. Po prostu nie wolno.

Przetarła czoło. – Mikę – odparła – jestem już prawie gotowa, żeby doprowadzić tę sprawę do końca. Przesłuchanie u koronera mam za dwa dni. A muszę jeszcze sporządzić raporty. – Uśmiechnęła się szeroko. – Już dobrze, Mikę – dodała. – Chciałam cię tylko trochę podrażnić. Ustalmy lepiej plan działania na dzisiejszy wieczór, co? Mamy mnóstwo roboty.

Wieczór był zimny i mżyło bez przerwy. Farma Good Cow znajdowała się przy spokojnej drodze, w nisko położonej części wrzosowiska. Dojazd prowadził wąskimi, wiejskimi drózkami. Tędy łatwo było się tam

155

dostać, jednak dwoje funkcjonariuszy musiało dotrzeć na farmę od strony ciągnących się za nią pól.

Joanna z Mikiem szli przez pola. Wyczuwała jego poruszenie, gdy zbliżyli się do dwóch ogromnych, przenośnych stodół.

– A ja myślałem, że to będzie ruina – szepnął Mikę. – Jakaś rodzina mieszkała tu trzy czy cztery lata temu. Wszyscy poumierali oprócz jednej staruszki, która wyjechała i zamieszkała u córki.

– Więc kto teraz zajmuje się gospodarstwem?

Mikę wzruszył ramionami. – Sąsiedzi. – Rozejrzał się po opustoszałym podwórzu. –

Strasznie tu cicho, u diabła – zauważył. – Chyba sobie z nas nie zażartowała, co?

Joanna wzdrygnęła się. – A skąd mam wiedzieć? Na razie to jest mi piekielnie zimno. – Przerwała. – Nie, to chyba nie był żart. Miałam wrażenie, że mówiła poważnie.

Zamilkli na dłuższą chwilę, po czym Mikę znów odezwał się szeptem.

– Już nie raz wpuszczano nas w maliny. Powiedziała, że niby o której?

– Po północy.

Joanna odezwała się cicho do krótkofalówki: – Nadal cisza...?

W radiu odezwały się trzaski, jakiś głos przytaknął. Nastawili się na dłuższe czekanie.

Przy drogach stały już wozy policyjne, ukryte za ogrodzeniami i na podjazdach...

Po okolicy rozstawiono ponad czterdziestu ludzi. Joanna chuchała w dłonie, żalując, że nie siedzi teraz w jednym z aut. Dlaczego, do diaska, zawsze się jej wydaje, że sama musi ruszać do akcji, jakby była jednym z tych twardzieli?

Gdzieś w pobliżu zahukała sowa, zawył lis. Wśród mroku dobiegło ją z oddali ujadanie psa. Przypomniała sobie o Benie. Jeszcze dalej słychać było stłumiony szum ulicznego ruchu. Bładawa aureola jasnego różu oświetlała niebo od strony miasta. Joannie zdawało się, że znajduje się gdzieś na końcu świata.

Wtedy Mikę odchrząknął. – Ile czasu nam to zajmie?

Uśmiechnęła się, rozbawiona jego zniecierpliwieniem. – Całą noc, Mikę – odparła szeptem.

Spostrzegła, że jego blada twarz odznacza się na tle ściany stodoły. Policja powinna brać przykład z gangsterów, pomyślała. Ubierać się

----- 156 -----

stosownie do okoliczności... w czarne kominiarki i rękawice. Odwróciła się do Mike'a. – Ale chyba nie masz stracha, sierżancie?

Nie odpowiedział, a Joanna przykucnęła i oparła się o ścianę stodoły, owijając się płaszczem. Wilgoć przenikała ją do szpiku kości i z żalem stwierdziła, że trzeba było założyć sweter. Zamknęła oczy, starając się nie zważać na kapiące rynny i chłód. Coś nie dawało jej spokoju. Coś było nie tak.

Trzeba to przemyśleć od początku...

Marilyn leży martwa, wystrojona w czarną, koronkową bieliznę i fiszbiny, jej pulchne ciało na siłę upchnięte w ciasny materiał, by nadać mu upragniony kształt. Wyposażenie domu nietknięte... Kapsułka... szampan... perfumy... muzyka. I ta hiszpańska lalka.

Otworzyła oczy. Jonah, Matthew i Paul Haddon rozpoczęli razem studia medyczne... i Paul musiał odejść. A Matthew i Jonah na pewno dobrze się znają. Przyjaźnią się od wielu lat. I pewnie są przyjaciółmi na dobre i na złe.

Pamella i Marilyn... Pamella była tą atrakcyjniejszą, a Marilyn musiała zadowolić się chłopakami porzuconymi przez swoją koleżankę. Dopóki nie pojawił się Jonah... Marilyn przekonana była, że któregoś dnia jego też dostanie. Ale tak się nie stało. Nie dał się jej uwieść... A może jednak?

Choroba Pamelli... wywołana przyjściem na świat pierwszego dziecka, Stewiego. Co tak naprawdę stało się ze Steviem? Podobno zmarł. A podana w akcie zgonu przyczyna – śmierć łóżeczkowa – nagle wydała się aż nadto wygodnym wytłumaczeniem. Matthew na pewno przeprowadził badanie pośmiertne.

Zimny dreszcz strachu przebiegł jej po karku. Matthew jest patologiem. Pamella zachorowała. Dziecko zmarło. Marilyn Smith miała dostęp do dokumentów. Matthew i Jonah są przyjaciółmi. Trzymają się razem. Im bardziej analizowała w myśli te wszystkie fakty, tym mniej zadowolona była ze swych odkryć i uświadamiała sobie, jak niewiele wie. Trzeba będzie znowu porozmawiać z Matthew.

Poczuła szturchnięcie w bok.

– Napij się. – Mikę podał jej małą butelkę. – Chyba lubisz whisky – dodał.

Wypiła jeden mały łyk, czując w ustach cierpki smak, i oddała mu butelkę.

157

Wtedy podniósł się ochoczo. – No, ruszamy... – W euforii mówił ucinanym, szorstkim głosem. – Przyjechali. Kochana Patty...

Joanna położyła mu dłoń na ramieniu. – Tylko spokojnie, Mikę – ostrzegła. – Na razie jeszcze nie ma się z czego cieszyć.

Długie snopy reflektorów skierowały się nagle na ścieżkę prowadzącą do farmy Good Cow.

Mikę chwycił ją za ramię. – Dorwiemy go, Joanno – orzekł. – Mamy to jak w banku. Dostrzegła błysk jego białych zębów w uśmiechu, po czym oboje schylili się za

okrytymi plastikową płachtą snopami siana.

– Zaczekajmy, aż zaczną rozładowywać towar – poinstruowała resztę. – Dajmy im trochę czasu. Obserwujcie tam i zapisujcie. Jeśli będzie trzeba, nagrywajcie na taśmę. Możecie nawet filmować. A potem ruszajcie na nich.

Po raz pierwszy od przeszło tygodnia Joanna zapomniała o śmierci pielęgniarki, upojona emocjami na samą myśl o tym, jaką Machin będzie miał minę, gdy wreszcie go wsadzą.

Tymczasem ciężarówki skręciły w podwórze. Wysiedli z nich jacyś mężczyźni. Jeden zapalił papierosa i rzucił zapalkę do kałuży.

– Nie gasić reflektorów.

To był głos Machina. Gruba ryba przyjechała więc sama dopilnować transakcji.

Lepiej być nie mogło. Tym razem już nie mógł się wywinąć.

Rozsunęto szerokie drzwi stodoły. Snopy światła reflektorów wdarły się w bladawy smog i długonogie, czarne sylwetki zaczęły poruszać się sprawnie, wnosząc skrzynki, każdy po dwie na raz. Widocznie sporo ważyły. Jednocześnie słychać było śmiechy i dowcipne komentarze... – Bo cię zdepczę... Pchnij ją głębiej, Guv.

– Przytulny kącik, co? – Mężczyźni poruszali się ze zwinnością współczesnych przemytników.

A potem wszystko stało się błyskawicznie.

Wozy policyjne wjechały w jednej chwili, postacie wybiegły na zewnątrz, Joanna i Mikę wstali.

– Cholera.

– O, do diabła. Gliny.

– Zostawcie to, do jasnej...

Trwało to zaledwie kilka minut. Dwoje ludzi usiłowało zbiec, ale zostali powaleni na ziemię przez funkcjonariuszy ukrytych na sąsied-

----- 158 -----

r

dnim polu. Machin stał, zszokowany, na środku podwórza. Spioruno-wał wzrokiem Joannę i Mike'a, gdy tylko wyłonili się z ciemności.

– Ktoś nas sypnął – rzucił tonem pełnym oskarżenia. – Nie przyjechaliście tu przypadkiem. Kto wam powiedział?

– Ja, ty podła kanalio.

Machin odwrócił się. – Patty... Patty?! Joannie prawie zrobiło się go żal. Wpatrywał się w drobną sylwetkę w obcisłych dżinsach, kowbojskich butach z frędzlami i płaszczu ze sztucznego lamparciego futra. Wyskoczyła zgrabnie z szoferki i stanęła przed nim twarzą w twarz.

– Ja cię sypnęłam, ty draniu – oświadczyła. – Z wielką rozkoszą. Może teraz dostaniesz za swoje.

Machin miał osłupiałą minę. – Patty... skarbie – wyjąkał, wyciągając do niej ramiona. – Co tu się dzieje?

Uśmiechnęła się szeroko i podparła się pod boki. – Na pewno zastanawiałeś się, jak ta pielęgniarka dowiedziała się o tobie tylu rzeczy

– rzekła. – Więc opowiem ci coś, dobrze? Zdaje się, że będziesz miał sporo czasu na myślenie. Bez pośpiechu. Wygląda na to, że policja będzie chciała cię zatrzymać... No więc ta pielęgniarka z Leek wyjechała sobie na mały urlop – dodała. – I poznała moją siostrę, która prowadzi knajpę. Pamiętasz niejaką Astrid Lucas, Gren?

A ponieważ Machin nie zareagował, mówiła dalej.

– To moja siostra. I tak się składa, że mały Robbie to mój ukochany siostrzeniec. Więc jeśli ktoś próbuje go zastraszać, strasznie mi się to nie podoba.

Machin wpatrywał się w nią przez długą chwilę, nim odzyskał pewność siebie. A gdy wreszcie przemówił, w jego tonie brzmiały stanowczość i groźba: – Nie radzę ci kłaść się spać, Patty, biedna sikoreczko. Bo którejs nocy, gdy się obudzisz, będę stał przy tobie. Ale tym razem, do diabła, już nie z kondomem w rękę.

Zaśmiała się. – Będziesz daleko ode mnie, Gren, i to przez bardzo długi czas. – Przynęła głowę do jego twarzy. – A jeśli nawet kiedyś przy mnie staniesz, mój drogi, to będziesz musiał podpierać się laską.

– Znów wybuchła gromkim śmiechem, po czym spojrzała w stronę obserwujących ją policjantów. – I jak się panom podoba moje poczucie humoru?

Nikt nie odpowiedział. Ta drobna kobieta była śmiała, a zarazem żaloszna. Joanna obawiała się o jej bezpieczeństwo. Osoby pokroju Pat-

ty Brownlow były szczególnie bezbronne. A sieć układów Machina sięgała bardzo daleko.

Mike pouczył sześciu podejrzanych o przysługujących im prawach, a Joanna otworzyła jedną ze skrzynek. Zgodnie z przewidywaniami, wypełniona była porcelanowymi figurkami.

– Pani inspektor... – Jeden z policjantów oświetlił latarką wewnątrz szoferki drugiej ciężarówki.

Zajrzała do środka, zastanawiając się, jak to możliwe, że przemytnicy wykazali się tak kompletnym brakiem ostrożności. Pod siedzeniem leżały plastikowe torby z łupem, który miała nadzieję przechwycić. Była to heroina, przypominająca słabej jakości cukier, trzcinowy, popakowana w plastikowe worki... Leżały tam całe kilogramy heroiny.

Wtedy pozwoliła sobie na uśmiech w stronę Mike'a.

– No i mamy go – oznajmiła.

15

Patrzyła, jak Matthew składa zeznania podczas przesłuchania u koro-nera i przedstawia swoje dowody.

– W trakcie ponownego badania zauważyłem ślad po nakłuciu igłą na prawej stopie denatki, między drugim a trzecim palcem.

Koroner spojrział na niego znad okularów. – Ale nie zauważył pan tego przy pierwszym badaniu, panie doktorze?

– Nie, proszę pana – odparł.

Mike pochylił się do niej. – Za pierwszym razem przeoczył. A mógłby nam bardzo pomóc, gdyby zabrał się za to nieco szybciej. Spiorunowała go wzrokiem.

– Kiedy już zauważył pan ten ślad po nakłuciu igły, jakie wyciągnął pan z tego wnioski, panie doktorze?

– Przypuszczałem, że Marilyn Smith podano jakiś zastrzyk. Koroner uniósł brwi.

– I pobrałem próbkę okolicznych tkanek, a jej analiza wykazała obecność ogromnej dawki insuliny.

Koroner odchrząknął. – Ciekawe... – przyznał, zamyślony. – Jak dotąd, nie zetknąłem się jeszcze z takim przypadkiem.

_____ i f.c\ _____

_____ X \J\J -^^-

Mike szturchnął ją nagle w bok. – Joanno – szepnął. – Patrz, kto przyjechał. Odwróciła się i napotkała wzrokiem czarne jak jagody oczy matki Marilyn.

Zmarszczyła brwi. – Vivian Smith przejechała taki szmat drogi? – Spojrzała na Mike'a. – Ciekawe, po co – dziwiła się. – Przecież nie cierpiały się nawzajem, a ona nawet nie próbowała udawać, że było inaczej.

Znów odwróciła głowę. Pani Smith wpatrywała się w nią, jakby chciała coś powiedzieć. Joanna skinęła jej głową, odwróciła się i znów skupiła wzrok na Matthew.

Już prawie kończył przedstawiać dowody... podał poziom insuliny we krwi i godzinę zgonu... Wspomniał o braku śladów wskazujących na odbycie stosunku seksualnego. Skupiał się wyłącznie na faktach. Joanna już nie raz obserwowała go, gdy zeznawał przed sądem. Zawsze wydawał się wiarygodny – i przekonujący. Ale w jej odczuciu równie przekonująco brzmiały słowa Matthew w rozmowach telefonicznych z żoną, gdy oznajmiał jej, że znów pracuje do późna. Wysunięty do przodu podbródek świadczył o jego pewności siebie i przekonaniu o swojej racji. Był ekspertem w swej dziedzinie.

A potem przyszła kolej na nią.

Jej zeznanie było czysto rutynowe. Odnosząc się po każdym pytaniu do swoich notatek, Joanna krótko opisała scenę, którą zastała w domu przy Silk Street. Koroner zerknął na nią. – I jakie były pani wstępne wnioski, pani inspektor? Drgnęła. Pytanie było dość nietypowe. Koronerów interesowały przeważnie fakty, nie opinie, a szczególnie Konrad Fowler miał zwyczaj przypominania jej o tym: „Chcę tylko wiedzieć, kim była ofiara, kiedy zginęła i – o ile to możliwe – w jaki sposób. Nie trzeba zaraz robić z tego zdarzenia dramatu”.

Siedząc na miejscu dla świadka, napotkała jego wzrok. Uśmiechnął się do niej lekko, zachęcająco. – Proszę kontynuować – powiedział.

Odchrząknęła. – Wtedy jeszcze – zaczęła – nie wiedziałam, co myśleć. Przyczyna zgonu była nieznana...

Koroner dokończył to zdanie za nią i zwrócił się do sędziego. – Wobec braku strzykawki bądź też jakiegokolwiek innego dostrzegalnego źródła insuliny oraz z

uwagi na fakt, iż denatka nie chorowała na cukrzycę ani nie pobierała tego leku, zmuszony jestem uznać, że zgon na-

----- 161 -----

stąpił wskutek zabójstwa z premedytacją. – Przerwał. – To rzeczywiście bardzo nietypowa metoda na pozbawienie życia... – Poprawił okulary i złożył wyrazy współczucia rodzinie i znajomym.

Vivian Smith siedziała sztywno, wyprostowana, poważna, wpatrzona w plecy Joanny. Matthew podszedł do Joanny zaraz po ogłoszeniu orzeczenia. Uśmiechnął się słabo. – To twoja pierwsza sprawa o zabójstwo.

Usiłowała stłumić ziewnięcie. – Przepraszam – rzekła. – Nie spałam prawie przez całą noc.

Wzrok Matthew złagodniał. – Słyszałem o tym. W lokalnych wiadomościach. Podobno wczoraj w nocy nakryłaś całą szajkę przestępców.

Skinęła głową. – A po nich – odparła – przyjdą następni. – Wahala się przez chwilę, po czym dodała, unikając jego wzroku: – Będę musiała zadać ci jeszcze kilka pytań, Matthew. Nie podobają mi się twoje zeznania.

Zesztywniał, po czym lekko się pochylił. Wyglądał na zmęczonego, wiekiem i zgarbioną sylwetką przypominał teraz Jonaha Wilsona. – Rozumiem – odparł oficjalnym tonem. – Chyba powinienem być się tego spodziewać. Hm... jak zwykle, jestem do twojej dyspozycji... – Zawahał się przez chwilę, po czym odezwał się znowu. – Niezły zamęt wprowadzasz w tym małym mieście, Jo. Ciekawe, kto będzie następny.

Obserwowała go uważnie. – Ciekawe – powtórzyła.

Przysunął się bliżej. – Krażą już plotki – oznajmił – że Paul Had-don.

– Chcieliśmy utrzymać to w tajemnicy. Skąd ty o tym wiesz, do diabła?

– Dzwoniła jego matka – odparł, a jego zielone oczy patrzyły niespokojnie i smutno. – Podobno wrócił do domu roztrzęsiony.

– I tak miał sporo szczęścia, że w ogóle pozwoliliśmy mu wrócić do domu – zauważyła. – Czy ty wiesz, co on robi w kostnicy?

Położył jej dłoń na ramieniu. – Dzięki Bogu, nie wiem – odrzekł, narażając się na jej piorunujący wzrok.

– Więc ja go na tym przyłapałam, do cholery – oznajmiła. – I nie sądzę, by kiedykolwiek udało mi się wymazać ten widok z pamięci. Czy tobie to nigdy nie przyszło do głowy, Matthew, po tym, co usłyszałeś na uczelni?

162

– Przecież nawet do końca nie byłem pewien, za co go wyrzucili – przypomniał jej.

– Może i nie – odparła – ale dało się jakoś domyślić. Mogłeś przynajmniej mieć go na oku... A on otworzył zakład pogrzebowy, na litość boską – dodała. – Po tym, jak został dyscyplinarnie usunięty z uczelni za obcowanie... z nieboszczykiem, jeśli chcesz wiedzieć, Mat-thew. Mikę rozmawiał przez telefon z dziekanem uczelni. To był czyn lubieżny z wykorzystaniem zwłok.

– Nie byłem pewien – odparł obronnym tonem.

– Więc wolałeś chować głowę w piasek, co?

– Zamierzasz wnieść oskarżenie?

– Złożyłam raport do prokuratury – odparła ostrożnie. – Oni zadecydują, co z tym dalej zrobić.

– To na pewno go zniszczy. Sama chyba rozumiesz.

Nagle wpadła w złość. – Matthew, kogo ty bronisz? Tego nekrofila? Niemożliwe, żeby aż tak przewróciło ci się w głowie.

– Boże –jęknął. – A tobie wolno rzucać oskarżenia i naprawiać zło, jakbyś sama była święta.

– Mówiąc między nami – odparła łagodnie, rozglądając się po pokoju – oskarżenia raczej nie wniesiemy. Nie chcę, żeby ta sprawa wyszła na światło dzienne.

Narobiłoby się za dużo szumu. Sama też mam nadzieję, że sprawa ucichnie, a Haddon dostanie ostrzeżenie i zakaz dalszego wykonywania zawodu. Będziemy go mieli na oku – dodała.

– Oby się udało – odrzekł. – A tobie gratuluję takiego pasma sukcesów.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Przepraszam... – dotarło do nich.

Joanna nawet się nie spostrzegła, gdy z tyłu podeszła do niej Vivian Smith.

– Proszę wybaczyć... pani Smith...

Matka Marilyn wyduła wargi. – Pomyślałam sobie, że chciałaby pani dowiedzieć się... że to panią zainteresuje. Mam tu list – wyjaśniła wreszcie, wyjmując z

torebki brązową kopertę. – Zawsze wysyłała przesyłki zwykle, przynajmniej do mnie. – Taka była skąpa.

Joanna przebiegła wzrokiem po kopercie i zaprosiła Vivian Smith na komendę.
163

W biurze naciągnęła rękawiczki, wyjęła list z koperty i położyła na biurku. Nie był długi, zajmował tylko pół strony. Zaczynał się powitaniem matki, zawierał wzmiankę o załączeniu pieniędzy i narzekania na jedną z współpracownic, a następnie wyraził zachwytu nad „nowym mężczyzną”... żonatym... „To dziwne, mam, jak się czasem w życiu układa. Teraz już wiem: on mnie kochał przez te wszystkie lata...”

To były słowa napisane przez szczęśliwą kobietę, która wreszcie odnalazła miłość. Joannie zrobiło się niedobrze. Zerknęła na końcowe zdania: „Wyszłam, mam... i zaszalałam sobie... wykupiłam prawie cały sklep”.

Ostatnie zdanie było najbardziej szokujące: „w przyszłym miesiącu przyślę Ci więcej. Obiecuję...” A niżej tylko: „pozdrawiam”... i niestarannym pismem podpisane: „Marilyn”.

Po raz pierwszy Joannie zrobiło się odrobinę żal zmarłej pielęgniarki. Podniosła wzrok na Vivian Smith. – Czy może pani potwierdzić, że to jej charakter pisma? Vivian Smith skinęła głową.

Joanna oddała jej list.

– Dziękuję – rzekła, a widząc wahanie Vivian Smith, dodała: – Nie przyda nam się jako materiał dowodowy.

Vivian Smith spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie to miałam na myśli – odparła, nie spuszczać z Joanny swego przenikliwego wzroku. – To on, prawda? To ten facet tak ją urządził?

– Tak podejrzewamy – odparła ostrożnie Joanna.

Vivian Smith przełknęła ślinę. – To było morderstwo – szepnęła – prawda?

Joanna zastanawiała się, czy matka Marilyn zaczyna wreszcie odczuwać po stracie córki jakiś żal, jednak następne zdanie temu przeczyło.

– Więc kiedy dostanę jej majątek? Dom... samochód... – wyliczała chciwie. – To wszystko sporo kosztuje. Będę musiała je sprzedać.

Joanna milczała.

– Nie mogę zamieszkać tutaj – dodała obronnym tonem. – Moje miejsce jest w Cardiff.

164

16

Już nieraz zdarzało się jej wyobrazić sobie tę podróż, jednak piękny, stary, kamienny dom w wiejskim stylu, w którym mieszkał Matthew z żoną i dziesięcioletnią córką Eloise, przekroczył jej najśmielsze oczekiwania.

Jechali wąską, kamienistą drogą, między polami, na których pasły się owce, i ogrodzeniem w wiejskim stylu, a Joanna obserwowała okolice z narastającym napięciem. Poczuła mdłości i suchość w ustach. Z dziesięć razy gotowa była poprosić Mike'a, by zawrócili z powrotem do Leek. Jednak nie zrobiła tego i właśnie wjechali przez masywną bramę na brukowany dziedziniec. Przed nimi stały stodoły, a po jednej stronie widać było prowadzące na górę schody. Na najwyższym stopniu siedział mały, czarno-biały kot i oblizywał łapy, patrząc przymrużonymi zielonymi ślepiami.

Dom był zbudowany z szarego kamienia o ciepłym, aksamitnym odcieniu, pokrytego mchem. Tego późnego, wiosennego ranka Joannie zdawało się, że było tam jak w raju. Żonkile kołysały się z lekkim, chłodnym podmuchem wiatru niczym złociste zwiastuny nadchodzącego lata. Joanna siedziała jak zahipnotyzowana.

Mikę szturchnął ją w bok. – Może wolisz, żebyśmy poszedł tam z tobą?

Westchnęła i pokręciła głową. – Nie – odparła. – Powinam pójść sama.

– Tylko się nie zbłaźnij... – ostrzegł ją Mikę. Miał przejętą minę.

Otworzyła drzwi auta. – Obiecuję. – Uśmiechnęła się. – Dam sobie radę, Mikę – uspokoiła go. Zawahała się. – To na pewno trochę potrwa. Czuję, że nie będzie łatwo. I nie zamierzam stamtąd wyjść, dopóki nie otrzymam od Matthew wszystkich odpowiedzi.

Położył jej dłoń na ramieniu. – Ja tam pójde zamiast ciebie, jeśli chcesz.

Wysiadła. – Nie – odrzekła. – Sama to zrobię. Ale dzięki za dobre chęci.

Podniósł kciuk na znak, że wszystko będzie dobrze. – Tylko dlaczego właśnie tutaj to miało być Joanno?

----- 165 -----

Rozejrzała się po tym sielskim zaciszu. – Mam nadzieję zaskoczyć go tą wizytą –

odparła – i zmusić, by wreszcie powiedział mi całą prawdę.
Do domu prowadziła wąska ścieżka z kamiennych płyt. Joanna pchnęła furtkę i podeszła do drzwi.
Potrzeba było sporo odwagi, by zastukać kołatką wystarczająco głośno. Przy pierwszej próbie metal odbił się bezdźwięcznie o drewno. Dopiero za drugim razem trzask był tak donośny, że mógłby obudzić umarłego.
Jane Levin otworzyła drzwi. Wprawdzie nie widziały się od tamtego wieczoru w restauracji, ale Joanna wciąż miała w pamięci lodowate spojrzenie tych niebieskich oczu i jasny, skandynawski, piękny odcień tych blond włosów. I te zaciśnięte, wąskie wargi. Jane spojrzała na Joannę.
– Przecież to pani – odezwała się.
– Inspektor Piercy – rzuciła w odpowiedzi Joanna, nie mogąc sobie darować drżenia w głosie. Odchrząknęła. – Chciałabym pomówić z doktorem Levinem.
Jane Levin spojrzała z góry, zadzierając swój wąski nos. – A nie mogła pani skontaktować się z nim w szpitalu? – spytała wyniośle.
– Przykro mi, ale muszę pomówić z nim właśnie teraz. Chodzi o zabójstwo Marilyn Smith.
– Tej pielęgniarki? – spytała oschłym tonem.
– Tak.
Drzwi zatrzasnęły się. Joanna stała na progu, czując na sobie świdrujący wzrok Mike'a. Odwróciła się i kiwnęła do niego głową, a wtedy drzwi otworzyły się gwałtownie.
– Joanna... – wycedził Matthew. – Co ty, do diabła... – Był wściekły.
– Potrzebne mi pana zeznanie, panie doktorze – odezwała się oficjalnym tonem. – Czy mogę wejść?
Sporunował ją wzrokiem. – Po coś ty tu przyjechała?
– Bo zależało mi na czasie – odparła ze złością. – Mam dość twoich wykrętów. Do tej pory, Matthew – ciągnęła – powiedziałeś mi tylko część prawdy. Teraz chcę się dowiedzieć wszystkiego.
– Przyjechałaś tu służbowo? – Zerknął jej przez ramię na Mikę^ siedzącego w wozie policyjnym. – Skoro tak, to niech Tarzan też tu przyjdzie.

166

– To nie jest czysto służbowa wizyta – odparła. – Robię ci przysługę... Matthew – dodała łagodnie. – Tu chodzi o morderstwo.
Patrzył na nią w osłupieniu, przerażony nagle jej zachowaniem.
– Joanno – powiedział błagalnym tonem. – Tylko nie tutaj. Kochanie, nie tutaj.
– Na jego twarzy pojawił się cień smutku. – Jeśli przestąpisz ten próg... – Wziął głęboki oddech. – Zakłócisz mój spokój rodzinny.
– W takim razie pozostaje nam posterunek – odparła – i oficjalne przesłuchanie rejestrowane na taśmie. Cholera, szczęściarz z ciebie, że w ogóle masz taki wybór. Tego rodzaju przestępstwo też zakłóca nasz spokój, Matthew...
– Dobrze, Joanno – odrzekł. – Wygrałaś. – Odwrócił się, a wtedy weszła za nim do środka.
Jego żony nigdzie nie było widać. Prowadził Joannę długim, ciemnym korytarzem, gdzie wisiały płaszcze przeciwdeszczowe, stały kalosze i stary rower. Mijając go, Matthew zahaczył o niego tak, że rower zachwiał się i prawie się przewrócił. Matthew zaklął cicho i przytrzymał go. Ręka mu drżała. Na końcu korytarza otworzył drewniane drzwi prowadzące do jasnego, kwadratowego gabinetu, którego ściany zastawione były książkami od podłogi do sufitu, dwa wysokie okna wychodziły na widoczne w oddali postrzępione grzbiety górskie, a po obu stronach kominka stały fotele. Matthew usiadł w jednym z nich, Joannie wskazał drugi. Starzała się nie patrzeć na stojące na półce zdjęcia, szczególnie na to pośrodku... Przedstawiało Matthew i Jane w dniu ślubu. Joanna zastanawiała się, jak często spędzali wieczory, siedząc w tych fotelach, i rozmawiali, czytali, słuchali razem muzyki.
Matthew pochylił się, przygryzając wargę. – Nie powinno cię tu być – orzekł.
– Ja też nie czuję się tu zbyt dobrze – odcięła. – Więc lepiej będzie, jeśli teraz zrzucisz z siebie wszystko, żebym nie musiała tu wracać. Wtedy będę mogła zostawić ciebie i żonę w spokoju.
Miał poważną minę. – A czy to wszystko zostanie potem ujawnione? Czy sprawa trafi do sądu?
Wzruszyła ramionami. – Nie wiem – odparła. – To zależy od okoliczności. – Nachyliła się. – Matthew, najlepszym wyjściem dla ciebie jest szczerość. Proszę,

opowiedz mi dokładnie wszystko. A ja w miarę możliwości też ci pomogę. Obiecuję.
----- 167 -----

Skinął głową, oparł się w fotelu, zamknął oczy. – Całe szczęście, że jest ktoś, komu mogę zaufać – rzekł, po czym dodał: – Właściwie to sama już sporo wiesz. Skrzywiła się. – Wiem chyba nawet wszystko – odparła. – Oprócz tego najważniejszego.

Zignorował tę uwagę. – Jonah, Paul i ja studiowaliśmy razem medycynę – zaczął i natychmiast przerwał. – Paul zawsze przejawiał dziwne skłonności. – Znowu przerwał. – Wiesz już, co się stało. Więc zostaliśmy tylko we dwóch, Jonah i ja. Razem jakoś dawaliśmy sobie radę, upijaliśmy się, uczyliśmy, zdawaliśmy egzaminy. I wtedy poznał Pamellę... – Uśmiechnął się. – Kompletnie stracił dla niej głowę... Bo Pamella była naprawdę śliczna – dodał po chwili. – Atrakcyjna, piękna i bardzo inteligentna. A Marilyn była jej najlepszą przyjaciółką. Była otyła i niezbyt ładna. Ale rozumu jej nie brakowało i potrafiła być przebiegła. Trzymała się z Pamellą i podrywała wszystkich chłopaków, których Pamella odrzucała. Sądziła, że są jej własnością. Tak było, dopóki nie zjawił się Jonah. Pamella go nie odrzuciła, a Marilyn chyba ciągle na to czekała. W każdym razie Pamella i Jonah pobrali się w końcu. Ja byłem drużbą, a Marilyn druhną. Potem Jonah przyjechał tu do Leek i otworzył swój gabinet. I wtedy Pamella zaszła w ciążę.

Przerwał i dłonią potarł czoło.

– Od samego początku wszyscy wiedzieliśmy, że działo się coś złego. Już podczas pierwszych tygodni zachowywała się bardzo dziwnie. – Spojrzał na Joannę. – Wiesz, co znaczy określenie „psychoza połogowa”?

– To pewnie jakiś rodzaj obłędu – zaryzykowała – związany z porodem? Kiwnął głową i uśmiechnął się. Przez chwilę znowu był tym dawnym Matthew. – A więc jednak słuchasz mnie, gdy robię ci wykłady! A co do Pamelli, to po narodzinach dziecka jej stan bardzo się pogorszył.

– To ten Stevie – wtrąciła, bo zaczynało już do niej docierać. Matthew zmarszczył się. – O Boże – jęknął. – Nie masz pojęcia... jaki był śliczny... taki pulchny i różowiutki i ciągle się śmiał. Nadali mu imię Stevie po ojcu Pamelli. Był chirurgiem w Manchesterze... Bardzo mądry człowiek. Zmarł miesiąc przed narodzinami Stewiego... – Mów dalej. Co się stało?

168

Skinął głową, oparł się w fotelu, zamknął oczy. – Całe szczęście, że jest ktoś, komu mogę zaufać – rzekł, po czym dodał: – Właściwie to sama już sporo wiesz. Skrzywiła się. – Wiem chyba nawet wszystko – odparła. – Oprócz tego najważniejszego.

Zignorował tę uwagę. – Jonah, Paul i ja studiowaliśmy razem medycynę – zaczął i natychmiast przerwał. – Paul zawsze przejawiał dziwne skłonności. – Znowu przerwał. – Wiesz już, co się stało. Więc zostaliśmy tylko we dwóch, Jonah i ja. Razem jakoś dawaliśmy sobie radę, upijaliśmy się, uczyliśmy, zdawaliśmy egzaminy. I wtedy poznał Pamellę... – Uśmiechnął się. – Kompletnie stracił dla niej głowę... Bo Pamella była naprawdę śliczna – dodał po chwili. – Atrakcyjna, piękna i bardzo inteligentna. A Marilyn była jej najlepszą przyjaciółką. Była otyła i niezbyt ładna. Ale rozumu jej nie brakowało i potrafiła być przebiegła. Trzymała się z Pamellą i podrywała wszystkich chłopaków, których Pamella odrzucała. Sądziła, że są jej własnością. Tak było, dopóki nie zjawił się Jonah. Pamella go nie odrzuciła, a Marilyn chyba ciągle na to czekała. W każdym razie Pamella i Jonah pobrali się w końcu. Ja byłem drużbą, a Marilyn druhną. Potem Jonah przyjechał tu do Leek i otworzył swój gabinet. I wtedy Pamella zaszła w ciążę.

Przerwał i dłonią potarł czoło.

– Od samego początku wszyscy wiedzieliśmy, że działo się coś złego. Już podczas pierwszych tygodni zachowywała się bardzo dziwnie. – Spojrzał na Joannę. – Wiesz, co znaczy określenie „psychoza połogowa”?

– To pewnie jakiś rodzaj obłędu – zaryzykowała – związany z porodem? Kiwnął głową i uśmiechnął się. Przez chwilę znowu był tym dawnym Matthew. – A więc jednak słuchasz mnie, gdy robię ci wykłady! A co do Pamelli, to po narodzinach dziecka jej stan bardzo się pogorszył.

– To ten Stevie – wtrąciła, bo zaczynało już do niej docierać. Matthew zmarszczył się. – O Boże – jęknął. – Nie masz pojęcia... jaki był śliczny... taki pulchny i różowiutki i ciągle się śmiał. Nadali mu imię Stevie po ojcu Pamelli. Był chirurgiem w Manchesterze... Bardzo mądry człowiek.

Zmarł miesiąc przed narodzinami Steviego...

– Mów dalej. Co się stało?

168

– Po tym, jak urodził się Stevie – mówił Matthew – Jonah bał się zostawić ją samą. Tak bardzo się martwił, że coś się może stać... Zresztą wszyscy chyba mieliśmy najgorsze przeczucia. Wiedzieliśmy, że coś się wydarzy. Czuliśmy zbliżającą się tragedię. A jednak nikt z nas nie mógł zrobić nic, by temu zapobiec. Jonah starał się, przebywał w domu możliwe najdłużej, ale potrzebowali pieniędzy, więc wrócił do pracy, bo inaczej musiałby zamknąć gabinet. Przez cały czas wszyscy baliśmy się o nią i o dziecko, gdy zostawali sami.

– To dlaczego nie zatrzymali jej w szpitalu?

– Była tam przez krótki czas, ale to tylko pogorszyło jej stan. Kiedy chcieli rozdzielić ją i syna, wpadła w histerię i groziła, że się zabije. Więc Jonah uznał, że na pewno poczuje się lepiej, gdy zostanie w domu. Wszyscy myśleliśmy, że to dla niej jedyna szansa, że jeśli będziemy traktować ją normalnie, to może samo jej przejść.

– Na Boga, Matthew – przerwała mu. – Przecież sam jesteś lekarzem. Nie umiałeś ocenić sytuacji?

Matthew odwrócił wzrok. – Łatwo jest oceniać z perspektywy czasu – odrzekł z goryczą. – Człowiek jest mądry dopiero po fakcie. Chodziliśmy do niej na zmianę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Rzeczywiście było trochę lepiej. I to nas chyba uspokoiło... Aż któregoś dnia Jonah wrócił z pracy do domu trochę później. Pamella siedziała na schodach. Mówił nam potem, że w domu było wtedy bardzo cicho. Pamella powiedziała mu, że Stevie śpi. – Matthew zamknął oczy. – Powiedziała też, żeby się nie martwił, bo Stevie już nie będzie płakać. Joanno... – Oczy Matthew błyszczały teraz od wezbranych łez. – On leżał w łóżeczku martwy. Na jego ciele nie było żadnych śladów. Rzeczywiście wyglądało na to, że śpi. Mieliśmy nadzieję, że to śmierć łóżeczkowa. Ale w duchu byliśmy przerażeni...

Czekał, bacznie obserwując Joannę. Wiedziała, że to jeszcze nie wszystko.

– Musiałem przeprowadzić sekcję... na tym maleństwie, które kołysałem do snu tyle razy w jego krótkim życiu, Jo – wyznał łamiącym się głosem. – Miał w płucach włókna bawełny.

Zmarszczyła czoło. – Wybacz, ale nie do końca rozumiem.

Matthew posłał jej wymuszony uśmiech. – W takim razie nasza inspektor jeszcze wszystkiego o świecie nie wie – odparł. – Stevie został uduszony. Nawdychał się włókien bawełnianych z poduszki. Poza tym były jeszcze inne wskazówki. Gdy poszedłem tamtego wieczoru do

----- 169 -----

domu Jonaha, widziałem poduszkę na łóżku gościnnym. Była wgnieciona. A gdy zajrzałem do łóżeczka, pościel była porozrzucana. – Schylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. – Dziecko musiało się bronić – dodał.

Joanna poczuła, że twarz jej sztywnieje z przerażenia. Była to najgorsza z wszystkich wizji, które przyszły jej do głowy w związku z tą sprawą. Szamoczące się niemowlę... I wyraz twarzy matki przyciskającej poduszkę do buzi dziecka tak długo, dopóki się nie uspokoiło.

W pokoju zapanowała cisza.

I nagle zrozumiała. – A ty stwierdziłeś śmierć łóżeczkową – orzekła – podczas gdy Pamella Wilson powinna była znaleźć się w szpitalu psychiatrycznym w Broadmoor. Przecież w swej chorobie była niebezpieczna.

Matthew pokręcił głową. – Cierpiała na pewne zaburzenia – przyznał – ale miało to związek z porodem. I wszystko miało być w porządku pod warunkiem, że ponownie nie zajdzie w ciążę. Dla nikogo innego nie stanowiła zagrożenia. To nie była psychika morderczyny.

Joanna zacisnęła pięści. – Naprawdę tak sądzisz, Matthew? – spytała. – W takim razie powinieneś chyba przemyśleć to jeszcze raz, bo po raz kolejny błędnie oceniłeś sytuację, prawda?

Schylił znowu głowę.

Tymczasem Joanna była bezlitosna. – Do diabła, przecież to jedna wielka próba zatuszowania faktów! Zmowa milczenia całego tutaj środowiska lekarskiego, do cholery! Ona zamordowała swoje dziecko! – Joanna zamilkła na chwilę, po czym znów wybuchła gniewem. – Ale z ciebie piekielnie uczynny przyjaciel, Matthew. Dobrze jest mieć znajomego patologa, kiedy żona zabija własne dziecko!

Matthew wykrzywił twarz w grymasie. – To wcale nie tak – zaprotestował. – Tylko

po co zaraz proces... rozprawa w sądzie... przesłuchanie...

– Jeśli inni policjanci będą tak spolegliwi jak teraz ja – przerwała mu – ludzie przestaną wierzyć, że morderstwo jest złem! Niech to szlag, Mat – dodała. – Sąd też potrafi być wyrozumiały, wiesz? Posłałby ją tylko na leczenie psychiatryczne.

– A co zrobiłby wtedy lekarz rodzinny? Kto przychodziłby do niego? Jonah byłby skończony.

170

– Mógłby wyjechać – odparła. – Otworzyłby gabinet gdzie indziej.

Matthew patrzył gdzieś przed siebie, za okno, na postrzępione szczyty górskie w oddali. – To mógł – odparł tylko.

– No dobrze, to jaka jest rola Marilyn w tej całej historii?

– Jonah wysłał ogłoszenie, że zatrudni pielęgniarkę do pomocy w przychodni – odrzekł niechętnie Matthew. – Odpowiedziała na nie, a Jonah pomyślał, że dawna przyjaciółka mogłaby też pozytywnie wpłynąć na Pamelę.

– A ona tymczasem zaczęła szantażować Jonaha... – dokończyła Joanna. – A do tego jeszcze chciała uwieść męża swojej przyjaciółki. Skąd wiedziała o dziecku?

– Zachowałem kopię raportu o wynikach sekcji zwłok – odparł powoli Matthew. – Jonah i ja uznaliśmy, że to chyba konieczne. Leżała w sejfie wśród innych poufnych informacji. A Marilyn miała dostęp do sejfu, do dokumentów personelu i informacji o lekach. Nie sądziliśmy, że zacznie węszyć... Do pielęgniarki ma się zaufanie... – Przerwał. – Wiem, co jeszcze tam było – dodał po chwili. – Opinia psychiatry o Paulu Haddonie. Bo on został poddany badaniom i leczeniu... – Spojrzał na Joannę.

– A wtedy ona zaczęła ich szantażować – dopowiedziała Joanna. – Zdaje się, że wyłudziła pieniądze jeszcze od wielu innych osób, nie licząc Jonaha.

– Dał jej nawet podwyżkę – przyznał. – Ale ona tak naprawdę chciała tylko, żeby rozwiódł się z Pamelą, oddał ją do jakiegoś zakładu i ożenił się z nią.

Wyobrażała sobie, że będzie żoną lekarza. – Matthew patrzył na Joannę surowym wzrokiem. – Rozumiesz, co mam na myśli. Zależało jej na prestiżu... Dlatego, do diaska, poddała się tym wszystkim operacjom: sztuczny biust, odsysanie tłuszczu, porcelanowe korony na zębach. I nawet do głowy jej nie przyszło, że tym wszystkim jeszcze bardziej zrażała Jonaha do siebie.

– I dlatego ją zabił.

Nagle otworzyły się drzwi, do pokoju wbiegła mała dziewczynka w bryczesach i żółtym sweterku i rzuciła się Matthew na szyję. – Tatusiu, tatusiu... obiecałeś, że jeszcze przed podwieczorkiem przyjdiesz zobaczyć, jak skaczą na Iskierce. Zrobiłam cztery okrażenia i ani razu nie spadłam. – Pociągnęła go za rękę. – No chodź już – ponagliła. – Chodź.

171

Matthew spojrzał czule na córkę, która była żywą kopią jego żony. – Zaraz przyjdę, Eloise – odparł, głaszcząc jasny warkoczek dziewczynki. – Jedną chwileczkę.

Joanna wstała. – Sama trafię do wyjścia – oznajmiła.

Mike siedział głęboko w odsuniętym fotelu, stopy miał oparte o tablicę rozdzielczą. Z trudem wyprostował się, gdy otworzyła drzwi. – No i jak? Zdobyłaś to, co chciałaś, Joanno?

Zatrzasnęła drzwi auta. – I tak, i nie – odrzekła.

A jednak wyłapała kolejno ich wszystkich, choć szarpali się i wrywali: Paul Haddon, Grenville Machin, Jonah, Matthew i ta biedna Pa-mella. I choćby nie wiadomo jak zaciekle się bronili, nic im to nie da. I tak miała ich już w garści, a teraz postawi ich przed sądem, wszystkich po kolei.

17

Raport ekspertów na temat płaszcza wykopanego w ogrodzie Evelyn Shiers czekał już na biurku następnego ranka. Płaszcz leżał w ziemi przez jakieś pięć lat i nie było na nim śladów krwi ani fragmentów skóry, tylko trochę siwych włosów. Jock Shiers zaś znany był ze swej bujnej, kruczoczarnej czupryny.

Joanna usiadła, zdziwiona, a jednocześnie rozczarowana, że tak niewiele udało się ustalić z próbek tak obiecującego materiału. Raz jeszcze zerknęła na raport. Zaznaczono w nim, że płaszcz nie okrywał żadnych zwłok. Więc po co go zakopano? I gdzie jest Jock Shiers? Westchnęła, odłożyła raport na bok i spojrzała na Mike'a.

– Chcę porozmawiać z tą kobietą, u której Jonah Wilson był na wizycie tamtej

nocy, kiedy doszło do zabójstwa.

Mikę miał zdziwioną minę. – Przecież już raz tam byliśmy.

– Wiem... – Joanna biła się z myślami. – Ale mam wrażenie, że nie zadaliśmy jej właściwych pytań. Sprawdziliśmy tylko, czy rzeczywiście u niej był. A ja chcę znać dokładną godzinę, dowiedzieć się, jak długo nie było go w domu, ile czasu zajął mu dojazd i jak długo trwała ta wizyta.

– No dobrze – odparł Mikę.

172

Dojechali najpierw do samego końca ulicy, gdzie mieszkał Jonah Wil-son. Joanna nastawiła zegarek. – Jedź powoli – nakazała Mike'owi. – Zdaje się, że ostrożny z niego kierowca.

Po dwudziestu minutach zatrzymali się przed drzwiami wiejskiego domu. Jechali tu długo i powoli, po wąskich drózkach na wrzosowisku, pokonując ostre zakręty i strome stoki. Farma położona była na samym końcu długiej drogi podjazdowej za bramą.

Fay Dunwood popatrzyła na nich, niezadowolona. – Naprawdę tu był – powtarzała z naciskiem. – Doktor Wilson był tutaj... Bolała mnie głowa, a on dał mi zastrzyk i czekał, aż zacznie działać.

– A ile czasu tu spędził?

– Nie wiem. – Była poirytowana pytaniami policji i stawiała w obronie swojego lekarza. – Pamiętam tylko, że się martwiłam. Dzwoniłam do niego wcześniej. Pani Wilson powiedziała, że ostatnio sporo ludzi choruje na zapalenie opon mózgowych. Prosiła, żeby zadzwonić jeszcze raz o jedenastej. Głowa mi pękała... Proszę spytać mojego męża.

Joanna spojrzała na Mike'a. – Czy doktor przyjechał zaraz po wezwaniu?

Siedzący w kącie mężczyzna parsknął. – Oczywiście. Dzwoniłem potem jeszcze raz, ale nikt już nie odbierał. Chciałem mu wyjaśnić, jak tu dojechać... Ciężko tu do nas trafić i mógłby się zgubić. Ale on był już w drodze i przyjechał po kwadransie. Miałem mu powiedzieć, że zjedę z latarką i otworzę mu bramę. Ale jego już nie było w domu.

– A jego żona? – Joanna starała się zachować swobodny ton.

– Jej też nie było, chyba że zdażyła już położyć się spać.

A więc on pojechał na wizytę – podsumowała Joanna, patrząc na Mikę. – A jej widocznie nie było w domu.

– Ale przecież wszyscy twierdzą, że ona wcale nie wychodzi.

– Czy samo to stanowi dla niej zaraz alibi? – spytała i zamyśliła się. – Co o tym teraz sądzisz, Mikę? Nie było jej tam! Pan Dunwood dzwonił do ich domu i jej nie zastał. Podejrzewam, że była wtedy na Silk Street, gdzie zamordowała swoją dawną przyjaciółkę w obawie, że ta odbije jej męża albo ujawni zabójstwo dziecka.

Mikę pokręcił głową. – Joanno – odezwał się. – Nie mogło tak być. Jak niby udało się jej wejść do domu, skoro był tam ten pies? I skąd

173

wiedziała, że jej mąż zostanie wezwany do chorego i nie będzie go przez godzinę? Spochmurniała. – Właśnie tego jeszcze nie rozgryzłam, Mikę. – Nagle uśmiechnęła się szeroko. – Ale daj mi trochę czasu.

Zaparkowali auto przed domem Jonaha Wilsona. Joanna siedziała przez chwilę, przyglądając się skromnemu, zniszczonemu bliźniakowi. – Marilyn Smith musiała nieźle ich oskubać – stwierdziła. Następnie ruszyła ścieżką i spostrzegła Pamellę, zerkającą przez matową szybę w drzwiach wejściowych.

– Czy mogę wejść? – zawołała Joanna. – Jestem z policji. – Okazała legitymację, choć wiedziała, że Pamela i tak nie będzie w stanie nic z niej wyczytać.

Pamella otworzyła drzwi i rozejrzała się dokoła jak bojaźliwe dziecko. – Dzień dobry – odezwała się. – Pamiętam panią.

– Czy jest pan doktor?

– Jonah jest w pracy. – Pamela uśmiechnęła się nieśmiało. – Bardzo ciężko pracuje, wie pani...

– Tak, wiem.

– Chciałaby pani na niego poczekać? Może pani posiedzieć tu ze mną.

– Dziękuję.

Joanna usiadła naprzeciwko Pamelli Wilson i obserwowała, jak tamta bawi się rąbkami spódnicy. Nagle Pamela podniosła wzrok i uśmiechnęła się. – Ona nie żyje, prawda?

Joanna skinęła głową, a Pamela oplotła stopami nogi krzesła.

– Wie pani – dodała po chwili – że byliśmy kiedyś przyjaciółkami? I to dość bliskimi... Najlepszymi przyjaciółkami.
Joanna odpowiedziała jej uśmiechem. – Naprawdę? – spytała. – Chce mi pani o tym opowiedzieć?

Pamella przekrzywiła głowę, jakby się zastanawiała, po czym zaśmiała się nagle. – Właściwie czemu nie? – Przerwała na chwilę. – No więc – zaczęła – chodziłyśmy razem do szkoły dla pielęgniarek. Używałyśmy nawet tej samej zmywarki do czyszczenia basenów po pacjentach.

Joanna skinęła głową. – Więc dlaczego ją pani zabiła, pani Pamel-lo? – spytała wprost.

174

Pamella zrobiła zdziwioną minę. – Myślałam, że nikt o tym nie wie – odparła, zamyślona, po czym skierowała swój szczyry wzrok na Joannę. – A skąd pani wie? – spytała.

– Bo taką mam pracę – odparła Joanna.

Pamelli widocznie wystarczyła ta odpowiedź. – Więc skoro pani już wie – rzekła, niemal ze złością – to po co mam pani opowiadać?

– Bo nie wiem jeszcze wszystkiego.

Tym razem Pamella wyglądała na zadowoloną. – Naprawdę? – Spojrzała w głąb pokoju, roztargniona, nieobecna myślami. Joanna czekała cierpliwie.

– Dla Marilyn przyjaźń ze mną okazała się bardzo praktyczna – odezwała się Pamella po długim milczeniu. – Bo gdy tylko zrywałam z jakimś chłopakiem, ona chodziła z nim potem przez jakiś czas... A ci chłopcy cieszyli się, że dzięki temu mają mnie w pobliżu.

Joannie nawet nie przyszłoby do głowy oskarżać tę biedną istotę o zarozumiałość. Bo Pamella wcale nie była zarozumiała.

– Nie pozwoliłam jej odebrać mi Jonaha. – Tu Pamella zamilkła, jakby zastanawiała się, dlaczego. – Zbyt wiele dla mnie znaczył – dodała. – Bo widzi pani, ja też go kochałam. A on kochał mnie. – I znów nastąpiła długa chwila milczenia. – Ale ona chciała mieć go dla siebie.

Joanna wstrzymała oddech. Tak bardzo pragnęła to usłyszeć...

– I chyba... chyba wszystko byłoby w porządku, gdybym nie zachorowała – mówiła Pamella spokojnie. – Bo widzi pani, ja urodziłam dziecko, chłopczyka. I przez niego się rozchorowałam. – Spojrzała na Joannę. – Kochałam go, ale przez niego źle się czułam. A on był taki niegrzeczny. Ciągle płakał.

Pochyliła się do przodu i dotknęła kolana Joanny. Było to zadziwiająco miękkie i delikatne muśnięcie.

– Miał na imię Stevie. To przez niego zachorowałam i nie mogłam pójść do pracy. Nie chciałam, żeby jakaś obca pielęgniarka zastępowała mnie w gabinecie Jonaha.

– Zerknęła na Joannę porozumiewawczo. – Bo może byłaby tak ładna jak ja i mogłaby go uwieść. – Te ostatnie słowa Pamella Wilson wypowiedziała szeptem, rozglądając się po pokoju, czy nikt nie podsłuchuje. – Więc poprosiłam moją dawną przyjaciółkę. Moją dawną, nieatrakcyjną przyjaciółkę. Poprosiłam, żeby pracowała na moim miejscu. – Zwilżyła językiem wargi. – Problem w tym, że ona wcale nie była moją przyjaciółką. Ani trochę. – Oddech Pamelli stał się przyśpieszony. – Przede wszystkim chciała od nas pie-

175

niędzy. Wiedziała o tym, że Stevie był niegrzeczny i że musiałam go ukarać...

Po twarzy Pamelli popłynęły łzy. Nie próbowała nawet ich otrzeć, więc kapały jej z podbródka na stary, czarny sweter.

-- Jonah nie miał nic przeciwko temu. Wybaczył mi. I zrozumiał. A ona nie.

Chciała tylko pieniędzy. – Pamella pochyliła się naprzód. – To była bardzo chciwa kobieta. A wszystkie pieniądze wydawała na to, żeby się upiększyć. – Przerwała. – A ja się bałam – dodała po chwili. – Myślałam, że może któregoś dnia skalpel chirurga poprawi niedoskonałości natury. Bałam się, że pewnego dnia naprawdę stanie się piękna. Miała tyle pieniędzy, sama pani rozumie. Na początku była złośliwa i brzydka. I chciała mieć Jonaha tylko dla siebie. – Znowu przerwała, nachmurzyła się. – A ja... z początku wcale się tym nie przejmowałam. Bo Jonah kochał mnie... Ale któregoś dnia zadzwoniła do mnie i powiedziała, że ją pocałował. – Powoli uwolniła stopy z nóg krzesła. – Nie mogłabym żyć bez Jonaha – oznajmiła rzeczowym tonem. – Więc musiałam być ostrożna. I przebiegła. Ale musiałam ją zabić. – Wyciągnęła ręce w stronę Joanny. – Pani mnie rozumie, prawda?

Joanna skinęła głową.

– Jonah mnie pilnuje. Rzadko kiedy zostaję sama. Bardzo na mnie uważa. Wiem, że martwi się o mnie.

– Więc co pani zrobiła?

– Zaplanowałam wszystko – odparła Pamella. – Zaplanowałam bardzo starannie. I napisałam do niej list. – Uśmiechnęła się. – Podrobiłam charakter pisma Jonaha. Jestem w tym niezła – dodała. – Nabrałam ją, że Jonah urwie się z dyżuru i że głupia Pamella niczego się nie domyśli. Do listu dołączyłam kapsułkę i napisałam jej, że to jakiś wyjątkowy afrodyzjak. – Uśmiechnęła się. – Bo widzi pani, Marilyn była skłonna uwierzyć we wszystko, a szczególnie w to, o czym nie miała zielonego pojęcia, jak na przykład miłość i seks...

– A tak naprawdę co było w tej kapsułce?

– Och... jakiś inny lek – odparła chłodno Pamella. – Luminal. Proszę pamiętać, pani inspektor, że ja też byłam kiedyś pielęgniarką. Wiem, jaka dawka jest odpowiednia. Wiem też, ile podać insuliny. Nie musiałam nawet czytać tego artykułu.

– A skąd wzięła pani insulinę?

Pamella otworzyła szeroko oczy. – Z torby Jonaha, oczywiście.

_____ i 7 a, _____

I wtedy Joanna zadała jej najważniejsze pytanie: – A skąd wiedziała pani, że Jonah pojedzie tego wieczoru do chorego i spędzi na wizycie tyle czasu? Skąd miała pani pewność, że zostanie pani sama?

Pamella wyglądała na zadowoloną z siebie. – Coś pani powiem, pani inspektor... Ja potrafię być sprytna... bardzo sprytna. – Czekala, aż te słowa dotrą do Joanny, po czym spytała: – Chce pani wiedzieć, nie? – Zamilkła i zamyśliła się na chwilę. – Ale na pewno sama się pani też domyśli, prawda?

– Nie. – Joanna zmuszona była głośno się do tego przyznać. Wszystko wskazywało na to, że lekarz rzeczywiście został wezwany na farmę. Nie było tu miejsca na jej współudział. Więc skąd Pamella wiedziała, że Jonah zostawi ją samą na dłużej niż pół godziny?

– Widzi pani – odezwała się tamta – w pewnym sensie to była najbardziej udana część planu. Zaraz pani opowiem. – Uśmiechnęła się. – Przyznam, że miałam trochę szczęścia. Bo widzi pani, poprosiłam Marilyn w liście, żeby sama do niego zadzwoniła pół godziny po tym, jak połknie kapsułkę. Miała udawać kobietę, która mieszka gdzieś daleko, na wsi... i wezwać go do pacjenta chorego na serce. Miała się przedstawić jako jego sąsiadka i powiedzieć, że znów cierpi na bóle w klatce piersiowej. – Pamella przerwała. – Marilyn miała bardzo niski głos – dodała po chwili. – Wiedziała pani o tym?

Joanna pokręciła głową. – Nie – odparła. – Nikt mi nie mówił.

– A Jonah jest bardzo sumienny – mówiła dalej Pamella. – Wiedziałam, że od razu tam pojedzie i będę miała godzinę czasu. – Uśmiechnęła się. – A potrzebowałam tylko piętnastu minut – dodała. – Miałam szczęście, prawda? Marilyn wcale nie musiała dzwonić, bo zrobiła to dla mnie pani Dunwood. – Znów się uśmiechnęła. – Nie miała nawet pojęcia, jak bardzo mi pomogła. Świetnie, prawda? I wtedy poszłam szybko do domu Marilyn. – Nagle cień przemknął jej po twarzy. – Jest bardzo ekskluzywny – dodała z pogardą. – Pretensjonalnie urządzony, prawda? Zauważyła pani?

Joanna skinęła głową. – A Ben? Jak się pani tam dostała, skoro pilnował domu?

– Miałam go od szczeniaka – wyjaśniła Pamella. – I oddałam Marilyn, gdy urodził się Stevie. To miał być prezent. Nie wiedziała pani? On mnie znał. Zawsze mnie witał, oblizywał, a kiedy kazałam mu siedzieć w koszu, słuchał mnie. Po tych słowach wszystko się wyjaśniło.

177

Joanna miała już pełny obraz sprawy, ale Pamella pragnęła jeszcze podzielić się szczegółami. – To było bardzo łatwe, wie pani? – dodała. – Nie ma pani pojęcia, jakie to było proste. Wystarczy tylko wiedzieć coś niecoś o ludzkim organizmie, a wtedy zabić jest bardzo łatwo. Jej śmierć nastąpiła dość szybko. Inaczej było ze Steviem. – Oblizywała wargi. – On był niegrzeczny. I strasznie się bronił. – Uśmiechnęła się. – Gdyby ludzie wiedzieli, jak łatwo jest zabić, pewnie robiliby to częściej. – Zachichotała. – To jest jak seks. Dzieje się bardzo szybko. Najpierw w ciele szarpie się żywa istota, a po chwili leży już tylko samo ciało. I nie ma w nim życia. Można krzyczeć, ile się da, a ono i tak nie reaguje... Dziwne, prawda?

Joannie zrobiło się niedobrze.

– I pewnie mogłabym zabić wiele osób, gdybym tylko chciała. Ale nie chcę.

Nienawidziłam jej, dlatego ją zabiłam. Z nienawiści.

W głowie Joanny przemknęła myśl o tym, że taką samą nienawiścią pałała do niej Jane Levin. To była autentyczna silna nienawiść. Nienawiść, która potrafi skłonić człowieka nawet do zabójstwa. Czuła się przytłoczona tą myślą. Słuchając historii Pamelli Wilson, miała wrażenie, że ktoś przekręca jej nóż w brzuchu. – Leżała tam półprzytomna, w tym idiotycznym ubraniu. – Pamella wybuchła ironicznym, urywanym śmiechem. – Jak jakaś babilońska dziwka. Wyglądała tak, że Jonah nie mógłby się z nią kochać, nawet gdyby miał do niej słabość. – Patrzyła jasnymi, niebieskimi oczami. – Ale ona wcale mu się nie podobała, pani inspektor. Teraz już jestem pewna, że nic do niej nie czuł. Przemyślałam to sobie i wiem, że się myliłam. Na pewno mu się nie podobała, ani trochę.

– Za to on podobał się jej?

– Tak mi powiedzieli w przychodni – odparła Pamella. – Kiedyś nawet Maureen do mnie przyszła... Bo Sally i Maureen są bardzo lojalne, pani inspektor. Wiem, że były po mojej stronie. Maureen to trzymała mnie wtedy za rękę i powiedziała, że muszę wyzdrowieć, bo Marilyn chce uwieść pana doktora. Poprosiłam ją, żeby mi opowiedziała wszystko. I tak zrobiła...

– Czy mogę spytać o coś jeszcze, pani Wilson? – przerwała jej Joanna.

Pamella uśmiechnęła się uprzejmie. – Oczywiście.

– Słyszałam, że nie wychodzi pani z domu. Jak to się stało, że wyszła pani na ulicę?

178

– Rzeczywiście, nie wychodziłam z domu – odparła Pamella – bo nie chciałam, a nie dlatego, że się boję. Bo widzi pani, tutaj przynajmniej jestem blisko Steviego. Ale tamtej nocy zostawiłam go, bo musiałam wypełnić misję – dodała wyniośle. – Miałam bardzo ważne zadanie. – Znow zaczęła skubać rąbek spódnicy. – Niedobra była – orzekła. – Zła. Zabierała Jonahowi pieniądze. – Przeszywała Joannę wzrokiem. – Bo widzi pani – szepnęła, po czym obejrzała się za siebie i mówiła dalej: – Ona wiedziała o Steviem. Wiedziała. Wyczytała gdzieś, nawet nie wiem, gdzie. Myślałam, że jest moją przyjaciółką. Ale nie była. Widzi pani – dodała po namyśle – mogłoby się zdawać, że pielęgniarkę można zaufać. Ale nie zawsze.

W jej słowach zabrzmiał ogromny żal. Pamella Wilson sama była kiedyś pielęgniarką.

– A co pani zrobiła ze strzykawką?

Pamella spojrzała na nią jak na idiotkę. – Włożyłam do plastikowego pojemnika na śmieci – odparła. – Było w nim już kilka strzykawek. Nikt nawet by nie zauważył, że przybyło o jedną więcej. Nie ma lepszego miejsca, prawda?

– A co z listem?

– Leżał na stole. Zabrałam go.

I znow, ni stąd, ni zowąd, łzy popłynęły jej po policzkach. – Ja chcę odzyskać mojego synka – jęknęła. – Chcę odzyskać Steviego... Czasem wydaje mi się, że on wcale nie zamierzał być taki niegrzeczny...

Joanna zostawiła Pamellę Wilson pod opieką dwóch policjantek i wróciła do auta, gdzie czekał Mike.

– No i co? Wariatka? – spytał.

Cofnęła taśmę w magnetofonie i włączyła go. – Wystarczy tylko wiedzieć coś niecoś o ludzkim organizmie, a wtedy zabić jest bardzo łatwo – zabrzmiał opanowany głos Pamelli. – Najpierw w ciele szarpie się żywa istota, a po chwili leży już tylko samo ciało... – Joanna wyłączyła magnetofon i spojrzała na Mike'a.

– Mam nadzieję, że to wariatka – odparła z naciskiem. – Bo jeśli nie... – Westchnęła. – Ale zostawmy fachowcom ocenę jej psychiki. Dzięki Bogu, to już nie moje zmartwienie.

179

18

Szef nie krył zadowolenia. Policzki mu drżały, brwi stykały się nad linią nosa, z twarzy nie znikał szeroki uśmiech. Zapropował Joannie kieliszek sherry. Chętnie przyjęła.

– Proszę usiąść, pani inspektor – rzucił entuzjastycznym tonem. – Proszę usiąść. Zasłużyła sobie pani na odpoczynek. Dobra robota. – Podał jej mały kieliszek jasnego trunku. – Naprawdę dobra robota. Cieszę się, że tak ładnie udało nam się to zakończyć.

Joanna sęczyła sherry i zastanawiała się, jak można było określić to słowem

„ładnie”...

– Ona nie pójdzie do więzienia – oznajmił dalej pogodnym tonem – tylko Machin... To ci dopiero bandyta. – Jego oczy patrzyły wesoło. – To dwa różne przypadki, pani inspektor.

– O tak.

Obszedł biurko i wystraszył Joannę mocnym klepinięciem po ramieniu. – Chyba z czystym sumieniem można powiedzieć, że nie zawiodła pani naszego zaufania, pani inspektor.

Wypiła do końca sherry. – Dziękuję.

– Czekają panią chyba wyższe cele... – rzekł tajemniczo.

– Jestem zadowolona z obecnej pracy – odparła szybko. – Wolę działać niż siedzieć za biurkiem.

– Obserwujemy panią – zaznaczył. Zabrzmiało to bardziej jak groźba niż obietnica, jakby przemówił Wielki Brat... Wpatrywał się w nią. – Proszę tylko pilnować spraw osobistych, pani inspektor. – Przerwał. – Wie pani, co mam na myśli.

– Tak, panie nadinspektorze.

– No, to wracajmy do pracy – rzucił znów koleżeńskim tonem.

Jechała do domu okrężną drogą, mijając dom Marilyn Smith przy Silk Street. Najwyraźniej Vivian Smith nie traciła czasu, bo w ogrodzie stał już znak z napisem „na sprzedaż” i nie było widać czerwonego auta. Pod wpływem jakiegoś impulsu Joanna zatrzymała się i poszła ścieżką w stronę domku parterowego.

180

Evelyn Shiers otworzyła drzwi. – A więc złapali sprawcę – odezwała się.

Joanna przytaknęła. – Ja właściwie przyszedłam porozmawiać z panią – oznajmiła. – Chciałabym panią uprzedzić, że nie przerwiemy poszukiwań pani męża. Sprawa jego zniknięcia pozostanie w naszych aktach, dopóki nie powie mi pani, gdzie on jest. Bo przecież wie pani, prawda?

Evelyn podrapała się po podbródku. – Nie rozumiem, co wam do tego – odrzekła. – To mój mąż. Skoro nie zgłoszę jego zaginięcia, to już chyba nie wasza sprawa?

– Owszem, to nasza sprawa – zapewniła ją Joanna. – I wie pani, jak potrafimy się naprzykrzać. Niech pani będzie rozsądna. Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć? – nalegała. – Czym Marilyn panią szantażowała? I czyj był ten płaszcz?

Evelyn jakby skuliła się na samo wspomnienie o płaszczu. – Gdyby Jock się dowiedział – zaczęła. – Gdyby on się o tym dowiedział, pani inspektor, to chyba mnie zabił.

– On chyba już wcale nie będzie o to pytał...

Zrobiła ponurą minę. – Nie chcę, żeby do mnie wrócił – przyznała.

– Przecież nikt nie każe pani z nim być. – Joanna zaczynała się irytować.

Chciała już jechać do domu i wziąć długą kąpiel. Była zmęczona i przybita, jak zawsze po trudnym i wyczerpującym śledztwie. Pragnęła zamknąć już tę sprawę, skończyć pisanie raportów i... zapomnieć.

– Wypłynął swoją łodzią – odezwała się Evelyn. – Powiedział, że chce popłynąć dookoła świata. To było cztery lata temu. Nawet nie zostawił mi pieniędzy. – Spojrzała szeroko otwartymi oczami. – Chciał, żebym popłynęła razem z nim. Joanna stłumiła śmiech. Wyobraziła sobie Evelyn Shiers w podróży jachtem dookoła świata, trzymającą kurczowo ster, co wywołało jej rozbawienie po przerażających wizjach z ostatnich dni. Zaśmiała się głośno i zauważyła, że zjeżona jak lis Evelyn ma urażoną minę. – Przepraszam – rzuciła szybko, po czym dodała: – Więc do kogo należał ten płaszcz?

Evelyn spuściła głowę i wlepiła wzrok w podłogę. – Czułam się taka samotna – wyznała. – Więc któregoś wieczoru poszłam do pubu. – Podniosła wzrok. – Przecież to nic złego – dodała. – Ale nie mam

181

zwyczaju dużo pić, więc ktoś podwiózł mnie do domu. I zostawił potem płaszcz. Nie wiem nawet, jak miał na imię. Marilyn na pewno to widziała. Bałam się, że Jock wróci do domu i się dowie. A ona groziła mi, że opowie o mnie różne rzeczy. – Jej oczy napłynęły krwią. – A Jock jest bardzo zazdrosny – mówiła dalej. – I na pewno uwierzyłby w te wszystkie jej kłamstwa. Pomyślałby, że to prawda. Nie wiedziałam, co robić – przyznała. – Nie miałam z kim porozmawiać. No i zakopałam ten płaszcz.

Joanna westchnęła. Tyle razy słyszała już od ludzi, że nie mają z kim porozmawiać.

– Czy chce pani, żebyśmy spróbowali odnaleźć Jocka?

Evelyn zacisnęła wargi i popatrzyła niepewnym wzrokiem. – Sama nie wiem, pani inspektor – odparła. – Sama nie wiem. Minęło już tyle czasu.

Joanna leżała w wannie, rozkoszując się zapachem olejków do kąpieli, gdy nagle usłyszała dźwięk włączającej się automatycznej sekretarki... i głos Matthew: – Jo... – A potem już tylko cisza i spokój. Siedziała w wannie tak długo, dopóki woda nie wystygła.

Nakładem

m

Louis Sanders ZDARZYŁO SIĘ W LUTYM

Przenosząc się z Anglii do zacisznego francuskiego zakątka w Dordogne, bezimienny narrator tej historii liczy tylko na nudę. I to zimową nudę. Przerwaną jedynie pogrzebem jednego z okolicznych mieszkańców. Brat zmarłego też nie żyje. I również zginął przypadkowo. Ale taka jest wersja oficjalna. Bo niektórzy z wioski mają odmienne zdanie. Taki lekarz chociażby... Anglikowi też tutaj przypatrują się uważniej. To obcy, bez zajęcia – trudno przecież za takie uznać szkicowanie nagich modelek. I on sam czuje się jakby zastraszony. Właściwie to od czasu, kiedy zainteresował się tymi zgonami w rodzinie Caminade'ów...

Nakładem C&T

i

Francis Durbridge ZMIANA PLANÓW

Samolot, którym państwo Harvey odlatywali z Londynu do Australii, był opóźniony. Dlatego Sam Harvey, komisarz Scotland Yardu, zdecydował się pożegnać rodziców na lotnisku i wracać do domu.

Nie mógł przecież wiedzieć, że kilka godzin później biała furgonetka z Jaso-nem Harveym i jego żoną będzie miała wypadek. Śmiertelny wypadek na drodze wylotowej z Londynu. A jego przyczyną będzie ostrzelanie furgonetki z... helikoptera!

Skąd i dlaczego tam się znaleźli Harveyowie, to pierwsze z serii pytań, jakie staną przed Samem. A każde kolejne będzie bardziej zaskakujące.

f.BP Zabrze

nr inw.: K17 - 7964

I

F 17 ANG./S